DZIEDZILIJA

CZYLI

PAMIĘTNIK PŁOCKI,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

ROK PIERWSZY.

TOM I.

Lipiec, Siérpień, Wrzesień,

1824.

Kto w Bogu i w pracy swéj pokłada nadzieje,
Za tym szczęście nadchodzi, wszystko mu przyśpieje.

GAWIŃSKI.

W PŁOCKU,

NAKŁADEM i DRUKIEM K. KULIGA.

Wolno drukować.

w Warszawie, dnia 15. Czerwca 1824.

J. K. Szaniawski,

Rad: Stanu Dyr: Jlny Wych: Publicz:

(Nro. 1.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

Rok 1824.— Miesiąc Lipiec.

To pismo wychodzi w ostatnich dniach każdego miesiąca. Numer jeden składa się najmniéj z 5. arkuszy. Trzy takie numera składają Tom jeden, do którego będzie osobny tytuł i spis rzeczy.

Prenumerata przyjmuje się w Płocku u Borkowskiego, *Sekretarza Poczty.*

Wynosi półrocznie z pocztą Złt: 18.
całorocznie także z pocztą Złt: 36.
kwartalnie bez różnicy Złt: 10.

Na miejscu zaś półrocznie Złt: 16. *całorocznie Złt:* 32. *Na Holenderskim papierze w miejscu rocznie Złt:* 46. *półrocznie* 24., *kwartalnie* 14. *Z pocztą całorocznie Złt:* 50., *półrocznie* 26., *kwartalnie* 15.

Dostać nadto można Dziedzilii w Warszawie: u Zawadzkiego i Węckiego *Księgarzy*; u Ciechanowskiego *na rogu ulicy Podwale i Senatorskiéy*,— w *Krakowie u* A. Grabowskiego,— w *Wilnie u* Zawadz-

1*

kiego, — w *Poznaniu* u J. A. Munka, — w *Kaliszu* u Mehwalda.

Dziedzilija zawierać będzie pisma tyczące się pięknéj Literatury, to jest: Poezyi i wymowy; rozprawy o rzeczach ojczystych; rozbiory dzieł Polskich lub o Polsce napisanych, z wyłączeniem jednak wszełkich dzieł i rozpraw osnowy politycznéj i prawniczéj. Umiesczane przeto w niéj będą: powieści moralne, tak prawdziwe jak zmyślone; poezyje wszelkiego rodzaju, tak całkowite jak wyimkami; rozbiory dzieł oryginalnych i przekładów; anekdotki i krótkie opowieści; zdania moralne, zdania żartobliwe; pytania do rozwiązań i t. d.

Wszelkie pisma tego tylko ducha przyjmie się z wdzięcznością.

Redakcyja przytém oświadcza, że pism nieumiesczonych odsyłać niebędzie; lecz je wyda osobie, któréj autor odebranie poleci.

Listy z pismami do Redakcyi za opłatą pocztową przesyłane być mają z takim podpisem: „Do Redakcyi Dziedzilii, Pamiętnika Płockiego." W Płocku w Drukarni K. Kuliga.

Jeżeli tego wyraźnie żądač kto będzie, JP. Kulig, *dla zapewnienia Pismu temu trwalszego bytu, skoro się nadal utrzyma, przyrzeka płacić za arkusz druku oryginalnego pisma Złt:* 30, *za arkusz druku tłumaczenia Złt:* 15, *która to należytość przesłaną będzie żądającemu w miejsce wskazane.*

Przyjmuje się na zawsze w tém Piśmie zwyczaj niewymieniania w każdym numerze nazwiska Autora lub Tłumacza; ale dopiero przy końcu kwartału, w ogólnym spisie rzeczy. Gdyby zaś skromność nieżyczyła sobie i wtedy nawet wyjawienia; Redakcyja zatai nazwisko.

CEL TEGO PISMA.

Gdy w Stolicy Królestwa Polskiego tyle pism różnego losu i powodzenia wychodzi, smutną jest rzeczą wspomnieć, że znacznjeysze miasta Kraju naszego, oprócz wojewódzkich Dzienników, innych niemają; właśnie jakby powszechna oświata w jedném tylko dalekiém od nich ognisku mieścić się miała. Pominąwszy inne jescze względy, już sama miejscowa narodowość dla najmniejszego zakątka ojczystéj krainy powinna być szanowną i drogą.

Te myśli, a sczególniéj zachęcenie zacnego Właściciela Drukarni Płockiéj JP. Karola Kuliga, *skłoniły mnie do podjęcia się redakcyi niniejszego Pisma.*

Pan Kulig *przyrzekł dołożyć wszelkiego starania, ażeby wychodziło porządnie, a nawet z czasem, ile możności, najozdobniéj. Ja zaś postanowiłem nielitować pracy w tym zawodzie, ile mi zbędzie czasu od zwykłych stanu mojego zatrudnień, dla rozerwania chwil wolniejszych Obywatelom tego Województwa, z którego i familija moja pochodzi.*

Wypada mi jescze usprawiedliwić się z tytułu, celu i osnowy niniejszego Pisma. Dośćby podobno było na zapytanie o tytuł, odesłać do Pszczółek, Much, Mrówek, Pszczół (a), *i całego rodzaju ziemnowodnych jestestw, które zwyczajem rodu swojego posnęły; (a któż wié? może i nasza Bogini musi w krótce po wyjściu na świat, żałośnie opuścić tę niewdzięczną ziemię). Ale nie dość na tém, trzeba coś zrobić dla ogółu Czytelników i Czytelnic, którym Sławiańska Mitologija mniéj znaną być może. Otóż ta nasza Dziedzilija jest boginią piękności u Sławian, jak Wenus u Greków i Rzymian. A jako chcemy, iżby tylko same piękne rzeczy (ale za pozwoleniem! czy tego wolno ludziom dokonać?) znajdowały się w naszém Piśmie; ku temu zatém wybraliśmy tytuł obecny. Jescze chwila ciérpliwości! Nasza Dziedzilija jest Damą, która, aczkolwiek z bogini mądrością, niepowinaby się gniéwać i urażać o przyganę swojéj piękności, może jednak wziąć to komu za złe jako niewiasta. Ale za to ja ręczę, przyrze-*

(a) *Tytuły pism peryjodycznych.*

kając moję Damę upominać i mieć na uwadze, aby nigdy niewykroczyła przeciw skromności i grzeczności, przyzwoitéj płci swojéj. Dla tego niebędzie się wdawać w żadne spory stronnictwem czasu i opinii trącące; szanować będzie zawsze świętą Religiją Przodków i czystą Moralność, a zaczepiona nigdy się niewda w kłótnie i odwety, sądząc, że roztropną krytykę przyjąć należy z wdzięcznością; a jeżeli kto Damie uchybi i niesłusznie na nią powstanie; ona w Czytelnikach nowych znajdzie kawalérów, którzy za jéj honor zemszczą się pogardą na niesprawiedliwym krytyku. Napróżno żądałby kto wymienienia powodów, dlaczęgo sobie tę, a nie inną zakréśliła drogę. To tylko za nię wspomnę, że ma, i na pamięci zawsze mieć pragnie sławne Tacyta zdanie sine ira et studio; *do którego dodaje tegoż znane wyrazy, że często* malignitati falsa species libertatis inest. *A że nasza Dziedzilija nie Rzymianka, więc te myśli Tacyta ciągle jéj tak przenicowane powtarzam: Dziedzilijo! bądź skromną, jako młoda a razem bogini, pamiętaj i urazy łatwo przebaczać, i wspaniale pomścić się milcze-*

niem!— Niech cię nigdy nieuwodzą fałszywe błyskotki i szał uniesienia, który jak światło nocne nagle zabłyśnie i znika!— Szanuj to, co wieki szanowały,— a w nadziei ufaj i pracuj!

Wszyscy potrzebujemy wsparcia i rady. Dziedzilija niedowiérzając porywczo własnym siłom, wzywa pomocy uczonych Rodaków. Ktokolwiek, bądź dobrą poezyją, bądź użyteczną rozprawą, choćby i przydłuższą, lub jaką nakoniec powieścią i ważném doniesieniem wesprzéć ją raczy i dopomódz jéj pragnie, niech bez obawy przesyła swoje pismo. Byle odpowiądało jéj duchowi, z wdzięcznością go przyjąć nieomiészka. Sczególniéj życzyłaby sobie mieć przęz kogo z światłych mężów wypracowane i dowodami z historyi ojczystéj poparte następujące zadanie: Dzieje teatru Polskiego od najdawniejszych czasów aż do Stanisława Augusta. *Ta rozprawa ma być udowodnioną wyjątkami z dzieł teatralnych, gdzie można, a wreście tytułami i ocenieniem wszelkich dramatów z owego czasu.*

Szanowni Rodacy! wspiérajcie z ochotą i bez odrazy te piérwiastki Dzieła, któ-

re z nieśmiałością i bez zarozumienia na świat wyjść się ośmiela. Pamiętajcie, że każdy początek jest trudny, że to Pismo użytek powszechny, że sławę Ojczyzny Waszéj ma na celu, że nieodstąpi raz obranego hasła Prawdy i Cnoty. Wy zaś Obywatele Województwa Płockiego! Wy Mieszkańcy téj części Ziemi, tak sławnéj w Dziejach Księstwa Mazowieckiego, poglądajcie opiekuńczém i względném okiem na Dzieło, które o Waszych zwyczajach, o starożytności Waszéj zabytkach, o sławie Waszych Naddziadów, wszelkie chlubne wspomnienia odświeżać, i spólnéj Ojczyznie z chwałą Waszą wyjawiać je będzie. Wsparcie, jakiego się od was szczególniéj spodziewa, albo je utrzyma, albo zostawi dla Wydawcy jedyne pocieszające wspomnienie, że i upadek w wielkim zamiarze nie jest bez chwały (a).

A.. Z...

(a) *Dmochowski w pochwale Jg. Krasickiego.*

WAŻNOŚĆ OBIÉRANIA PRZYJAŹNI.

POWIEŚĆ Z FRANCUZKIEGO P. BOUILLY

wyjęta z dzieła: MŁODE MĘŻATKI (:Les Jeunes Femmes, en II. voll.:)

Kobiéty wystawione są na tysiąc podstępów i sideł, w które je często pragnie uwikłać zemsta i zazdrość pod maską przyjaźni.

Kalista Senanż (Senange) poszła za Jenerała Lorysa, mając lat szesnaście, i natychmiast z Marsylii udali się oboje do Paryża, aby mieszkać przy rodzinie mężowskiéj. Słodycz i bojaźliwość przydawały nowego wdzięku jéj naturalnym powabom, a skromność dziewicza, wyszczególniała ją między pięknościami wyszukanémi od których była odwiedzaną. Miała za rzecz niegodną ściągać na siebie uwagę, nieznała języka modnisiów, a w towarzystwach bywała bardziéj z powinności, jak z upodobania. Brzmienie jéj głosu mogło się połączyć ze śpiéwem Aniołów; a gdy mówiła, pomimowolny rumieniec zdobił jéj czarującą postać, zdawało się, że jéj wielkie niebieskie oczy, które pokrywały natychmiast długie czarne rzęsy, ciérpiały za to, co drżące wymówiły usta, jedném słowem, rysy twarzy



L. Horwart Lito.

Nie będą się wachać pomiędzy hanbą a śmiercią.

miała delikatne i regularne, a wzrok tak wstydliwy i ułożenie tak skromne, że ją wszędzie nazywano dziewicą Rafaela.

Łatwo stąd wnieść można, jak była drogą dla Jenerała Lorysa; czuwał z największém staraniem nad tym przyjemnym kwiatem, który rozwijając się codziennie, dawał poznać, że skarby, jakie w sobie ukrywał, niemniéj były drogie dla serca, jak te, które przed oczyma rozwijał. Kalista łączyła z lubością przenikliwy dowcip, powagę bez dumy, otwartość bez poufałości; lecz te wszystkie uczucia podlegały jednemu, to jest: miłości, jaką miała dla męża. On był jéj przewodnikiém naymilszym, on powiernikiem wszystkich myśli, on świadkiem wszystkich poruszeń jéj duszy. Tak się z nim zgadzała, że w obojgu jednę tylko skłonność, jednę chęć widziano.

Rodzina Lorysa, najdawniéjsza w Prowancyi, wsławiała się zawsze na morskich wyprawach. Stary Hrabia, Ojciec Jenerała, był dowódcą eskadry, miał wszystkie nałogi człowieka przyzwyczajonego do morza, palił lulkę przez całe rano, a gdy dostał podagry, połowę życia w krześle przepędzał. Lubił wesołość i często w uniesieniu dał się słyszeć z wyrazem, do którego niebyło przyzwyczajone czyste ucho Kalisty; lecz przywykła do niego powoli: bo pomimo

burzliwéj powierzchowności, pomimo klęcia, i niecierpliwości, stary Wojownik był charakteru ślachetnego i wspaniałego, a jego żywość zajmowała często, pochodząc z niewyczérpanéj dobroci serca.

Kalista codziennie więcéj przywięzywała się do starego Hrabiego Łorysa, który ją nawzajem bardzo polubił. Często on mawiał, że gdy ten piękny Aniołek był przy nim, szatan podagry nieśmiał się zbliżyć.

Hrabina Lorys, kobiéta podeszłego wieku, była jedną z tych spazmatyczek, których nerwy drażni żal starości; uskarżając się zawsze na słabość zdrowia, przepędzała większą część nocy na grze w karty; mało jadła, ale zawsze piła po trzy filiżanki senesu i różne mocne napoje. Lubiła i wielki świat i towarzystwa osobniejsze, bywała na kazaniach i na widowiskach, z uniesieniem mówiła o przeszłości, a ganiła teraźniejszość, i przepowiadała przyszłość, jakoby miała się ciągle odradzać: żadna z kobiét młodych nic nieznaczyła w porównaniu z dawniejszémi, a Kalista nawet była w jéj oczach tylko piękną lalką, dla któréj trzeba było zabawek i błyskotek. Jednak ją kochała tyle, ile mogła, i zawsze nazywała sczęśliwym syna za tak piękny wybór.

Posiedzenia, które się zbiérały u Hrabiego i Hrabiny Lorys, były zgodne z ich wiekiem i zwyczajami: widziano tam kobiéty podeszłe, które się użalały na czas marszczący ich lice, i na niewdzięcznych męzczyzn. Widziano starych kawalerów, gromiących młodzież, którzy mieli jescze wielką chętkę nadskakiwania młodym pięknościom.

Kalista przywykła nieco do schadzek, w których się zabawiano grami. Mąż jednak, chcąc uprzedzić nudy, które jéj zagrażały, zaprosił do siebie kilku oficerów różnéj broni. Tym sposobem nieznacznie powiększyło się towarzystwo: a gdy przybyli jescze ludzie znakomici dowcipem i nauką, więcéj jak dawniéj zajmowało wszystkich.

W liczbie nowo zaproszonych był także Półkownik Artur, człowiek świetnego dowcipu, który jescze i stąd miał znaczenie, że na polu sławy niebezpiecznie był ranny. Znajdował się tam także Pan Alcyd, siostrzeniec Marszałka Francyi, którego ślachetna postawa, ton kawalerski, poważny, kazał się dorozumiéwać, że znakomite czyny wsławiły jego życie. On to podawał często rękę, Baronowéj Mąbrę (Montbrun) dalekiéj swojéj krewnéj, kobiécie dowcipnéj, która miała wyobraźnią żywą i płodną, a zostawszy wdową w osiemnastym roku, uni-

kała nowych związków małżeńskich, aby zachować lubą sobie niepodległość. Miała już wtedy rok 36. jéj twarz zachowała jescze pewne ślady piękności, wdziek jéj osoby miał jescze pewne poruszenia sczęśliwe, pewne wyrachowane ułożenia, które każą się domyślać wielkiéj znajomości świata i sztuki zwodzenia; lecz to, co Baronowa utraciła na świéżości powabu, nagradzała powagą wymiarkowaną, tonem dworskim, a nadewszystko rozmową zajmującą, że trudno było nie dać się jéj złudzić. Umiała przybrać wszystkie rodzaje mówienia, ująć wszystkich zdanie; według potrzeby i przenikliwych postrzeżeń mówiła obszernie lub zwięźle, wesoło lub sentymentalnie, satyrycznie albo z pobłażaniem; jednym rzutem oka wymiarkowała charakter, smak, opiniją tych, którzy się znajdowali znią razem, a jako niepojęty Proteusz, jednemu pochlébiała, drugiego zwodziła, innego jescze przywięzywała do siebie wdzięcznością, a przez te zręczne obroty, otoczyła się mnóstwem przyjaciół i stronników, którzy wszyscy okrzyknęli ją za najlepszą w świecie i za najprzyjemniéjszą kobiétę.

Jenerał Lorys równie jak inni, dał się jéj uwieść, a chociaż jego matka robiła mu niektóre uwagi względem Pani Mąbrę, wiedząc, że ją nie raz oskarżano o podstępy i o zalotność, lecz

on to przypisywał zazdrości, która często obwinia znakomite kobiéty, i bez żadnego zastanowienia się polécił ją za przyjaciółkę swojéj żonie. Baronowa udawała, że ją Kalista wiele obchodzi, i bez trudności mocne zrobiła wrażenie na téj duszy nieskażonéj i czystéj przez wymówienie się porywające i żywe, przez tę giętkość w obcowaniu i tę godność, którą młoda kobiéta, dobrego urodzenia, zawsze naśladować pragnie. Trzeba, mówiła Pani Mąbrę, patrząc na Kalistę, i wskazując ją oczyma wszystkim obecnym, trzeba, aby widziano wreście istność doskonałą na ziemi: jest naszym zasczytem, naszą powinnością wydoskonalić jescze to arcydzieło natury: nauczmy je więc tego wszystkiego, co może mamić na ziemi; lecz tak, iżby nic nieutraciło z postaci niebiańskiéj. Któż większe od Ciebie Pani, odpowiedział Jenerał, może mieć prawo do prowadzenia moiéj żony, ku temu stopniu doskonałości? w istocie za twoiém przewodnictwem może się do niéj zbliżyć. Zdaj to na mnie, odpowiedziała Baronowa, zrobię, co się da zrobić, a w tém będę miała na względzie równie sławę płci mojéj jak twoje sczęście, Jenerale.

Od téj chwili Pani Mąbrę była nieodstępną przyjaciołką domu Lorysów: zachwycała i bawiła wszystkich; ze starym dowódcą mówiła o bi-

twach morskich, przypominała mu wszystkie sławne czyny, które miały miejsce pod jego dowództwem, a odświéżając jego wawrzyny, wspomnieniem unosiła jego duszę.

Jeśli narzekał w swoiem krześle na ciérpienia, opowiadane mu przez nią najzabawniéjsze anegdotki, pobudzały go do gwałtownego śmiéchu, i ożywiały do tego stopnia, że wziąwszy jej rękę całował ją z radością.

Umiała także Baronowa przypodobać się Hrabiny: odświéżała jéj pamięci te sczęśliwe czasy panowania kobiét, w których mówiono tylko o pięknéj Hrabiny Lorys; przypominała sobie, jak będąc jescze młodą, poznała ją na wielkim balu, danym przez Oficerów Marynarki. Ubolewała potém nad jéj dolegliwościami nerwowémi, a nawet grała z nią często; czém ją sobie ujęła wten sposób, że pojąć niemogła, dlaczego śmiano zaczépić kobiétę tak miłą, tak zewszechmiar szacowną.

Kalista połączyła się ściśle z Baronową, która, aby pozyskać jéj zaufanie, dawała jéj z początku nauki zbawienne, jak się ma zachować na świecie, jak unikać zręcznie pochlébstwa głupich, hołdu natrętnych i sideł zdrady. Zalécała jéj, ażeby do przyjaźni przybiérała małą liczbę osób. Nadewszystko, mój piękny Aniołku, dodała Pani Mąbrę, strzeż się młodych kobiét,

a je-

a jescze bardziéj podeszłych, piérwsze pozazdroszczą Ci znaczenia, drugie będą się mściły za to, że blask twojéj piękności powiększa tém bardziéj ich bladość i odkrywa marsczki. Ah! mówiła wtedy Kalista, jakże umiész wzbudzić przywiązanie i ufność! mój mąż musi udać się za wojskiem: jakże będę szczęśliwą, mając w tobie tak szanowną opiekunkę i wsparcie! —

Jenerał oddalił się w istocie na pewny czas do wojska. Baronowa Mąbrę ukrywała pod postacią łudzącą duszę zepsutą i zasady najniebezpieczniejsze; była to kokietka, którą utrata piękności na wszystko ośmiela, która skrycie ma niezbłaganą nienawiść dla młodych kobiét, i dla tego im tylko pochlébia, aby je ohydzić, dla tego wsparcia udziela, aby je zgubić, i oddalić ze sceny świata, na któréj są dla niéj zawadą. Baronowa była syreną czarującą, któréj głos przyjemny wabił młode piękności, a serce gotowało zgubę.

Jescze bardziéj jątrzyło to Panią Mąbrę na Kalistę, gdy spostrzegła, że ta istność anielska wzbudziła tajemną miłość w Alcydzie, którego ona sama chciała przywiązać do swojego wozu tryjumfu. Postanowiła zatém uprzedzić ten cios, który jéj groził, dając poznać młodéj Hrabiny, że Półkownik Artur żywo się nią zajął.

Jednego rana, gdy rozmawiała z Kalistą w jéj

pokoju, zwróciła nagle mowę do Artura i odmalowała go jako zręcznego zwodziciela, który nakoniec sam wplątał się w zastawione sidła. Sprawiedliwość Nieba, dodaje Baronowa, chciała, aby ten niebezpieczny nieprzyjaciel spokojności kobiét, pałał tajemnym ogniem dla Anioła cnoty, którego nigdy nieuwiedzie, i który go ukarze za wszystkie udręczenia licznych ofiar łatwowierności niesczęsnéj. — Wybornie, rzekła Kalista, a któryż to jest ten Anioł mściciel płci naszéj? Młoda kobiéta, cnotliwa i piękna, ktora zakłada całe swoje sczęście na pełnieniu obowiązków, jednem słowem młoda Hrabina Lorys. — Ja! sprawiedliwe Nieba! Ah! drżę z bojaźni. — Sądziłam, piękny Aniołku, żem Cię powinna uwiadomić o téj ważnéj tajemnicy, którą mi wyjawił sam Artur, a to dla tego, abyś się miała na ostrożności. — Uprzedzę o tém Matkę mojego męża, która go zawsze najpochlébniéj przyjmuje.

Ah! strzeż się! toby się rozgłosiło ze szkodą twoją i smutkiem. — Tak, prawdę mówisz. — Lepiéj pozwolić Półkownikowi, aby ci nadskakiwał i zwracać na swoje piękne oczy jego spojrzenia pełne ognia. — Ah! wstydziłabym się tego. — Tém lepiéj! on to weźmie za czułą wzajemność, za wyznanie, co będzie w istocie skutkiem wstydu

i gniéwu, jego serce zajmie się nagle; my przedłużymy jego męki, dopóki się niezemścimy za ciérpienia tylu kobiét, złudzonych przez niego.— Ah! nie umiem udawać, i niemogę przystać na to, abym wspiérała twój zamiar. Niepowiem nic Matce męża mojego, niech i tak będzie, lecz Półkownik niespotka nigdy moich oczu, i nie usłyszy jednego wyrazu odemnie.

Wzystko tak było, jak zapowiedziała młoda Hrabina; skoro Artur przybył, usiadła natychmiast w rogu sali, gdzie niepodobna było zbliżyć się. Jeżeli chciał do niéj przystąpić, natychmiast odmieniała miejsce, i siadła przy Matce swego męża. Jeżeli na koniec miał sposobność przemówienia do Kalisty i powiedzenia jéj jakiéj przyjemności, natychmiast spuściła oczy, rumieniła się i nic nie odpowiadała. Ta ostrożność zwróciła uwagę Artura, tego téż właśnie życzyła sobie Baronowa. Wmawia w niego nawzajem, że Kalista czule go kocha: wystawia mu z podstępną zręcznością nudne życie Kalisty, przy starych i słabowitych rodzicach, oddzielonéj od męża, prawie zawsze nieobecnego, który się ciągle na niebezpieczeństwo wystawiał. Dodała wreście te słowa „ że dusza tak „ czuła, jak ona, potrzebowała zasiłku; i że „ naturalną byłoby rzeczą, gdyby sobie wybrała „ człowieka, jednakiego z nią sposobu myślenia,

„któryby dla niéj był najmilszym." Artur połykał chciwie truciznę, którą mu Baronowa podała, wyznał z otwartością, że nigdy nieśmiał mieć zamiaru względem młodéj Hrabiny, że chociaż przy niéj serce jego było zachwycone niepojętą radością, nigdy się na to nieodważy, aby miał uchybić Kaliście. — Lecz Baronowa nieprzestawała na niego nalégać, przyrzekając mu, że chociaż długo bez nadziei pociérpi, zabiegi jego najświetniéjszy koniec uwieńczy.

Udała się potém do Alcyda, a zmyslając, że niezna jego miłości dla Hrabiny, powierzyła mu niby odkrycie, względem tajemnego porozumienia się Kalisty z Półkownikiem. — Widzi, jak ten drży, jak twarz zmienia, wtedy powiększa dokuczające ucinki.

Od niego poszła do Kalisty: przybiérając inny ton, inną powiérzchowność, i zmieniając, że tak powiem skórę, iak wąż, który się czołga pod kwiatami, zaczęła ją uspakajać w bojaźni, mówiąc, że Artur pomimo gwałtownéj miłości, gotów był ją pokonać; że się nawet zrzekł na zawsze niebezpiecznego doświadczenia, wstrzymany szacunkiem, jaki w nim jéj cnoty wzbudziły; przydała z najszczérszym na pozór przyjaźni wyrazem, i nayczulszém dla niéy zajęciem, że chcąc przymusić Półkownika do téj wielkiéj ofiary, i podać mu środek przytłumienia namię-

tności tak niebezpiecznéj, wymogła na nim, nie bez żywego oporu, że natychmiast Paryż opuści i uda się do wód, w zamiarze uléczenia rany, którą otrzymał na polu honoru, i daleko okropniéjszéj jescze rany miłości. O moja kochana, moja najszacowniejsza przyjaciółko, zawołała wtedy nazbyt ufająca Kalista; a ściskając Baronową opiérała swoje czyste wargi na tych ustach obmiérzłych, zarażonych jadem potwarzy i zdrady.

Pani Mąbrę i tą razą uwiadomiła Artura o zdradzieckiéj poufałości, która obraziła jego ślachetne serce. Aby zaś niedać najmniejszego pozoru szanownéj rodzinie Lorysa, do jakowego podejrzenia; i uwolnić się od natarczywości podstępnéj Baronowéj, gdy się jescze dowiedział, że ta, bez jego wiedzy, kazała mu do wód odjechać, postanowił oddalić się z Paryża, i w tym celu przyszedł na pożegnanie: po czém wyjechał do okolicy pobliskiéj. Tego właśnie potrzeba było Baronowéj. Posłuchajmy, jak daléj prowadzi plan zemsty i upokorzenia Alcyda.

Trzeba wyznać, rzekła raz do Kalisty Pani Mąbrę, że przy Rodzicach smutne życie wiedziesz. — Dla czego? odpowiedziała otwarcie Kalista: Matka mojego męża czasem dziwaczy i wiele wymaga; lecz ma dobre serce, a nadewszystko drogą jest mojemu mężowi! Stary Hra-

bia pali lulkę bezustannie, klnie, gdy mu podagra dokucza; lecz jakże czułe przywiązanie okazuje dla mnie? — Są to dwie osoby szanowne bez wątpienia, lecz, mój piękny Aniołku; trzeba Ci czystszego powietrza. Twojemu wiekowi właściwe są obcowania, zabawy... — To pewna, że bez Ciebie, kochana Baronowo, byłabym czasem skłonną do nudów. — Gdybym przynaymniéj mogła Cię zaprowadzić na teatr, na przechadzkę, rozmawiałybyśmy ze sobą z większą wolnością, a nasze uczucia łączyłyby się roskoszniéj. — Bez wątpienia, lecz Hrabina Lorys przyrzekła mojemu mężowi najświęciéj, że tylko w jéj towarzystwie będę się pokazywała na wielkim świecie. — Jest to przyrzeczenie godne zaiste kobiéty rostropnéj i najczulszéj Matki... lecz, gdy ją napadną wapory, albo gdy upłynionego wieczora wiele przegrała? — Wtedy muszę się przy niéj pozostać. — Na tém szkodowałoby twoje zdrowie: jesteś nieco zmieniona. — Jak to? — Twoje oczy nie są tak pełne wyrazu, twoja cera mniéj ma świéżości i życia: byłoby niesprawiedliwością krzyczącą dozwolić, abyś niepamiętała o swoich wdziękach. Trzeba nam koniecznie wymódz na poczciwych Rodzicach pozwolenie ukazywania się powszechności.... Dziś o tém z nimi pomówię....: jeżeli mnie tylko upoważnisz do tego. — O, z całego serca,

kochana Baronowo... byle się tylko nie dorozumieli, że ja o to nalégam. — Zdaj się w tém na mnie.

Pani Mąbrę uchwyciła sposobność, którą miała za przyjazną, aby wyrozumiéć zręcznie starą Hrabinę i otrzymać pozwolenie, żeby jéj czasem powierzyła Kalistę; lecz podstęp ukryty zawiodło wyraźne odmówienie, wsparte obietnicą daną Jenerałowi. Nie zraża to Baronową, podwaja starania, pochlébstwa; a korzystając z pobożnego obrzędu, na który udały się wszystkie prawie znakomite damy Paryskie, aby słyszeć jednego z najsławniejszych mówców ambony, skłoniła Panię Lorys, że się tam udała z nią i Kalistą. — Zbudowała ich ta uroczystość poważna, a sczególniéj skromne ułożenie i pobożna postawa Baronowéj. W krótce potém piérwszym kroku wszystko jéj szło pomyślniéj. Nabyła nieznacznie wielkiego wpływu na umysł Matki Jenerała i Synowéj, a pozorna surowość obyczajów, skromność i mowa, taką jéj ufność zjednały, że często wszystkie trzy razem widziano, na widowiskach w Tiuleryjach, i na innych zabawach, gdzie je nieraz Pan Alcyd spotykał. Młodą Hrabinę cieszyło niezmiernie, że się pokazywała na wielkim świecie, i wszystkich uwagę na siebie zwracała; starała się naśladować tę podstępną Syrenę i jéj dworskość, która się

nawet Matce podobała, i przez którą w zbudziła w obu zapełną ufność. A nawet młoda Hrabina pisała list do męża, donosząc mu o wszystkiém, co Pani Mąbrę dla niéj robiła, i otrzymała, nie bez trudności zezwolenie, że mogła bywać wszędzie obok swoiéj opiekunki, jeżeliby Matka jego dla choroby wyjść z nią niemogła. — Stara Hrabina, chociaż złudzona od Baronowéj, miała sobie za powinność udzielić Synowéj przestróg, jakie jéj doświadczenie podało. Moje dziécię, rzekła do niéj, wiem ja z doświadczenia, że zazdrość nieustannie ściga kobiétę znakomitą i godną szacunku, lecz powinnam Cię uprzedzić, że nieraz obwiniano Panią Mąbrę, chociaż pewno niesłusznie, i że niemogłabyś pokazać się z nią na świecie bez szkodzenia sobie i wystawienia się na potwarz. Kalista wzięła te zbawienne przestrogi za skutek żalu Matki męża, jakoby ta obawiała się stracić nad nią powagę; a zaufana w pozwoleniu Jenerała, połączyła się ściśléj jescze z Baronową, aby częściéj mogła z nią sam na sam obcować.

O tém wszystkiém nie zaniedbała Pani Mąbrę uwiadomić Alcyda; a nawet zapewniła go, że Kalista przyrzekła widzieć się na osobności z Arturem. Niewątpiąc o niestałości młodéj Hrabiny, a bardziéj litując się nad jéj obłąkaniem, poprzysiągł zapomnieć o niéj na zawsze.

Pewnego dnia w Czerwcu, gdy lud Paryzki zbiérał się tłumnie na obchód Bożego Ciała, Pani Mąbrę, mieszkająca w domu, którego okna wychodziły na obszerne ogrody, otrzymała przyrzeczenie młodéj Hrabiny, że będzie u niéj na obiedzie, i że tylko obiedwie do stołu zasiędą. Władze, któréj nabyła nad tym Aniołem dobroci, łatwo jéj pomogła do pokonania wszelkich zawad, któreby mogły przeszkadzać tyle upragnionemu przybyciu Kalisty. Ta, około dziesiątéj godziny z rana, w ubiorze prostym i skromnym, który tém bardziéj wydawał jéj wdzięki, udaje się do Baronowéj bez wiedzy Rodziców męża. Ponieważ obrządki religijne dnia tego niedozwalały użyć powozu, wzięła tylko za sobą służącego, znanego z ostrożności. Spotyka ją Alcyd od niéj niewidziany, którego Baronowa uwiadomiła o dniu i umówionéj godzinie; już wcale niewątpił o smutnym obłąkaniu Hrabiny, rzuca na nią ostatnie spojrzenie boleści i gniéwu. Pani Mąbrę przyjęła ją z upragnieniem, i z témi zabiegami fałszywéj czułości, którémi obłuda pieści ofiarę swéj zemsty. Po śniadaniu, przy którém wylała się dla niéj, z nieokréśloną czułością, przeszły do oddzielnego pokoju, którego okna wychodziły na miéjsce puste i samotne; było to ustronie osobności, jak najozdobniéj upięknione. Sofę, pokrytą

niebieską materyją, otaczały frenzle koloru jutrzenki, cały pokój obstawiony był źwierciadłami. — Kominek z marmuru białego, wysadzony był ozdobami z alabastru i kwiatów sztucznych, a naprzeciwko stał zegar, na którym Amor wskazywał godziny, i zdawał się oznaczać tę, z jakiéj trzeba było korzystać. Obrazy i ryciny wystawiały przypadki miłosne z dziejów i bajki; a okna zdobiły podwójne firanki z muślinu, i jedwabnéj materyi, przez które tylko połowę dziennego światła wchodziło.

Co za roskoszne miejsce! rzekła Kalista, oglądając te przedmioty zachwycenia. Tak jest, odpowié Baronowa, tu ma schronienie sama przyjaźn: chciałam je przyozdobić na twoje przyjęcie. — O dobra przyjaciółko! iakiż wybór i smak w tym wszystkiém, jak się tu roskosznie duma! Ale, piękny Aniołku, muszę Cię prosić o pozwolenie zostawienia Cię saméj na chwilę: rozdam pewne ważne rozkazy i powrócę w kilku minutach. — Po tych słowach oddala się, zostawiwszy młodą kobiétę w słodkiém zamyśleniu i największéj pewności.... Kalista niemoże się nasycić widokiem tego miłego ustronia. Tam Amor całuje po raz piérwszy Psychę; tu płacze piękna Heloiza: a łzy pałające rozetlają ogień, którego pełne jéj serce; tam Eleonora zachwyca się, gdy jéj Taso czyta nieśmiertelne Poema.

Tu Dydona słucha Eneasza, i nie postrzega, że Amor pod postacią Askanijusza zdéjmuje z jéj palca ślubną obrączkę.... Ten ostatni obraz więzi uwagę Kalisty, doznaje przy nim wzruszenia, którego sobie objaśnić niemoże, aż w téin słyszy kogoś otwiérającego z cicha podwoje....— Bieży ku drzwiom z radością, mniemając, że ujrzy Baronową. Ale cóż to?.... Spostrzega Artura, który jakby uderzony piorunem, zmieniony, niepewny, niemogąc słowa przemówić, staje w miéjscu jak wryty. Tyżeś to Półkowniku, rzekła zdziwiona i drżąca Kalista, sądziłam, żeś do wód pojechał, niewiem z jakiego powodu tak nagle wróciłeś.

Oddaliłem się wprawdzie, piękna Kalisto; Baronowa mnie wezwała. Tu zbliża się do niéj; drżącémi ustami chciałby przemówić na swoję obronę. Lecz tylko przerywane słowa wydaje.— Kalisto, racz mnie posłuchać! Jeśli się zbliżysz, odpowiada Kalista, otwiérając nagle okno, przyzwę pomocy, chociażbym się miała wystawić... Kalisto nie czyń tego. Ja tylko!... Jeśli na krok postąpisz, skoczę z tego ganku; *nie będę się wahać pomiędzy hańbą a śmiercią.* Gdy mnie słowa usprawiedliwić niemogą, rzecze Artur, czytaj ten bilet i rzuca jéj go przy nogach.

Kalista zbladła, drżąca podejmuje to pismo z ziemi, nie tracąc z oczu Półkownika, a za-

wsze blisko otwartego okna, czyta następujące wyrazy: „Ważny interes przynagla mnie we„zwać Cię do Paryża..... Szczęśliwy śmiertelni„ku!... Jutro rano około jedenastéj przybywaj „do mnie.... W samotności odkryję Ci to, co „zapewni twoje szczęście, a mnie wdzięczność „niewygasłą."

Takżeto, mówiła daléj Kalista, śmiała ta niegodziwa kobiéta nadużyć mego zaufania i szydzić z przyjaźni! przybyłam do niéj po raz piérwszy, sądząc, że znajdę przyjaciółkę lubą i pewną; a to jest wąż, który dla tego mnie zwabia, aby mnie zgubił tém pewniéj jadowitym żądłem!.... Cóżem zawiniła téj jędzy piekielnéj, że ku mnie taką nienawiść powzięła.— Coś zawiniła, Kalisto? jesteś piękną i cnotliwą... Pani, mówił daléj z wyrazem ślachetności, widzę, że Baronowa chciała nas oboje najhaniebniéj zdradzić; lecz szacunek dla Ciebie, przyjaźń, jaką powziąłem dla męża, i mój honor niedozwoliły mi nawet wstąpić na drogę obłąkania. Przybyłem do Paryża, niewiedząc o niczém, ten list wprawił mnie w największą ciekawość; niemógłem pojąć, dlaczego Baronowa użyła tak ostrożnego i tajemnego sposobu pisania, i w téj jedynie myśli postanowiłem sam się przekonać. Ah! rzekła Kalista, jeżeli masz cokolwiek litości, Arturze, wyrwij mnie z téj

jaskini okropnéj, moje nogi stoją tu na węglach rozpalonych, moje oczy od łez nabrzmiały, a serce wzdyma to zarażone powietrze, którém zaledwo oddycham.— Lecz jak sobie postąpić, w całym domu niesłychać nikogo, ulice Paryzkie napełnione są w téj chwili mnóstwem nabożnego ludu, żaden pojazd niemoże się pokazać: ten potwór umiał dobrze czas obrać.— Więc sama zejdę.... sama się udam do pałacu Lorysa... Lecz ty drżysz, Pani, bladość śmierci okryła twoje oblicze... Ah! gdyby mi wolno było pomódz Ci i podać rękę.— Dobrze, podaj mi rękę; osłabiona potrzebuję tego.... serce mnie zapewnia, że Ci mogę zaufać; wojownik cnotliwy nieobrazi honoru... Po tych słowach Artur wyprowadza Kalistę, schodzi z nią aż na dół, a tam łącząc do ślachetnéj ofiary to wszystko, co może natchnąć szacunek i roztropność, zastanawia nad tém Kalistę, że Baronowa mogłaby już z tego tryjumfować, gdyby oboje razem na ulicy spostrzegła; za radzi jéj zebrać wszystkie siły, aby się dostała do pałacu męża, chociażby nawet kilka razy w drodze spoczęła. Sprawiedliwie mówisz, Półkowniku, ta myśl jest dowodem twojego rozsądku, i wraca mi odwagę; żegnam Cię! w obec moiéj rodziny i w obec męża przyrzekam Cię zasczycić imieniem szanownego przyjaciela....

Kalista oddala się krokiem zachwianym. Artur postępuje za nią zdaleka, niebędąc pewny czyli sama zajdzie, widzi jak się połączyła z mnóstwem ludu, który otaczał kapłanów, jak potém wmiészała się pomiędzy młode panny, które poprzedzały znak Odkupiciela świata; młoda Hrabina, w białéj sukni, jak i te panny, postępuje w ich gronie, zdaje się, że tam nabrała sił nowych: powiedzianoby, że młody gołąbek wyrwawszy się ze szponów drapieżnego ptaka powraca do swoich; widzi daléj Artur, jak pada na kolana, i puscza mimo siebie liczny orszak panien. Ah! jakichże dziękczynień Bogu nieskładała, którego święty Obraz koło niéj przechodził, w pośród obłoku kadzidła i desczu kwiatów; z jakże głębokiém zebraniem ducha nachyla głowę i modli się za męża, którego uwielbia i kocha.... a bez wątpienia i za tego, który jest godnym jego towarzyszem broni!... Wkrótce Półkownik, który jéj z oka niestracił, widzi jak wstała spokojnie, jak przebywszy kilka ulic weszła do domu Lorysa. Niemając żadnéj o nię obawy, ucieszony w sercu, że to dla niéj zrobił, daje jéj iescze nowy dowód ślachetnéj duszy przez następujący list, który do Baronowéj napisał: „Aniół, któregoś zgubić pragnęła, już jest „zabezpieczony przed piekielnym twoim spiskiem. „Człowiek honoru, ten któregoś ty chciała zaufa-

„ nia nadużyć, niesplamił charakteru swojego, po-
„ znał Cię i gardzi tobą.”

Jednak pomieszanie, które się wydawało na twarzy Kalisty, było powodem licznych zapytań, na które bez wybiegów odpowiedziała wiernèm opisaniem tego, co zaszło.

Matko moja! padając na ręce Pani Lorys, zawołała Kalista, czemużem nieszła za twojémi radami! czemużem niesłuchała głosu roztropności!.. Mocne wzruszenie, którego doznała, osłabiło na niejaki czas jéj zdrowie, które się polepszyło, skoro Jenerał powrócił. Dowiedziawszy się o ślachetnym postępku Artura, podziękował mu tkliwie, i przyprowadził go ze sobą, aby cała familija przyjęła go za najwierniejszego z przyjaciół; szczególniéj młoda Hrabina zachowała dla niego dozgonną wdzięczność. On ich uwiadomił, że Baronowa Mąbrę, któréj liczne podstępy odkryte nakoniec zostały, dręczona od wierzycieli, opuszczona od Alcyda, którego sam zawiadomił o wszystkiém, ujechała z Paryża, aby ukryć w ustroniu imie shańbione, wdzięki zapomniane z pogardą, i doznawać niedostatku i niepamięci, na które dawno zasłużyła. Z pamięci Kalisty nigdy niewyszło to okropne zdarzenie; opowiedziała je nawet swojéj córce dla nauki, jak ważnym jest wybór prawdziwéj przyjaciółki; i jak młode kobiéty powinny się wystrzegać tych

intrygantek wychodzących z mody, dla których wstyd uczciwéj niewiasty jest męką, a jéj wierność wyrzutem; które drżą na widok pięknéj twarzy, i dla tego starają się mieć przyjaciółki w młodych osobach, aby je ślepą ufnością zgubiły.

WYJĄTEK Z ORYGINALNÉJ KOMEDYI:

ORYGIŃAŁY.

SCENA III.

TEREFERSKA, PAN BOCHENEK.

PAN BOCHENEK.

A już też kara Boża! lub skończenie świata,
Porcyja jak dla dziecka, a duża zapłata!
Rosół na dnie talérza, sztuka mięsa chuda,
Z chrzanem przeklętym chrzanem: a to wielkie cuda,
Jeśli dadzą z musztardą! cielęcia potrawka,
Ale to potraweczka, na chwilę zabawka.
Z resztą pieczeń, jak wróbel i troche selerów.
A jabym powypędzał wszystkich traktyjerów!
Wszędzie już próbowałem, jadłem wszędzie prawie,
Z głodu umiérać trzeba w kochanéj Warszawie.
Na wsi to, na wsi życie *(uśmiécha się)* wygodne i cudne,
A ja tu przy miłości, dalibóg! wychudnę.
Tyćka pieczeń, ot tyćka, tyćka sztuka mięsa,
A zamiast porządnego, ot tak, chleba kęsa,

Ty-

Tyćka kromeczka; proszę, tu poczciwy człowiek,
Zawsze głodny i nędzny mdłych dowiera powiek,
I głodny wstawać musi, i ledwie a ledwie,
We dnie za sobą nogi powłóczy obiedwie.
Przyśpiesz, Pani, zamęście przez jakową radę,
Bo głodem przymuszony w krótce na wieś jadę,
Gdzie po tutejszych postach, po tyćkich pieczeniach,
Po głodnych i bezsennych w Stolicy marzeniach,
U dawnych mych znajomych wiejskiéj manijery,
Żywot sobie naprawię i polepszę cery.
Wy Stolicę, jak chcecie, pod nieba wynoście,
Ja, dalibóg, wyglądam jak po wielkim poście.

TEREFERSKA.

Nieżartujże, mój Panie; widząc twoję tuszę,
Mimo chęci z tych żalów śmiać się teraz muszę.

PAN BOCHENEK.

Tyćki kawałek, tyćki kawałek pieczeni!
A toć to dla dzieciny; jeśli się niezmieni
Taka ścisła dyjeta, ujrzysz, Pani, wreście,
Że wychudnę i z suchót umrę wam w tém mieście.
Ja zaś mam dobrą tuszę? ja cienki jak trzcina,
Jak do tańca ściągnięta młodziuchna dziewczyna.

TEREFERSKA.

Czy wiész, Panie Bochenek, że, na szczęście moje,
Dziś mi z Paryża przyjdą zamówione stroje,
W które się wygaluję na wasze wesele.

PAN BOCHENEK.

Skoro na wieś powrócę, muszą mi piéc ciele;
A tak sobie dogodzę, za te wszystkie posty!
Tyćki kawałek! tyćki! a stąd wniosek prosty,

Że dla tego w Stolicy twarze chude, blade:
Warszawo! bywaj zdrowa, ja na wieś pojadę.

TEREFERSKA.

Czy wiész, Panie Bochenek, że brat mój zezwala,
By na zawsze oddalić twojego rywala.
Już ułożył projekta ślubnego kontraktu,
Urzędnik do małżeństwa zamówiony aktu.

PAN BOCHENEK.

Alboż ja głupi słuchać jego bazgraniny,
Wolę schrustać tymczasem ćwiartkę cielęciny;
Z sałatką gdzie w kąciku; ah! ślinka mi płynie,
Jabym umarł najpewniej przy téj gadaninie.
Lepiéjby brat Waćpani ułożył rozprawę,
Jak to można w garkuchnią przemienić Warszawę;
To jest, by wyznaczyli wyżsi urzędnicy
Z kilkanaście hotelów na każdéj ulicy.
Toż toby zacny człowiek, co krok, co stąpienie,
Mógł posilić apetyt, zajadać pieczenie,
Pieczenie! jescze jakie? huzarskie! huzarskie!
O bodaj zakwitnęły czasy pieczeniarskie!
Otóż to taki projekt niech poda braciszek.
(maca się po brzuchu).
A dalibóg ci kruczy w głębi moich kiszek.
(z miną żałosną)
Już mi dechu niestaje, posilić się trzeba!
Mam się głodzić! to woła o pomstę do Nieba!
Pan Bóg na to dał życie *(namyśla się krótko)*, tak,
na to dał życie....
Mdłości mnie biorą!.. a tak! na to! wyśmienicie,
Byśmy je utrzymali, byśmy jedli, pili,
A nigdy się, broń Boże! nigdy niegłodzili.
Kto więc głodem się morzy, ten grzészy okropnie.

TEREFERSKA.

Już też cierpliwość moja przeszła wszystkie stopnie.

PAN BOCHENEK.
(wpadając jéj w słowo).

Zapewne i Waćpani pójdziesz na obiadek,
Jeśli nie w domu, może do swoich sąsiadek.
(Przypomina sobie coś nagle, i wrzesczy jak oparzony).
Hola! przez miłość Boską! to skończenie świata!...
Człowiek i tu i owdzie po Stolicy lata!
Byłbym na śmierć zapomniał, że jestem proszony,
A jescze tam, gdzie smaczne dają bulijony;
Do pana Bigosika, na obiad solenny,
Trzeba wiedzieć, jest to mój przyjaciél niezmienny.
Prawda, że nie jest niczém; ale i to fraszka;
Czego też niezrobiły obiady i flaszka?
Wspomniał mi coś niedawno, i o to zawadził,
Ażebym mu herb jaki na prędce doradził.
Nieprzyszło mi to na myśl; szkoda! wielka szkoda!
Niech to ma w herbie, z czego publiczna wygoda,
Z czego wzgląd i poklaski i chwałę pozyska:
Pieczeń między kiełbasą, tarcza w kształt półmiska.
I ja za herb mych przodków, który ciérpieć trzeba,
Wolałbym dziś dzban piwa i bochenek chleba;
A obok niego jescze krążek séra tęgi:
Jeść, pić, to dla mnie mitry, to herbowne wstęgi!
Ah! przeklęta pamięci, znowu zapomniałem.
Dzięki mojéj klepsydrze *(pokazuje na brzuch)*; lecę, biegnę cwałem;
Już na mnie Pan Bigosik z upragnieniem czeka:
Bodaj mieć przyjacielem zacnego człowieka!

TEREFERSKA *(porywa go za rękę)*.

Stój i powiedz natychmiast, czy myślisz się żenić?
Co cię tak nagle zmusza ten zamiar odmienić?
Wiem ja, czemu Jegomość ubliża mi ucha,
Bośmy się niestarali ująć jego brzucha:
A on tam najwierniejsze miéwa przyjacioły,
Gdzie huzarskie pieczenie, gdzie otwarte stoły;
Ale nie na tém koniec, Mospanie Bochenku,
Mamy na Wasindzieja sprawiedliwość w ręku.

PAN BOCHENEK *(wyrywa się)*.

A cóż to? czy Waćpaństwo zagłodzić mnie chcecie?
To jest niesprawiedliwość największa na świecie!

TEREFERSKA.
(mówi razem z Panem Bochenkiem).

A słuchajże mnie przecie, ty wiejski żarłoku!
Cóż to? wszak o Leosię starasz się od roku?
Już ci jest przyrzeczoną, a ty stroisz żarty,
I na głód mi narzekasz, łakomszy nad charty.
Lub weź mą siostrzenicę, lub za te igraszki,
Wnet ci na łbie potlukę te słojki i flaszki.
(zabiera się do słojków i flaszek stojących na komodzie)

PAN BOCHENEK.

Cóż to? Waćpani myślisz, że ja żyję głodem?
Ah! zastanów się tylko nad Bochenków rodem;
Ręczę honorem, daję poczciwości słowo,
Dobrze jedli i pili, wyglądali zdrowo.
A ja?... ale Waćpani jesteś rozdąsana...:
Uciekam! tyś jest gorsza od siostry szatana.
(ucieka).

BAJKA

GOŁĄB i KURA.

Cóż to za odgłos ponury!
Wołały przelękłe kury,
Siedząc u chłopa na grzędzie.
„Nie długo tu tego będzie!
„Krzyknie na to jedna śmiała;
„Jabym w zakład życie dała,
„Że to jest śmiałek mizernéj postaci:
„On burcząc sobie pod nosem,
„Chce nas roztropne kury zatrwożyć swym głosem."
To rzekłszy czasu nietraci,
Wchodzi do izby, pod komin wbiega,
A tam spostrzega
Owego zucha,
Co to i grucha i grucha;
Pac go zatém, pac po czubie,
Aż mu rzęsisto poleciało piérze,
Oto masz! rzekła, tchórzów nadętych nielubię,
Nieudaj Marsa, gdyś nędzne zwiérzę.—

ROZBIÓR NOWEGO PRZEKŁADU
CYDA,
DOKONANEGO PRZEZ L. OSIŃSKIEGO,
i uwagi nad katastrofą, czyli zakończeniem téj Trajedyi.

„Wiérsze, o których tu wspominam, może-
„by w przekładzie inszych do najlepszych na-

„ leżały; ale Osiński dał nam prawo żądania od „ niego doskonałości.”— Tak wyrzekł Pan X. w r. 1818. (*), to samo i ja ponawiam. Chcąc zaś rozbiérać tłumaczenie, o którém iescze 1801. r. Dmochowski powiedział, że jest *bardzo pięknem*, co prawie jednomyślnie dotąd powtarzamy, słusznie powinienbym się obawiać, że mnie wielu z góry za śmiałka i awanturnika okrzyknie. Ale cóż robić? ja na początku tém jedynie zastawić się mogę, że o łaskawą ciérpliwóść prosić będę.— Jako prawdę mający za sobą, śmiało przystępuję do rzeczy; i to mnie wcale niewstrzymuje, że dotąd ani Panowie Iksowie, ani kto z uczonych Rodaków nieocenił dokładnie pracy Męża, który na rzetelną wdzięczność zasłużył. Ale pomińmy resztę, a rozbiorem starajmy się usprawiedliwić to, cośmy naprzód wyrzekli.—

W SCENIE II. AKCIE I.

Arragon drży z Grenadą, gdy ten oręż błyśnie,
Pod moję się obronę Kastylija *ciśnie.*
Grenade et l'Arragon tremblent quand ce fer brille,
Mon nom sert de rampart à toute la Castille.—

Jestże ostatni wiérsz tłumaczenia godny oryginału? Kornel mówi: *Grenada i Arragon drży na połysk tego oręża, imie moje samo jest*

(*) Nr. 3. Dodatku do Koresp: Warsz: z r. 1818.

przedmurzem całéj Kastylii. Ten, który prawdziwie wzorowo przełożył Horacyjuszów, Alzyrę i Cynnę, który w Cydzie pokazał, co może górny talent przy czarującéj harmonii i mocy wiérsza, powinienby zmienić i to miejsce, zwłaszcza, że, jak to sam wyznać musi, wyrażenie: *pod moję się obronę Kastylija ciśnie*, jest nietylko prozaiczne, lecz zupełnie poziome, i niegodnie zastępuje ten śmiały wiérsz Kornela: *imię moje samo jest przedmurzem Kastylii.*— Zastanówmy się teraz nad sceną VII. A. II. nad cudem, że tak powiem, Kornela, w któréj jego jenijusz w tryjumfalnym blasku chwały jaśnieje. Tu nasz Tłumacz musi nam zdać ścisły rachunek z najmnieyszéj piękności, i słusznie; bo tu, jako znawca rzetelnéj wielkości poezyi, powinien był i o sobie i Kornelu pamiętać. Dla bliższego ocenienia przekładu podajemy dosłowne tłumaczenie prozą: „Królu, „Ojciec mój zginął: *moje oczy widziały krew* „*płynącą gęstémi kroplami, z jego ślache*„*tnych piersi; tę krew, która tyle razy zasła*„*niała Twoje warownie, tę krew, która tyle* „*razy zwyciężała za Ciebie, tę krew, która* „*wypłynąwszy, burzy się jescze z gniéwu, że* „*nie za Ciebie, lecz za kogo innego przela*„*na została*, a kiedy ją los wojny oszczę„dzał; Rodryg na twoim dworze ziemię nią ubro-

„czył. Pobiegłam na miejsce, bez tchu i wy-
„bladła, znalazłam go bez życia. Daruj mojéj
„boleści, Królu, głosu mi niedostaje na tę smu-
„tną opowieść, moje łzy, moje łkania lepiéj Ci
„resztę powiedzą."

Po słowach Króla, tak daléj mówi:

„Królu, moje nieszczęście zjednało mi wiele
„zaszczytu. Słyszałeś z ust moich, znalazłam go
„bez życia, pierś jego była otwarta, i aby mnie
„tém mocniéj poruszyć, krew jego na piasku
„zapisała mi powinność, albo raczéj męztwo je-
„go w tym stanie, przemawiało do mnie z ra-
„ny i nagliło o zemstę; aby zaś od najsprawie-
„dliwszego Króla wysłuchane było, przez te
„nieszczęsne usta, pożyczało głosu mojego. Kró-
„lu, niedozwól, aby przed Majestatem Twoim,
„pod oczyma Twojémi panowała tak występna
„śmiałość, aby najwaleczniejsi byli wystawieni
„na ciosy ręki zuchwałéj, aby płochy młodzian
„szydził z ich sławy, krew ich przelewał i ohy-
„dzał ich pamięć. Gdy tak waleczny bohatyr
„niebędzie pomszczony, ostygnie zapał w Twojéj
„obronie. Wreście, mój Ojciec zginął, wołam
„o pomstę, więcéj dla Ciebie, jak dla praw mo-
„ich. Poniesiesz stratę w śmierci męża tak za-
„służonego, zemścij się za nią przez inną. Po-
„święć nie mnie, lecz Twojemu krajowi, lecz Two-
„jéj wielkości, lecz Twojéj osobie; poświęć, mó-

„ wię, Królu, dobru całego państwa to wszy-
„ stko, cobądź tryjumfuje z tak niesłychanéj zbro-
„ dni."

A naprzód, dzięki Tłumaczowi! zą sczęśliwą zmianę czasu w dwóch początkowych wiérszach:

Ojciec mój zginął, jescze widzą moje oczy,
Jak się z rycerskich piersi ślachetna krew toczy.

Tak poetyczne nabycie jest zawsze piękną korzyścią przekładu, zwłascza, kiedy oryginał jest nieocenionéj wartości. Lecz zapytuję się, jaki powód zniewolił go do zepsucia powtarzania, *tę krew, która tyle razy zasłaniała Twoje warownie, tę krew, która tyle razy zwyciężała za Ciebie, tę krew, która wypłynąwszy burzy się jescze z gniéwu, że nie za Ciebie, lecz za kogo innego przelaną została?* Każdy mi przyzna słuszność zapytania. Obstaję w sprawie Kornela, mam za sobą głos natury i uczucie ludzkości. Córka niesczęśliwa, przytomna skonaniu Ojca, widzi tylko krew jego, i stąd poszło to okropne powtarzanie, które dowodzi, jak tu Kornel zgłębił naturę. Co zaś jescze mocniéj zadziwia, jest opuscenie owéj rycerskiéj myśli, *tę krew, która wypłynąwszy, burzy się jescze z gniéwu, że nie dla Ciebie, lecz dla kogo innego przelaną została.* Aby zaś lepiéj o tém przekonać, wypisujemy ciąg dalszy tłumaczenia.

Ta krew, co twierdzom Twoim dawała obronę,
Co zwycięztwa na Twoję nakłaniała stronę,
Płynie teraz, niestety! nie w kraju potrzebie,
Nie za lubą Ojczyznę, Królu! nie za Ciebie.
Krew, którą w tylu bitwach wojna oszczędzała,
Na Twoim dworze ręka *wytacza* zuchwała,
I w pierwszém doświadczeniu sprosnego bezprawia,
Z tak potężnéj podpory cały kraj pozbawia,
Obala zaufanie najlepszych żołnierzy,
W nieprzyjaciołach męztwo i nadzieje szerzy.
Pobiegłam na plac bitwy, bezsilna, zbłąkana.
Ah! już nieżył!.... *już była zbrodnia dokonana.*
Daruj, Królu, nieskończę *okrutnéj powieści*;
Niech Ci resztę powiedzą te łzy, te boleści.

. . . .

Wyrazy *toczy*, *wytacza*, niedosyć sczęśliwie dobrane, a nawet *krew ślachetna nie bardzo ślachetnie się toczy*!.... Niewiem daléj, co ma znaczyć myśl pożyczona Kornelowi — *i w pierwszém doświadczeniu sprosnego bezprawia* — *Doświadczać sprosnego bezprawia?* — To więc Rodryg, mszczący się zniewagi Ojca, *doświadcza sprosnego bezprawia?* Jakże Polska Chimena rozprawia w żalu tak okropnym? Nie bardzo także wdzięczni jesteśmy za dodatek — *obala zaufanie*, który Tłumacz z podobnéj myśli Morsztyna przerobił: i tu jescze chciałbym objaśnienia, jeśli być może, odkąd w dobréj poezyi zaczęło się *obalać zaufanie?* Chwilka cierpliwości! Jak też naprzykład *w nieprzyjaciołach mogą się szerzyć*

nadzieje? a toż czy jest charakterem dobréj Poezyi? jakiéj mamy pełno w samym nawet Cydzie, a jescze więcéj w Horacyjuszach i Cynnie? *Już była zbrodnia dokonana.* Nienapisał tak wielki Kornel, i słusznie; bo kiedy Chimena mówi: *już nieżył*, toć i słuchacze i Król Ferdynand łatwo się domyślą, *że była zbrodnia dokonana.* Ale podobno Kornel niemówi tak często o zbrodni. Kładzie on zawsze w Chimeny usta wyrazy ślachetne o Rodrygu; i tak naturalnie być powinno: z dwóch powodów; że błaga o sprawiedliwość Króla, którego jéj Ojciec zniewagą Dyjega, przewodnika Jego syna, a późniéj dumą obraził; a zatém nazywając zbrodniem Rodryga, dotknęłaby Króla, którego jéj łaskę ująć potrzeba. Powtóre, Chimena samaby się uniżała, dając imie *zbrodnia* Rodrygowi; wszakże to kochanek, jéj nawet od Ojca wybrany. Przeto wyrażenia Tłumacza *sprosne bezprawie*, *zbrodnie*, *młody zbrodzień*, sprzeciwiają się zamiarowi Kornela. Dosyć zaś będzie powiedzieć, *zabójca*, *morderca*, bo tak tylko Chimenie wolno jest nazwać kochanego Rodryga. Wszakże w oryginale Chimena nic niemówi na początku o zbrodni. Przymiotnik także *okrutna powieść*, zdaje się być wcale niewłaściwy. Posłuchajmy daléj Tłumacza:

Królu, nieszczęście zbytek łaski mi zjednało.....
Przybiegłam, *ale martwe zastałam już ciało.*
Nieżył już, *nieprzemówił.....* potężniejsza siła,
Krwią mi jego na piasku powinność kréśliła.
Lub raczéj *głos tajemny z rany się dobywał,*
I silniéj, niż słowami mojéj pomsty wzywał.
Gdzie Ty, Królu, panujesz, bądź tam swobodnie,
Przed Twoim Majestatem tryjumfować zbrodnie?
Nie..... Tyś jest sprawiedliwym, święta praw powaga,
Głos bohatyra z grobu nie próżno Cię błaga.
Niedozwolisz, ażeby pod rządy Twojémi,
Zabijano najpiérwszych obrońców téj ziemi,
Aby się młody zbrodzień na wszystko ośmielał,
Może chlubił bezkarnie ze krwi, którą przelał.
Zginął wódz piérwszy w Twoich wojowników rzędzie,
Jeżeli się niepomścisz, kto Ci służyć będzie?
Wreście ja Ojca mego, kraj obrońcę traci.
Nagródź to równą śmiercią; niech się krew krwią płaci.
Znieś ten ród nienawistny! tego Twoja chwała,
Tego lud żąda, tego Kastylija cała.
Gdzie blask słońca dochodzi, cóż znajdziesz godnego
Na okup krwi tak drogiéj?

Znowu dodatek, *ale martwe zastałam już ciało.* Kornel mówi: *już powiedziałam, znalazłam go bez życia.* Tłumacz w tém miejscu poszedł za dawnym przekładem, równie jak w dodatku — *nieprzemówił;* wszakże każdy wié, że *kiedy nieżył, to i nieprzemówił.* Ale Tłumacz chciał się wyrazić może jaśniéj, zmieniając tę wielką myśl Kornela: *znalazłam go bez życia, pierś jego była otwarta; i aby mnie tém mo-*

cniéj poruszyć, krew jego na piasku zapisała mi powinność, albo raczéj męztwo jego, w tym stanie, przemawiało do mnie z rany i nagliło o zemstę, i aby od najsprawiedliwszego Króla wysłuchane było, przez te niesczęsne usta, pożyczało głosu mojego. Widzimy, co za szkodę ta jasność zrobiła. Najpiękniejsze uniesienie Chimeny przeszło w zimną rozwagę, po któréj się nierychło miarkuje. Niemówi także Kornel jakoby *tajemny głos dobywał się z rany*, ale, że męztwo Ojca przemawiało do córki, a to jest piękniéj i mocniéj. *Gdzie Ty, Królu, panujesz.....* Tu błąd widoczny w odmianie wyrażenia prostego na zapytanie, albo raczéj w dodatku do myśli Kornela. Bo jego Chimena zawsze odzywa się więcéj do łaskawości Króla, gdy mówi te słowa: *Królu, niedozwól, aby przed Majestatem Twoim, pod oczyma Twojémi, panowała tak występna śmiałość* (une telle licence), *aby najwaleczniejsi byli wystawieni na ciosy ręki zuchwałéj, aby płochy młodzian szydził z ich sławy, krew ich przeléwał, i ohydzał ich pamięć.*

W przekładzie zaś Chimena zdaje się powątpiéwać o sprawiedliwości Króla; bo jakby miała dowód niesłusznego wyroku dawniéj przezeń wydanego, zapytuje się śmiało:

Gdzie Ty, Królu, panujesz, będąż tam swobodnie,
Przed Majestatem Twoim tryjumfować zbrodnie?

Na cóż ta porywczość, kiedy Król Ferdynand nic jescze nie wyrzekł? Taką zawczesną wątpliwością, nienajlepiéj się ujmuje sędziego.

Daléj czytamy:

Aby się młody zbrodzień na wszystko ośmielał.

To wyrażenie, źle zastępuje trafne słowa oryginału: *un jeune audacieux.* Jescze powtarzamy, że Rodrygowi nieprzystoi taki ohydny przydomek: bo mści się zniewagi Ojca; kochanka dać mu go także niemoże. Ale najbardziéj zadziwia dodatek... *na wszystko ośmielał.* Na cóż więcéj ośmielał się Rodryg? Niełatwa odpowiédź, i nikt zapewnie w tém miejscu niezaspokoi naszéj ciekawości.

Jeżeli się niepomścisz, kto ci służyć będzie?

To wyrażenie jest proste. Kornel mówi: *gdy tak waleczny bohatyr niebędzie pomsczony, ostygnie zapał w Twojéj obronie.* Myśl prawdziwie ślachetna, poetyczna i naturalna. —

Od wyrazów: *znieś ten ród nienawistny i. t. d.* wcale niepoznajemy Kornela. W oryginale wyraźnie ta myśl zamknięta: *poświęć, niemnie, lecz Twojemu krajowi, lecz Twojéj wielkości, lecz Twojéj osobie; poświęć, mówię, Królu, dobru całego państwa to wszystko, cobądź tryjumfuie z tak wielkiéj zbrodni.* Otóż nareście

wezbrana, że tych słów użyję, boleść i rozpacz Chimeny przymusza ją zapomnieć się, i nazwać zbrodnią zabójstwo Gomeza Ojca swojego; ale przy tych słowach niewspomina imienia Rodryga, co także jest sztuką Francuzkiego poety, i tylko powiada ogólnie: *poświęć, Królu, dobru całego państwa to wszystko, cobądź tryjumfuje z tak wielkiéj zbrodni:*

Nareście samowolny przybyt:

Gdzie blask słońca dochodzi, cóż znajdziesz godnego
Na okup krwi tak drogiéj?

najniestósowniéj kończy skargę Chimeny w Polskim przekładzie, i niszczy piękny skutek wymownéj oraz poetycznéj sceny Kornela. Bo jeżeli Chimena po tak słusznem obżałowaniu dodaje, że Król nieznajdzie na *całym świecie* nie godnego na okupienie krwi jéj Ojca, to tém bardziéj w Kastylii nie godnego niebędzie. Więc sama zrzeka się opieki prawa i sprawiedliwości Monarchy. Wyznaję, że ten dodatek jest niesczęsnym wynalazkiem dawnego tłumacza, ale téż właśnie tu powiedzieć muszę: oddajmy Cesarzowi, co jest Cesarskiego. Niebyło się o co dobijać. Poznajemy z tego, że przekład nowy Cyda jest raczéj naśladowaniem Kornela, często wyrównywaiącém oryginałowi, najczęściéj śmiało pokonywaiącém jego trudności, jak naprzykład w odpowiedzi Dyjega na skargę Chimeny, w opisie

walki Rodryga (*), który to opis jest prawdziwym wzorem tłumaczenia, w piérwszéj scenie i w tylu innych miejscach; czasem jednak daleko niższym od niego. — Nie dla popisania się, ale że każdemu wolno sił doświadczać, i, ieśli czuje iskrę powołania, iść w zawód z górnym talentem Mężów, którzy się tak pięknie, iak L. Osiński zasłużyli naszéj literaturze; kładę skargę Chimeny mojego: przekładu. Starałem się, ile

---

(*) Nie ubliży to jednak sławie Tłumacza, gdy, co do przekładu tego opisu, dwie zrobię uwagi:

Cette obscure clarté qui tombe des etoiles,
Enfin avec le flux nous fait voir trente voiles,—

tak Osiński przełożył:

Ciemną rzucały jasność gwiazdy, kiedy nagle
Afrykańskich okrętów spostrzegliśmy żagle.

Obscure clarté za wiernie oddane przez *ciemną jasność*; bo ten wyraz ma w Polskim języku jedno znaczenie t. j. zupełnego braku światła, gdy przeciwnie *obscure* znaczy tu *blady*, i lepiéj byłoby nazwać *obscure clarté bladą ciemnością*; źle bowiem brzmi ta *ciemna jasność*. —

Powtóre: Nie byłoby od rzeczy zmienić dwa, chociaż bardzo piękne wiérsze:

Wrzała bitwa zajadła, a w tym długim sporze,
Krwią się zbroczyły lądy, krwią zbroczyło morze,

bo wyrażenie oryginału:

Et la terre et la fleuve, et leur flotte, et le port,
Sont des champs de carnage où triomphe la mort,

jest nieporównane.

możności być wiernym Kornelowi. Otwarcie wyznaję, że harmonija wiersza mojego, a nawet moc jego wewnętrzna, niemoże się równać z pełnością i płynnością wiersza L. Osińskiego. Przyczyna zaś istotna, dla któréj moje tłumaczenie nasuwam, jest ta, że jeżeli mnie udało się czasem pojąć ducha ognistego Kornela, czegóżby niedokazał Osiński, przelawszy na nowo nieporównaną skargę Chimeny, któréj przekład, niegodny po większéj części Tłumacza, nie z korzyścią przeistacza Kornela.

CHIMENA.

Ojciec mój zginął, jescze widzę, niescześliwa,
Jak się z rycerskich piersi krew jego dobywa;
Ta krew, co tyle razy mury twoje wsparła,
Ta krew, co tyle zwycięztw twym wrogom wydarła,
Ta krew, co wypłynąwszy, jescze gniewem pała,
Że nie za Ciebie, Królu, przelaną została,
Nigdy się jéj los bojów dotknąć nieośmielał,
Rodryg na Twoim dworze bezkarnie ją przelał.
Bez tchu, bez sił pobiegłam, gdzie było spotkanie,
Ah! już nieżył! Boleści mojéj daruj, Panie,
Głosu mnie pozbawiła okropność méj męki,
Resztę Ci dopowiedzą moje łzy i jęki.

. . . .

Nieszczęście tyle względów zjednało Chimenie.
Już nieżył!.... już go śmierci otoczyły cienie,
Krew, co przebitą piersią wypłynęła z ciała,
Na piasku mi powinność moję zapisała,
Lub raczéj męztwo jego przez otwarte serce
Wołało, bym wzywała pomsty na mordercę;

I, ażeby mnie raczył Król wysłuchać prawy,
Powierzało mym ustom całość swojéj sławy.
O Panie! w Twoich oczach zabito mi Ojca,
Niechaj przed praw powagą drży jego zabójca.
Niedozwól, by powszechnym wielbieni odgłosem,
Najdzielniejsi ginęli pod zuchwałych ciosem,
Ażeby śmiały młodzian ich laury zohydził,
Bezkarnie krew ich przelał, z pamiątki ich szydził.
Gdy zemsty niepoświęcisz zabitego chwale,
Obrońcy Twoi w męzkim ostygną zapale.
Wreście, Ojciec mój zginął!.... pomsta sprawiedliwa
Niech się spełni; o Królu! Chimena jéj wzywa
Więcéj dla Twojéj sprawy, więcéj jak dla siebie.
Twoję stratę w mym Ojcu mogiła zagrzebie.
Śmierć jego pomścij śmiercią, za krew, niech krew płynie,
Niechaj słuszna zapłata mordercy nieminie.
Poświęć, nie dla mnie, ale dla przykładu światu
Dla chwały, dla wielkości Twego Majestatu,
Poświęć (a to Twą miłość kraju udowodni),
Wszystko, cobądź z tak wielkiéj tryjumfuje zbrodni.—

Niech przecie nikt niemnienia, że wykazaniem kilku uchybień w nowym przekładzie Cyda, chciałem ubliżyć sławie szanownego Tłumacza. Niewaham się wyznać, że moim zamiarem było ostrzedz, aby ci, którzy się pięknéj literaturze poświęcają, zbytecznie sobie nigdy nieufali; bo niewolno jest zasnąć na zdobytych wawrzynach w tenczas, kiedy jenijusz wzywa na obszerne pole wziętości i sławy, i kiedy prawdziwa zdatność wyższy zawód otwiéra. Chciałem, mówię, ostrzedz młodych literatów, że kiedy ten, który

język Polski w przekładach swoich, do najwyższego stopnia giętkości i mocy posunął, niemógł się uchronić usterków, tém więcéj my, dalecy od niego zasługą, lękać się powinniśmy surowéj lecz sprawiedliwéj przygany, za uchybienia w wysłowieniu i smaku.

Niech nas pociesza i zachęca wielki przykład Osińskiego; ale razem pamiętajmy o tém, że kto się chce prawdziwie Literaturze zasłużyć, równie, jak on, wahać się powinien, a jeżeli mu okoliczności pozwolą, przynajmniéj zachować nakaz Horacego: *aż do lat dziewięciu chowaj twoje dzieło* (nonum prematur in annum). Może i myśli moje według tego przepisu oceni światła Powszechność; uprzedzam, że je skromnie podaję, i, dla pożytecznéj nauki wszystkich szanownych Znawców, o ich sprostowanie upraszam. —

Aby zaś mieli tém obszerniejsze pole do uczonych rozpraw, to, co mnie samemu względem katastrofy czyli zakończenia Trajedyi Cyda nieraz na myśl przyszło, i co wielu nieuprzedzonych zemną powtórzy; ośmielam się następnie wymienić w tym Dodatku do uwag nad przekładem Cyda.

Laharp, z którego wyrażenia się widać, że ulubione swoje *widzi mi się* miał na myśli, i z uporem przy niém obstaje, w V. Tomie dzieła

Cours de Litterature, na stronicy 189. po różnych uwagach względem Rodryga i Chimeny, tak nareście zdanie swoje objawia: „Prawda' „że Cyd zabił Ojca Chimeny; lecz tak powinien „był zrobić, i ona sama zgadza się na to; lecz „ocalił Ojczyznę, lecz pokonał i rozbroił ryce„rza; który się ujął za sprawę Chimeny; bo „Król pozwolił na tę walkę, jedynie z warun„kiem, że przyjmie rękę zwycięzcy. Jleż to „ważnych przyczyn silących się na szali z po„winnością córki"!

Prawda, że wiele, odpowiadamy na to; ale żadna nie jest taką, aby przeważyła powinność dobréj córki! Przestańmy szukać na teatrze stósunków społeczności, często bardziéj urojonych i poetycznych, jak rzeczywistych i sprawdzonych. Co Kornel w uniesieniu i zapale bujnéj, a często przesadzonéj wyobraźni wynalazł, maż to być dla nas prawidłem? mamyż tego bronić za przykładem Laharpa, jakby zgodne było z naturą, zgodne z uczuciem serca ludzkiego? Przestańmy wierzyć na hasło *magister dixit*; bo inaczéj na nic nowego, na nic wielkiego niepotrafimy się zdobyć. Ktokolwiek zaś zboczył z drogi natury i prawdy, niech to będzie Homer lub Kornel; powiédzmy otwarcie i bez uporu, dla własnéj nauki, że zbłądził. Ale, żeby te rozumowania z siebie najjaśniéjsze poprzeć

uważnym rozbiorem; zobaczmy, jaki iest stopień pewności zdań Laharpa! „Cyd zabił Ojca „Chimeny; lecz tak powinien był zrobić, i ona „sama zgadza się na to." Pozwalamy.— „Lecz „ocalił Oyczyznę!" Nic dzikszego nad myśl podobną. Żądałże tego Król Ferdynand lub Chimena? Jescze tu trzeba powiedzieć, że Królowi więcéjby należało mieć przykrości z tego czynu Rodryga; bo go dokonał mimo jego wiedzy; bo chlubiąc się z niego, potępia niebaczność Monarchy. A wreście, cóż ma za związek zwycięztwo Rodryga nad Maurami z nieszczęściem Chimeny? To więc dla tego, że za namową Ojca Rodryg świetne odniósł zwycięztwa, Chimena ma się zrzec ślachetnéj pomsty za swojego Ojca? Ale ocalił Ojczyznę,— powtórzą jescze uprzędzeni. A ja na to odpowiadam, że ten ustęp walki z Maurami, nie jest ściśle połączony z główną akcyją. Wcale inaczéj mamy w Horacyjuszach, gdzie Horacy, dopiéro po ocaleniu Ojczyzny, własną siostrę zabija. A kiedy tam lud Rzymski, na ów czas dziki i mało wyobrażeń o ludzkości mający, uwalniając zbawcę swego od kary śmierci, pod szubienicą na hańbę przejść mu rozkazuje; aby zbrodnia zupełnie bezkarną niebyła; cóż pomyśléć o nas, którzy w czasach oświéconych i moralnych, pochwalamy czyn Chimeny, oburzający wszelkie

uczucia cnotliwego serca, niemając na to przykładu historycznego, ani w starożytności, ani w czasach rycerskich? i mieć go nigdy niemożemy, nawet w urojeniu.

Jescze tu wspomnieć należy o Edypie Sofokla. Ten syn niesczęśliwy mimowolnie zabija Ojca, i mimowolnie popełnia kazirodztwo z Jokastą, własną Matką, a jednak czując okropność i sprosność postępku swojego, sam się wskazuje na stratę oczu i nędzę. To więc starożytni, takby nas mieli zawstydzać w uczuciach moralności i cnoty? ci starożytni, których jako mających niskie wyobrażenie względem delikatniejszych związków społecznych, względem ludzkości, nieraz poniżamy chełpliwie, i nasze czasy, w których się podoba niegodny czyn Chimeny, zapominającéj niejako o zabitym Ojcu, za wzorowe przeciw tamtym stawiamy?— Jnne myśli Laharpa są mniéj więcéj godne wspomnienia. Lecz jednéj jescze niemożemy pominąć.

„ Król pozwolił na tę walkę, jedynie z warun„ kiem, że przyjmie rękę zwycięzcy!"— Że pozwolił, to nic niedowodzi; że zaś może złamać ten warunek, po rozbrojeniu Sancheza; tego jéj honor, tego natura wymaga, i wtenczas dopiéro jéj cnota i stałość w najpiękniejszym blasku chwały zajaśnieją. Bo im większa, ale zawczesna, ale niesłuszna jest widzów nadzieja, że

Chimena zmieni swój zamiar pomsty na Rodrygu, tém większy tryjumf poety, i tém okropniéj uderzy umysły wszystkich skutek nagłéj a naturalnéj katastrofy, gdy Chimena zginie, jak cnotliwa córka.

Nakoniec Poezyja niepowinna być wsprzeczności z dobrocią serca i ludzkością; natura jéj żywiołem, natura zasadą i źródłem i miarą. Gdyby tylko jeden Ojciec, jedna Matka (jak to ja słyszałem z ust pewnéj, któréj popioły niech spoczywają w pokoju!), gdyby, mówię, jeden syn cnotliwy, jedna dobra córka, uważnie rozebrawszy osnowę Cyda, zganili postępek Chimeny; już zakończenie przestaje być koniecznem i dobrém; bo niejest naturalném, ale wyszukaném. Nie poeta ma prawo zupełnego sądu o rzeczach tyczących się serca; ale ci, których to najwięcéj obchodzi, inaczéj smak Poezyi, będzie wyłączną własnością pewnych tylko ludzi, a sama Poezyja nudném rzemiosłem, bez prawdziwéj korzyści dla rozumu i serca.

Wreście spytajmy się samych siebie, jakby Chimena, za powrotem zimnego rozsądku i spokojnéj miłości, mogła uważać męża, na którego ręku zdawałoby się jéj widzieć krew Ojca własnego? Może tu powiedzą niektórzy entuzyjaści; że po zakończeniu trajedyi niemiarkujemy ciągu życia bohatyra, i niepytamy się z katastrofy o dalszy

jego wątek. O wygodne teatralne systema! wygodne, powtarzam, któreby nas bawiło nie dziejami i czynami prawdziwémi ludzi, ale, że tak powiem, lalkami dowolności i dziwactwa poetów, z charakterem utwarzanym według niestałéj fantazyi, właściwéj wielu tegoczesnym olbrzymim i śmiésznym romansom. Żałowałbym Chimeny, gdyby taką być miała, a inną być niemogła. Dzięki przecie Kornelowi, zostawił on już w swojém Dziele zaród innéj katastrofy Cyda, któréj, może dla tego, że zmian robić nielubił, i tak rzeczy zostawiał, jak mu się raz wydobyły z pod pióra, do tych myśli z Cyda, jakie w krótce wymienimy, przystósować zaniedbał.

Dwie drogi miał Kornel, które mógł był sobie obrać we względzie katastrofy Cyda: albo, żeby Rodryg zginął od Sancheza, a Chimena po nim z rozpaczy, jak sama mówi w Sc. 3. A. III.

Chcę zemsty, i wstręt do niéj w sercu mojém kryję,
Pragnę téj śmierci, któréj sama nieprzeżyję.

i tamże:

Chcę go ścigać, chcę zgubić..... sama umrzéć po nim.

Albo, żeby zginęła Chimena, niemogąc ani wymagać innéj walki, po rozbrojeniu Sancheza przez Rodryga, ani Rodrygowi oddać swéj ręki, bez ściągnienia na siebie wyrzutów świata

i własnego serca, jak się z tém słusznie odzywa w Sc: 2. Akcie V:

Mogęż znienawidzona, przed sobą, przed światem,
Zostawić niepomsczone Ojca mego cienie;
Rodrygby tego nieśmiał przebaczyć Chimenie,

w tym, mówię, okropnym stanie przebłagać cień Ojca, i uwiecznić własną śmiercią jego pamiątkę.

Ta myśl ostatnia, niezaprzeczonéj pełna rzewności, zapaliła mnie, aby ją ująć, i natchnęła następujące zakończenie Cyda, które przystósowałem do słów Króla w Scenie przedostatniéj:

„ *Przestań już, córko moja nowéj pomsty wzywać,*
„ *Ani chciéj tak ślachetnéj miłości ukrywać.*
„ *Mogłaś (widział to Ojciec, wszyscyśmy widzieli),*
„ *Na grób Gomeza mężnych powołać mścicieli.*
„ *Mogłaś w zapale zemsty, dla krzywdy obmycia,*
„ *Tylekroć tak drogiego nieoszczędzać życia.*
„ *Przecież go w tylu walkach ocalił od zguby,*
„ *Oręż i miłe niebu twoje za nim śluby.*
„ *Płomień ten wstydem twego nieokryje czoła,*
„ *I Ojciec więcéj ofiar wymagać niezdoła.*"

CHIMENA *(w ostatniéj rozpaczy).*

Jescze jednéj wymaga, w téj okropnéj dobie,
Niescześliwa na jego poświęcę ją grobie!
Królu, łzy wyléwałam, kiedy Ojciec zginął;
Mniemając, że cios słuszny zabójcy nieminął,
Płakałam lubéj straty!.... przebaczcie mi nieba.
Stało się!..., gdy mi tylko w rozpaczy żyć trzeba,
Niech się mój stały wybór dłużéj nieodwleka,
Niepomszcony cień Ojca téj ofiary czeka!....

Długo niegodna walka wstrzymywała serce,
Długo występny ogień pocieszał mordercę.
Ustępuj z mojéj duszy, nadziejo zwodnicza!
Ustępuj hańbo wieków z mojego oblicza.
Tenżeby rękę moję bezkarnie posiadał,
Który dawcy dni moich cios śmiertelny zadał?....
Przysięgę wiecznéj wiary odbierze zabójca,
Od niegodnéj i rodu i drogiego Ojca?
Miłość kochanka miłość ku niemu ostudzi?
Zohydzę się w obliczu i nieba i ludzi?
A płocha w mych życzeniach i w zemście niestała,
Ujmę dłoń, co krew Ojca bezkarnie przelała?
Niech dzikie uwielbienie wynosi Rodryga!
Na tak okropne śluby natura się wzdryga.
Pełna zgrozy, cofam się nad przepaścią błędu!
Królu! poznaj to serce; miłości zapędu,
Niebierz za obojętność niesczęsnéj Chimenie!
Przebaczcie jéj, przebaczcie, opłakane cienie!
Ojcze! ta ręka zmaże krwi twojéj ohydę,
(przebija się)
Wybrałam śmierć ślachetną i za tobą idę.

SCENA OSTATNIA.

DAWNI i RODRYG.

R O D R Y G.

Jakiż okropny widok!.... o męczarnio piekła!....
Tyżeś sama niesczęsna swoję śmierć wyrzekła?
Ah! jam ci zabił Ojca! jam sprawcą twéj zguby!
Rozumiem cię, o celu miłości méj luby........
(chce się przebić, Król wstrzymuje go).

K R Ó L.

Wstrzymaj się; także moje serce zakrwawicie?
Już teraz do Ojczyzny należy twe życie.

Po tak bolesnéj stracie niesczęsnéj rodziny,
Ty, Rodrygu, odświéżaj jéj chlubne wawrzyny.
Pomnij na twego Ojca szanowną siwiznę,
Żyj! i twoją dzielnością ocalaj Ojczyznę,
„*Stań na czele rycerstwa, niech nasza potęga*
„*Za morzami ukrytych nieprzyjaciół sięga.*" (*)
Jeśli za śmierć kochanki chcesz się pomścić swoją,
Pamięć jéj w sercu nosząc, przyodziany zbroją,
Z jéj najdroższém imieniem, na polu zwycięztwa,
Giń dla niéj, jak ofiara miłości i męztwa!

CHIMENA,
(konająca, którą kobiety wstrzymują na ręku).

Królu! Twojeby słowa usta powtórzyły!.......
Żegnam Cię!.... śmierć ostatnie odejmuje siły!....
Żegnam..... ciebie Rodrygu; córka niesczęśliwa,
Jescze do życia głosem Ojczyzny cię wzywa.
Ojca mojego..... straszne..... niеminęły..... ciosy!....
Ah! mniéj ciebie..... obwiniam..... skarżę się na losy!...
Niemogłam..... żyć..... bez kaźni. ... miłość moję mękę
Powiększała..... Rodrygu..... odrzuciłbyś rękę,
I pogardził Chimeną..... jako syn cnotliwy!......
Ona sobie..... zadała..... cios ten..... sprawiedliwy!.....
W krótce się..... cień jéj złączy..... z lubym Ojca cieniem.....
Niegardź..... ah! niegardź..... smutném kochanki..... wspomnieniem!.....
Pomnij, że własną śmiercią swą hańbę zatarła,
Godna Ojca..... i ciebie..... z pociechą..... umarła.

(*) *Z Cyda przekładu Osińskiego.*

ROZMAITOŚCI.

SPADEK NIESPODZIANY,

z Niemieckiego.

W Paryżu dnia jednego wieczorem powracał Czeladnik mularski z roboty do domu. W tym nagle ujęła go za rękę stara kobiéta i rzekła: Pójdzcie do mnie na górę, będziecie tam mieli małe zatrudnienie; poczém wprowadziła go do izby, gdzie jéj wybił framugę w murze, w którą, jak mówiła, miała wstawić szafeczkę. Odebrawszy zapłatę w krótce się oddalił. Po kilku latach idąc tą samą ulicą, przypomniał sobie, że kiedyś w owym domu robił. — Wtém zobaczył kartkę z doniesieniem, że w nim na górze jest pokój do najęcia. Każe go sobie pokazać, i poznaje tę samę izbę, gdzie otwór w murze wykował. Lecz nie było żadnéj szafeczki, tylko znak zamurowania, wapnem obielony.

Dowiedział się, że owa niewiasta przed kilką dniami umarła, i że na jéj pochowanie pościél sprzedać musiano.

Dobrze! pomyślał sobie, tu może być co ukrytego. Najmuje ów pokój; zaraz piérwszéj nocy, otwiéra miejsce zabielone w murze, i znajduje — garnek wielki z lujdorami. — Tak zbogacony skąp-

stwem staruszki, w jednéj chwili został właścicielem skarbu, o czém dawniéj wcale niemyślał. Zawdzięczając swojéj dobrodziéjce, po niejakim czasie wyprawił jéj wspaniały pogrzeb.

ZMARŁY REKRUT,

z Niemieckiego.

Przypadkiem, albo przez błąd jakowy,
Na zmarłych poczecie,
Podał Rekruta medyk sztabowy;
Ten skoro się dowiedział, że mu na tym świecie
Ni stąd, ni z owąd żyć zabroniono,
Do Kapitana leci z twarzą zasmuconą;
I takie nagle czyni zapytanie:
Czy doprawdy nieżyję, Panie Kapitanie?

NA MAKAREGO GADUŁĘ,

z Niemieckiego.

Powszechne niesie przysłowie,
Kto umiéra, ten więcéj uczyć się niebędzie.
Zechcecież temu uwierzyć, Panowie?
To Was natychmiast przydybię w błędzie;
Wszakże dopiéro, gdy poszedł na mary,
Nauczył się milczenia, gaduła Makary.

WYROK SPRAWIEDLIWY,

z Francuzkiego.

Pewnemu Kupcowi Perskiemu, po śmierci żony, został się syn i córka. Syn mógł z Ojcem odbywać podróże; ale córkę musiał powierzyć mamce. W tém wyjechał z synem do Jndyi, i tam zrobił ogromny majątek: a gdy powracał do Ojczyzny, w drodze zachorował i umarł.— Syn zostawszy dziedzicem tak wielkiéj fortuny, przybył do Persyi. Jego siostra dowiaduje się o tém i przychodzi brata powitać; lecz jakże się zdziwiła, gdy jéj nieuznał i utrzymywał, że jego Ojciec nigdy niemiał córki.— Wytoczyła się sprawa przed sądy, fałszywi i przekupieni świadkowie dowodzili tego, co syn niewdzięczny powiadał, że ta panienka nie jest jego siostrą.— Niesczęśliwa już traciła nadzieję; sąd niemiał żadnych dowodów z jéj strony. Już się miała poddać w rozpaczy .opnemu losowi, gdy wielki Wezyr kazał stanąć przed sobą, a jako rozsądny urzędnik, tak dobrze ich badał, że uznał sprawiedliwość panienki. Wystawił przeto młodzieńcowi zemstę nieba, za tak wielką zbrodnię i karę ustaw, jeśli się wszystko wyjawi. A skoro to żadnego na nim nieuczyniło wrażenia, rzekł nagle te słowa: Dobrze! ponieważ utrzymujesz,

że ta panienka nie jest siostrą twoją, rozkazuję ci, abyś się z nią natychmiast ożenił. Młodzieniec, który za wszystkie skarby świata niebyłby kazirodztwa popełnił, rzuca się do nóg Wezyra, wyznaje swój występek i prosi o przebaczenie, przyrzekając, że się wiernie majątkiem z siostrą podzieli. Mimo to Wezyr wskazał go na karę pieniężną, a ci, którzy fałszywie świadczyli, doznali wszelkiéj surowości prawa.

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH O KRAKUSIE.

Jak śmiésznie dawniéj wywodzono początki narodów i sczególnych ludzi, najwydatniejszym tego dowodem jest Sarnicki, który tak mówi o Krakusie: „Miészkał on wtedy pod samémi górami Sarmackiémi" . . . . . . „o trzynaście mil od Krakowa pokazują to „miejsce. Nie wchodzę w to czy był Rzymia„ninem, czy Sarmatą. Bo chociaż Tyberyjusz „Grachus żył na 140. lat przed przyjściem na „świat Zbawiciela, jednak, ponieważ owa rodzi„na Grachów, z powodu prawa o podział grun„tów, nie w porządku i czasie wniesionych, od „swoich Rzymian do najwyższego stopnia znie„nawidzoną została, i niemogła znieść widoku „Patrycyjuszów: sądzę, że unikając burzy nie„nawiści, tu się przenieść mogła, a jéj potom„kowie aż do dnia dzisiejszego w tém się ukry„wali miejscu" Dzięki poczciwemu Sarnickiemu

że jednym zamachem pióra naszego Krakusa Rzymianinem zrobił, a tą koleją kontuszowych Polaków na togowych Rzymian przekabacił. O sczęśliwi Etymologowie, co to nawet Polskiego śłachcica na rzeźnika (infandum!) wystrychnąć umiécie, wywodząc jego nazwisko od niemieckiego *szlachten* rznąć, zabijać, i to w naszych czasach!....

Ale jak to będzie z biédnym Sarnickim? podobno tam ktoś sadzi się wywiéść ród Polski, od Jndyjan! a język nasz (pro Jupiter!) od Samskrytu! Mniejsza o to, skoro jescze lis est sub judice; powiédzmy z Krasickim:

Trzeba rzeczy przeplatać, inaczéj tęsknota;
Tuż koło Cycerona, znajdziesz Donkiszota.

MOWA HIPOKRATESA DO SENATU MIASTA ABDERY,

wyjęta z dzieła Wilanda: ABDERYCI.

Objaśnienie.

Trzeba wiedziéć, że Abderyci, lud w starożytności za najśmiészniejszy miany, który nawet w przysłowie poszedł, ile razy o niedorzeczności mowa była, sławnego Demokryta, ziomka swego, filozofa naturalistę, za to, że im prawdę mówił,

wił, za szaleńca i głupca poczytali, a nawet zamknąć go chcieli. Aby jednak ten postępek na pozór usprawiedliwić, przynajmniéj w oczach świata, wezwano Hipokratesa, wziętego w swoim czasie lekarza, i gdy go przekupić niemogli, kazali mu odwiédzić Demokryta miészkającego w majętności swojéj, aby mu głowę obejrzał i szaleństwo jego za takie uznał, o co sczególniéj nalégał Trazyl jego krewny, który przy téj sposobności wiele sobie zysków obiecywał.— A śmiałość nawet do tego posunął, że Hipokratesowi, po uczcie u siebie danéj, worek z piéniędzmi ofiarował, aby tylko formalności prawa względem Demokryta dopełnił, który, gdy to ujęcie ze wzgardą odrzucił, i Demokryta rozum poznał i ocenił, do Senatu Abdery témi słowy przemówił:

Pokój Abderze! Ślachetni, Dzielni, Baczni i Mądrzy, kochani Panowie i Abderyci! Wczoraj chwaliłem Was za opiekę nad mózgiem ziomka Demokryta; a dziś radzę po dobremu, abyście tę opiekę rozciągnęli na całe swoje miasto i państwo. Być zdrowym na duszy i ciele jest najwyższém dobrem, jakie sobie samym i swoim spółziomkom zapewnić możecie; a to uskutecznić jest piérwszą z powinności Waszego urzędu. Jakkolwiek mój pobyt między Wami jest krótki, przecież był dosyć długim na przeko-

nanie się, że Abderyci nie tak się dobrze mają, jakby sobie życzyć należało.— Jestem zaiste rodem z Kos, i mieszkam już w Atenach, już w Larysie, już gdzieindziej, dziś w Abderze, jutro może w drodze do Bizancyjum. Lecz niejestem ani Kosyjczykiem, ani Ateńczykiem, ani Larysyjczyk, ani Abderyta; jestem lékarzem.— Póki będą chorzy na ziemi, jest moją powinnością, tyle ich uzdrawiać, ile można; najniebezpieczniéj chorują ci, którzy o swojéj chorobie niewiedzą; a w tym właśnie przypadku, jak się mi zdaje, są Abderyci. Choroba ich przechodzi moję umiejętność, ale co uczynić mogę, aby wyzdrowienie przygotować, jest to: wyprawcie Panowie, za piérwszym pomyślnym wiatrem, sześć wielkich okrętów do Antycyry. Mniejsza o to, można, jak się zdawać będzie najlepjéj Abderytom, posłać je tam z ładunkiem; ale w Antycyrze, każcie na nie zabrać tyle ciemięrzycy, ile uniosą, bez obawy zatonienia.— Możnać, prawda, sprowadzić ciemięrzycę z Galatyi, która jest nieco tańsza; ale z Antycyry przywieziona jest najlepszą. Gdy okręty powrócą: każcie wszystek lud zwołać na wielki rynek; odbądźcie uroczystość po wszystkich świątyniach Abdery, na uproszenie bogów, aby Senatowi i ludowi dali to, czego i Senatowi i ludowi Abderytańskiemu brakuje. Potém wróciwszy na rynek,

rozdzielicie cały zapas ciemięrzycy na koszt publiczny, pomiędzy wszystkich mieszkańców; tak, aby na każdą głowę po siedem fnntów przypadło; niezapominając, aby Panowie Radcy, (którzy, oprócz tego, że rozumu dla siebie potrzebują, jescze go dla tylu innych mieć muszą) dubeltową porcyją, to jest: po 14. funtów dostali! Ta porcyja jest wielką, wyznaję; ale złe wkorzenione jest uporczywe, i tylko przez ciągłe używanie lékarstwa w czasie potrzebnym, wytępioném być może. Gdy wyżyjecie tę przygotowawczą medycynę, według przepisów, które zostawię: wtedy oddam was innemu lékarzowi. Bo, jak powiedziałem, choroba Abderytów przechodzi moję umiejętność.— Na pięćdziesiąt mil około Abdery, znam tylko jednego męża, który Panów zupełnie może uzdrowić, jeżeli się ciérpliwie i powolnie jego kuracyi poddacie.— Tym mężem jest Demokryt, syn Damazypa. Niefrasujcie się o to, że on rodem z Abdery; ale mimo tego nie jest Abderytaninem, to mi na moje słowo zawiérzcie, albo, jeśli wierzyć niechcecie, zapytajcie się wyroczni Apollina w Delfach.— Demokryt ma dobre serce, i będzie miał w tém upodobanie, gdy wam swoje usługi poświęci. Przyczém, moi Panowie i mieszkańcy Abdery, polécam bogom Was i Wasze miasto.— Niepogardzajcie radą moją dla tego, że ją daję bez-

płatnie; jest ona jedną z najlepszych, jaką kiedy mógłem podać choremu, który miał się za zdrowego! —

Na tém skończył Hipokrates, pokłonił się grzecznie Senatowi i odszedł.—

BIBLIJOGRAFIJA.

Gdy Szanowny Wydawca Historyi Literatury Polskiéj zrobił wezwanie do wszystkich, którzy jakie bądź wiadomości do dzieła jego użyteczne posiadają, aby mu tychże udzielili, ja mając dwie książki niewyliczone w spisie dzieł do Literatury naszéj przydatnych, tak je wiernie opisuję:

a) Historya o Chryzeidzie i Arymancie. Tę mam bez tytułu. Na czele Przedmowy stoi: Jaśnie Oświeconéy Xiężnie Jéymości *Barbarze z Duninów Sanguszkowy*, Marszałkowy W. Wielkiego Xięstwa Litewskiego, Pani moiéy Miłościwéy i Dobrodzieyce. — W téj przedmowie tak mówi Jakób Kazimiérz Rubinkowski: „Umyśliłem, abym „lukubracyą Syna moiego Jmieniowi J. O. W. Xiążęcéy Mości konferował.” Jasno zatém stąd pokazuje się, że ten romans jest dziełem Syna J. Kaźm: Rubinkowskiego, lecz bez tytułu, powiedzieć niemogę, czy Syn Rubinkowskiego jest au-

torem, czy tłumaczem; bo trudno to poznać z wyrażenia *lukubracyą syna moiego*, co jedno i drugie znaczyć może. Przedmowy bez liczby jest stronic X. sam romans zaczyna się od liczby 1. i obejmuje stronic 230., tym drukiem, co i w przedmowie, który jest wielki i bardzo nieksztaltny. Na końcu jest jescze jedną karta, tym samym drukiem, na któréj: „Epitaphium Du„cissae Sanguszkowa i t. d." Przy końcu zaś jego te słowa: „Takie Epitaphium w kościele Za„sławskim, Anno Christi 1463." — Z druku domyślam się, że to dzieło wyszło w Poznaniu u Jezuitów. Styl w nim jest poprawny i gładki. Z dwóch małych rytmów, do rzeczy należących, wnieść się godzi, że syn był niezgorszym poetą, i lepiéj jak Ojciec wysłowiał się w prozie; w dowód czego przytaczam dwa te rytmy, i wyjątek z jego prozy.—

PIEŚŃ:

Że nienaruszenie dotrzyma obietnicy.

Jeżeli kiedy złamię mą przysięgę,
Niech iako zdrayca na polu polęgę,
Lotnym piorunem z Nieba ukarany,
Krzywoprzysięzcom na przykład podany.
Ah! ieżliby zaś rozchwiać się to miało
Z twéy strony, bogday nigdy się niestało.
Gdy o tém myślę, serce mi truchleie.
Niech pierwéy tracę z życiem mym nadzieie.

Jeżeli iednak Niebiosa życzliwe,
Spólnéy przysiędze naznaczą sczęśliwe
Skutki, niech się to w prędki czas obróci,
Choć mi Bóg wieku życia mego skróci.

ŁOWY MIŁOŚCI.

Kiedy się bawię myślistwem miłości,
Dni, noce trawię w niezmiernéy tęskności.
Myśl źwiérzę łowić; alem omylony:
Chcąc się obłowić samem ułowiony;
Miłość gładkości siéci zarzucila,
Grotem piękności serce przeraziła.—

ARYMANT CHRYZEIDZIE, stron: 141.

Jeszcze żyię, ieźli żyć na świecie, a z tobą nie bydź, życiem się nazwać może! Posyłam wiernego sługę, aby się dowiedzieć o tobie, i o sobie dać wiadomość. O Nieba! zachowaycie mi zdrową Chryzeidę, aby tym ciérpliwiéy wszelkie nieszczęścia i przypadki mógł ieszcze ponosić Arymant. Do ostatniego słowa nie wiedziałem, co myśléć, ale znalazłszy imię Arymanta i poznawszy, że ieszcze żyie, na kolana padłszy, i do Nieba podniósłszy oczy: Bądź pochwalon (rzekę) Boże, że nad spodziewanie moie doznawam twéy dobroci.—

b) Krótka Annotacya Seymów Warszawskich; i Grodzieńskich; także Elekcyi i Koronacyi etc.

Tytuł zupełnie wydarty. Została się tylko następująca po nim karta, z któréj go wyczytać można. Ponieważ to dzieło zdaje się być dosyć ważne do Historyi, opisujemy go obszernie.

Na piérwszj karcie po tytule, są następujące wyrazy:

Approbatio:

Nos infra scripti Librum, cui titulus, Krótka Annotacya Seymów Warszawskich i Grodzieńskich; także Elekcyi i Koronacyi etc. — Opera et studio perillustris Balthasaris in Pułazie Puławski Capitanei Radeniensis (tanquam opus dignum avido sciendi Lectore, et Historiae Poloniae a pluribus annis transactae eruditum Compendium) per nos recognitum; atque, ab aliquot Revisoribus examinatum approbamus, in quo cum nihil fidei Catholicae et moribus contrarium contineatur; ut typis mandetur ac Luci publicae pateat, facultatem damus et concedimus...

Josephus Łaszcz Episcopus Antipatrensis, etc.
Datum Łaszczoviae 1740. 4. Augusti.

Na drugiéj stronie téj karty znajduie się Przedmowa do czytelnika, a na drugiéj karcie tytuł: początek Rewolucyi. — Aże w tém dziele jest prawie ciągły opis wojen z Chmielnickim i ze

Szwedami za Jana Kazimierza, a mało co o Sejmach, z tytułu więc wcale o niém sądzić niemożna. Niedaleko od początku znajduje się znana pieśn Jana III. pod tytułem: Pożegnanie na Obrazie Nayświętszéy Maryi Panny, które Król JMC. Jan III. iedynéy Córce swoiéy do Xiążęcia Jmci Elektora Bawarskiego małżonka iéy po weselu wyieżdzaiącéy własną swą ręką napisał, dnia 13. Novembris Anno Domini 1694.

Idź, gdzie Cię niesie ta fortuna Twoia i t. d.

Między innémi rzeczami mamy tu wzmiankę o 6. Królach: Janie Kazimierzu, Michale Korybucie, Janie III., Fryderyku Auguście, Auguście II. i Stanisławie Lesczyńskim, a na końcu krótką Historyją Polską, której tytuł w tych słowach:

Ad Coronidem książki króciusieńka tu się kładzie Synopsis Xiążąt i Królów Polskich. Są to więc raczéj Miscellanea, a niżeli porządna jaka Historyja. Styl dzieła jest makaromiczny piérwszego rodzaju, to jest zdaniami łacińskiémi ciągle przeplatany, tak, że w ustawicznym są obrocie Wirgili, Owidyjusz, Liwijusz, Juwenasis, Lukan, Seneka, Klaudyjan i t. d.

c) W Tomie piérwszym Historyi Literatury Polskiéj na stronie 388. pod liczbą 30. z gwiazdką poprawić trzeba tytuł książki i zamiast wyrazów

w Warszawie w Drukarni collegium Societatis Jesu, roku 1772. 8vo napisać: nakładem Michała Groela J. K. M. Komm: i Bibliop: 1772.

NIECO O TEATRZE W PŁOCKU.

Już po drugi raz mamy to szczęście widzieć na scenie naszéj Artystów dramatycznych Warszawskich, z których większa liczba prawdziwie zasłużonych, godnie odpowiedziawszy powołaniu swemu, niezawiodła oczekiwania naszego, i rzetelnego uwielbienia godną się stała.

Oddajemy im sprawiedliwość; wolelibyśmy jednak, szczególniéj tą razą przysłuchać się samém Operom i Komedyjom, choćby, że tak powiem, dla odmiany, a potém z łaski lata. — Niemogłażby pofatygować się do nas część jaka Warszawskiéj Orkiestry? Może w tém jakie trudności?... Nieprzeczę; — ale czyby ich niemożna usunąć? Godzi się także zapytać, czemu nam niewystawiono więcéj sztuk naszego Molijera, oprócz *Geldhaba* i *Pierwszéj lepszéj?* Czemu niedano *Zrzędy i Przekory*, *Męża i Żony*, *i Cudzoziemczyzny?* Ale za to widzieliśmy *Cezaryja*, ten prawdziwy paszkwil na smak

dobry. Móże kto powié, że i dla Galeryi coś wystawić trzeba? zwłascza takiéj, co jak w Płocku, na złość parterowi, ton daje, za co dzięki zwyczajowi na prowincyi; ale zostawmy jéj prawo bicia oklasków i wywoływania na przykład po odegraniu *Bolesława Śmiałego* wszystkich Aktorów; albo *retmana* zamiast *hetmana*. Niech się Dyrektor teatru nie troszczy o to, czy same sztuki wyższego rzędu zwabią na teatr Publiczność Płocką: owszem pokazało się, że te więcéj przynosiły dziennego dochodu, jak *Cezaryjo* i inne, zachęcające niezgorzéj do poziéwania i nudów.

To powiedziawszy, byłoby krzywdzącą niesprawiedliwością przepomnieć o szanownych Artystach i Artystkach dramatycznych.

Nie sądźcież, moi Panowie i moje Panie (notabene, mówię to do młodszych) żem się uwziął hurtem was pochwalić, jak to już wielu zrobiło, a może który antycypatywe jescze przed grą waszą, a konto dawniejszego obrachunku....... jak na przykład w Korespondencie Warszawskim. Samibyście się o to gniéwali, bo podobno, jak z boku słyszałem, niezasłużonych pochwał nielubicie, i mógłby kto powiedzieć (o zgrozo!) żeście mnie namówili do tego.— Ale co téż wyrzeczecie, gdy w prostocie serca i otwarcie powiem, że, się nam dał uczuć brak

Pani *Leduchowskiéj*? — Cóż tedy wyrzeczecie? Oto, żem sobie dosyć uprzedzony. Kłaniam uniżenie, tegom się niespodziewał. Ale słusznie, za karę, bom dotąd niepowiedział, czego się niewyprę, że Panna *Żuczkowska Fedrę* w ogólności dobrze, *Alzyrę* pięknię odegrała. Ale gdzie zaprzecza i mówi *nie*, tam, niewiem, kto ją nauczył i rękoma i głową (dla dobitności może?) pokazywać, że to *nie*, jest całe *nie*, i że na to lub owo wcale a wcale nieprzystaje, że ani przystać niemoże. Cóżkolwiek bądź, jak otwarcie wykazaliśmy jéj błąd jawny, tak sprawiedliwie powiemy, że ma wyborne początki, i wiele już ze sobą zrobiła, a będzie lepiéj byleby tylko, jak dotąd, nielubiła niezasłużonych pochwałek. — To o Pannie *Żuczkowskiéj*: a co powiész o Panu *Piaseckim*, *Świergockim*, *Jastrzębskim*, *Kossie*, o *Pannach Dąbrowskiéj*, *Palczewskich*, *Pawłowskiéj*? Co powiem? Może myślisz ganić? — Może i niemoże. — Otóż na przekorę, kiedy tak, to niebędę ganił. Ale za pozwoleniem! gdy Pana *Piaseckiego* słusznie ganić niemogę; bo zasłużył sobie na pochwałę, za tyle ról ślicznie odegranych, szczególniéj za *Peregrynka* we *Wszystkowiedzu*, gdy Pannie *Dąbrowskiéj* w niczém nieubliżę, (bo lubię być delikatnym zwłascza dla kobiét), przecież niestety! darujcie, daruj Panno

Palczewska, że *w Gadule nad Gadułami* twarzyczka i rączki, (więc tylko twarzyczka i rączki są winne!), niewiedziały, co ze sobą robić, a szczególniéj twarzyczka ślicznie się sobie przeglądała w parterze. Ale przepraszam, że tego niemówię w złéj myśli, jescze raz przepraszam. A może się z gniéwu odwróciła; bo téż Pan *Dmuszewski* tak mało pozwolił jéj mówić, i jescze tak niegrzecznie przerywał. Ta niegrzeczność do tego stopnia oburzyła Pana *Jastrzębskiego*, że się aż zapomniał, i sam niegrzeczność, (a cóż on temu winien?) popełnił, nie zdjąwszy kapelusza w domu Rodziców Panny narzeczonéj, jakby mu przyrósł do głowy; że się rzucał z gniéwu i t. d. Ale, bo przepraszam, może tak trzeba wystawiać burdów; ieśli tak, to co innego. Tym czasem daruje, że inaczéj sądzimy. Pan *Koss* grał wybornie *bakałarza* we *Wszystkowiedzu* i — nosi okulary. Pan *Jastrzębski* pozwoli sobie jescze kilka słów powiedzieć o grze *w Machomecie*. I prędko mówił, i mało się zastanawiał nad tém, co mówił. Często nawet jego deklamacyja była dość komiczną. — Dziękujemy Panu *Swiergockiemu*, że nam *w Lisiewiczu* obraz pieczeniarza doskonale wystawił. Tak o sobie pamiętał, że mu nic zarzucić niemożna. Prawdziwie nacieszyć się niemogliśmy

grą jego wzorową, i poznaliśmy razem, że takie role są mu najwłaściwsze; jedném słowem, że talent jego daleko w nich wygórować może. Nakoniec czémże się wypłacić zdołamy Wam nieocenieni: *Kudliczu*, *Szymanowski*, *Werowski*, Wam godni następcy *Owsińskich* i *Bogusławskiego*, tego szanownego Weterana sceny Polskiéj, którego przyjemna pamiątka w sercach naszych długo trwać będzie, iéśli tylko po raz piérwszy i ostatni odwiédził nasze miasto, co podziwieniem zdjęte, *w starym Horacym*, *Podczaszym*, *Nałęczu*, ten sam ogień młodości jego, ten sam wielki talent poznało, jaki naszych Ojców zachwycał, zdumiéwał, i do uwielbień niewalał? Wy niedbacie o pochwały; bo prawdziwy talent pochwał niewymaga, a mierność tylko ubiega się za niémi. Ale jednego zamilczéć niemogę. Niedarowaną jest rzeczą, dla czego Wy zawsze role umiécie? Tylkoż, Panie *Werowski* proszę tego niemieć za przymówkę, że inne fraszki pominę, co do *Rodosława w Geldhabie*, gdzie pamięć nieco zawodziła; bo téż, prawdę mówiąc, ta rola dosyć jest niewdzięczną. Daléj, czemu Wy Panowie, czujecie to, co mówicie? *W kochanym Dziaduniu*, *w Alzyrze*, *w Geldhabie*, poznałem, co może gra Wasza pełna ognia, dokładności i mocy. To samo po-

wiedzieć muszę o Pani *Kurpińskiéj* n. p. *w Kochanym Dziaduniu*, *w Pięciu siostrach a Jednéj* i t. d. Chwalić ją obszerniéj, byłoby to ujmować wyższości jéj pięknego talentu.

SPIS RZECZY
w Numerze 1. zawartych.

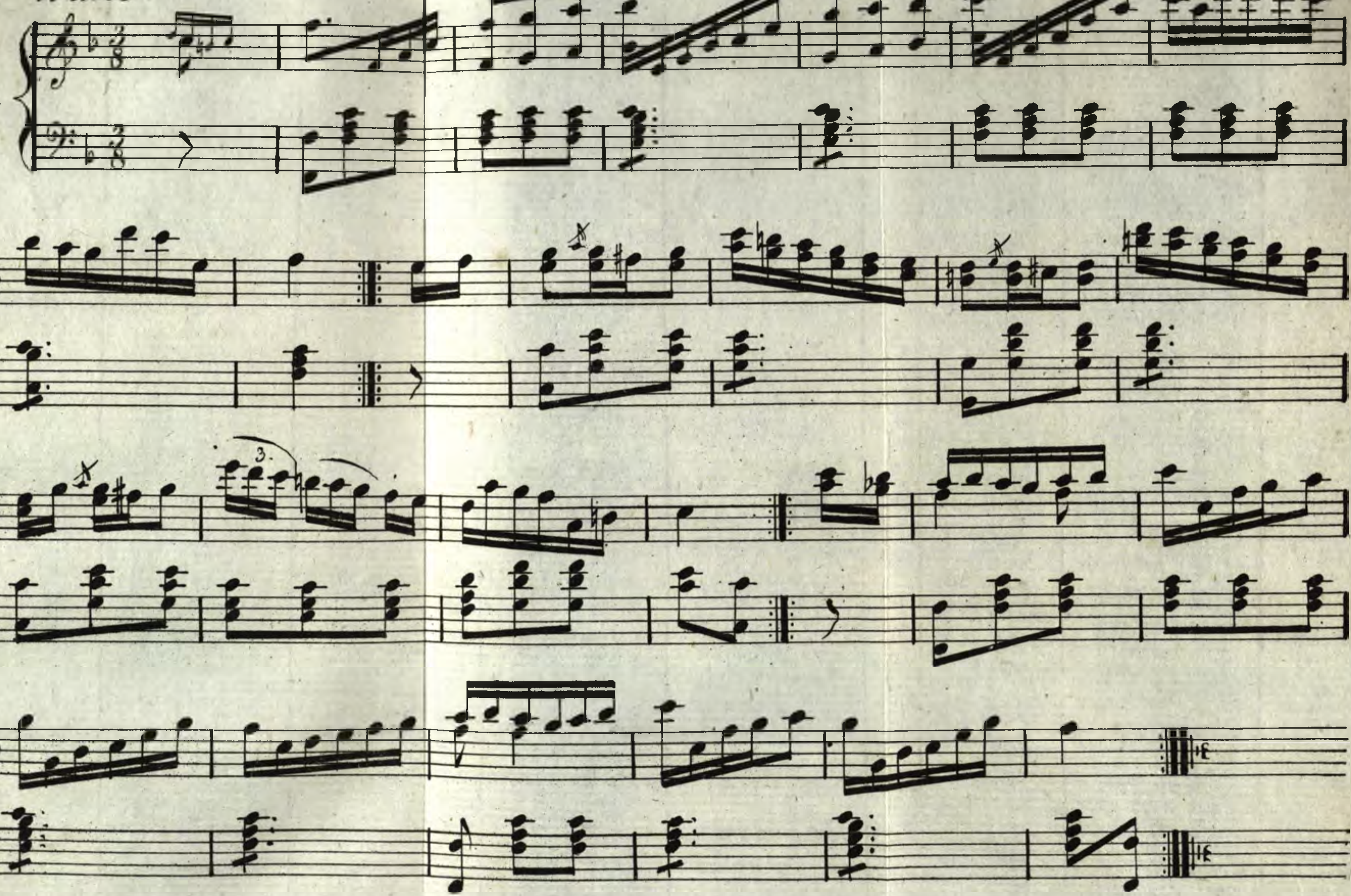
Do tego numeru przyłącza się rycina wystawiająca Kalistę, i Walec Fr: Weckiego.

UWIADOMIENIE.

Dla późno wygotowanéj ryciny i nót, odwlekło się wydanie Szan: Prenumeratorom Ner. 1. Ale odtąd zawsze w swoim czasie podług oświadczenia Wydawcy, każdy numer odbiorą.

Walec

Nº 1



(Nr. 2.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

Miesiąc Sierpień Rok 1824.

Wolno drukować.

J. K. SZANIAWSKI, R. S. D J. W. P.

SPIS RZECZY

w Numerze 2. zawartych.

Do tego Numeru dołączony jest drugi Walec Fr: Weckiego.

MAŁGORZATA ZEMBOCKA,

POWIEŚĆ OSNOWY HISTORYCZNÉJ.

Ze wszystkich rodzajów szczęścia, pożycie domowe z osobą godną wzajemnéj miłości i szacunku, z lubą towarzyszką wesela i smutku, jest największém, najmilszém i najpożądańszém. Zaiste, zgodność sposobu myślenia i uczuć i zgodność postępowania; znoszenie łagodne słabości kochanéj osoby; w każdym względzie rada, pociecha i wsparcie, oto są najchlubniejsze owoce stanu, jaki po wszystkie wieki mniéj lub więcéj szanowano, któremu jednakże dopiéro wydoskonalona i czysta moralność Chrześciańskiéj Religii szanowną ważność nadała. Nie będziemy tu rozbiérali, jak dalece prawa świeckie zewnętrzną formą uświętniły lub uświętnić mogą ten związek; to tylko powiémy, że starożytność, która w nim zmysłowość prawie miała na celu, niepodaje nam tak ślachetnych przykładów cnót małżeńskich i heroizmu, który z nich bierze początek, jak czasy, w których święta Nauka Odkupiciela Świata, przez usta pośredników między Niebem i ziemią, te szanowne śluby stałą przysięgą związała. Jednym z przykładów, mo-

gących poprzeć zdanie to, księgą dziejów późniejszych stwierdzone, niech będzie heroiczna stałość Małgorzaty Zembockiéj.

Za Bolesława II. przezwanego Śmiałym żył niejaki Mikołaj z Zembocina, we wsi dziedzicznéj tego nazwiska, o milę od Proszowic, niegdyś w Małopolsce, a dziś Województwie Krakowskiém będącéj. Ten, za radą sędziwego Ojca i Matki podeszłéj, zaślubił sobie rzadkiéj naówczas piękności Małgorzatę, herbu Strzemieńczyk, pannę z sąsiedztwa, któréj szanownego nazwiska dziejopisowie nasi, z wielką dokładnością o szyku bojów i innych mniéj ważnych dla ludzkości rzeczach prawiący, z żalem i szkodą potomnych dochować zaniedbali. Kilka lat młodzi małżonkowie przepędzili w tkliwéj miłości, wzgodzie uprzejméj, wzajemnie sobą zajęci, kochani od wszystkich, będąc dla innych wzorem słodkiego pożycia, szczęściem dla siebie, a jedyną pociechą dla Rodziców, których im Niebo zdrowiem i czerstwością darzyło. Ci zaś zobowiązali sobie dzieci, aby ich nieopusczały do śmierci, zwłascza, że Mikołaj był jedynakiem i dziedzicem pięknych włości Zembocina. Otoczeni szanowném i gościnném sąsiedztwem, lubili jednak częściéj przestawać na własném towarzystwie, w którém, z przykładną żyiąc wzajemnością i wdziękiem obcowania, niewyczerpane źró-

dło zabawy i słodyczy mieli. Stąd cała okolica nazywała ich wzorem familijnego pożycia.

Podeszły w latach Ojciec Mikołaja był obywatelem nieskażonéj poczciwości i powszechnego szacunku, nabytego walecznością w młodszych latach, a późniéj przez miłość kraju, dobroczynność i miłe każdego ujęcie. Z młodzieńczym prawie zapałem kochał swoję małżonkę; a ta poważana niewiasta, od syna tkliwie kochana, wielbiona od sąsiadów, od poddanych Matką nazywana, ciągle mężowi swojemu okazywała ujmującą miłość, przywiązanie i skromną uległość. Nigdy na ich twarzach niewidziano poważnéj oziębłości, skutku wygaszonych i winą nierozważnéj młodości przytępionych uczuć słodkiego wzruszenia: wesołość ożywiała ich oczy i serca: ogień żywości okraszał ich zajmujące rozmowy; i zdawało się, że im sprawiedliwe Nieba, w nagrodę cnót i przykładnego życia, wszelki ciężar starości odjęły, aby się stali dowodem, że młodość przepędzona chwalebnie, wiedzie za sobą kwitnącą i w niczém nieprzykrą sędziwość.

Takie wzory mając przed oczyma młode małżeństwo, którego uczuciami wybór kierował, któremu piérwsze lata w domu cnotliwych upłynęły Rodziców, postępowało na drodze staropolskiéj prawości. Mikołaja bez lubéj Małgorzaty, Mał-

gorzaty bez drogiego jéj Mikołaja nigdzie niewidziano; a gdy konieczność ze smutkiem obojga rozłączyła ich na czas niedługi, wtedy Małgosia (tak ją bowiem w starożytnéj prostocie nazywał Mikołaj) na krok nieopuściła sędziwych męża Rodziców; już pomagała im w gospodarstwie, już bawiła oboje czytaniem książek, iakie naówczas w niewielkiéj liczbie i to nabożnéj treści miano po domach ślacheckich.

Wtém Ruscy Książęta, synowie Włodzimiérza W. wypędzają z Państwa Jzasława brata swego, któremu w dziale dostał się Kijów w bogactwa zamożny i ludny. Skrzywdzony Jzasław niepróżno błaga o pomoc walecznego Króla bohatyra. Skoro wieść o wyprawie na Kijów rozeszła się w Polsce, ochocza młodzież dobrowolnie zbiéra się pod Bolesława chorągwie. Mikołaj, który dotąd spokojnie trudnił się domowémi sprawami, poczuł w sobie ducha rycerskiego, i sądził, że nietylko majątku Ojca, ale i sławy jego dziedzicem być powinien. Już on dawniéj towarzyszył młodemu Królowi na wojnie przeciw Morawcom i Prusom; hełm i zbroja, które nad jego łożem, jako najmilsza pamiątka męztwa w komnacie wisiały, były dla niego najwymowniejszém wezwaniem, aby stawał w bratnich szeregach; zdawało się mu, że wednie i w nocy brzmią hasłem walecznych:

do broni! do broni! Niespokojność jego nieuszła baczności Małgosi. „Drogi Mikołaiu (rzekła „czule i łagodnie) ty ukrywasz przedemną wielkie zamiary; oko twoje nieśmiałe czasem strzeże się spotkać przenikliwéj źrenicy kochającéj „i kochanéj małżonki. Powiedz i odkryj przyczynę. To serce, dla ciebie jedynie bijące, podzieli z tobą troski i smutek."

Długo wahał się Mikołaj, nareście zniewolony uwagami obecnych Rodziców i żony, tak jéj z bojaźnią swoję tajemnicę odkrywa. „Kochana Małgosiu! dawno mi serce wyrzucało tę „samotność myśli, ale raz się odważywszy na „utajenie zamiaru, chociaż wiele ciérpiałem, troskliwie strzegłem się wydać. Oto Król i Ojczyzna wzywa na pole sławy. Tysiące rycerzy biegnie dobijać się laurów: opusczają Ojców i Matki, żony i dzieci, aby powiększyć „chwałę spólnéj Matki Ojczyzny. Jaż to jeden, „mówiłem do siebie, nieczuły na chlubę wawrzynów, i odgłosy nieśmiertelnéj sławy, nieopusczę domowego zacisza, i stanę się godnym „wyrzutów, jako wyrodny Polak; ja niepowrócę na łono lubéj żony i Rodziców z pełnością „chwały rycerskiéj i dzieł wielkich pamiątką? „Takie myśli zajmowały dotąd niepewny mój „umysł. Tyś przerwała moje milczenie. To „mam za wróżbę sczęśliwego skutku wyprawy.

„Ty sama rozwiązałaś mi usta, a przez cie-
„bie, tak jest, niewątpię, przez ciebie, mówiła
„spólna Ojczyzna. Rodzice kochani! dajcie mi
„wasze błogosławieństwo, a ty, Małgosiu, ty
„najpiérwsza uściśnij prawego syna Ojczyzny i
„pożegnaj go w nadziei, że powróci do ciebie
„godniejszy twojéj miłości; bo ją na ółtarzu
„chwały naddziadów laurami uwiecznił." Jakież były wtedy słowa Ojca Mikołaja, Matki i żony? Czy zaklęciem i łzami starali się go odwieść od zamiaru? Nie, bo duch rycerstwa był jescze iskrą ożywającą dawnych Polaków; on jako piérwotna istota wchodził w skład ich życia, rozradzał w nich wielkie uczucia, i w ogóle nawet unosił często zadaleko wojenny zapał Ojców naszych, zwyczajem całéj prawie owoczesnéj Europy. A lubo u nas nigdy podobno płeć piękna niémiała swoich rycerzy w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, i nigdy dla jéj wdzięków przygód nieszukano, jak w innych zapaleńszych narodach (co z łatwością wytłumaczyć i pojąć się daje); zawsze jednak bohatyr, który za Ojczyznę blizny odnosił, był miły dla Polek, choćby miłości nienajpożądańsze nadzieje wróżył wiek jego. Tak nawet sędziwy Chodkiewicz, na krótko przed zgonem, poślubił sobie młodą i nadobną Annę, Księżniczkę z Ostroga.— Skoro nadeszła smutna rozstania się chwi-

la, od stóp do głów uzbrojony Mikołaj, staje przed lubą i Rodzicami. Ściśnienie serca więzi mu głos w piersiach, poruszone usta, jakoby ścięciem krwi rażone nic mówić niemogą. Wreście te słowa przerywane wydają: „Najdroższa!..... „żegnam cię..... odbierz i daj mi tkliwe uściśnie-„nie..... W bojach..... pomiędzy gradem poci-„sków, imie i pamięć twoja będzie dla mnie „tarczą..... i hasłem zwycięztwa..... Bóg i spra-„wa dobra!.... miéj zemną niewzruszoną niczém „otuchę..... Niech sława i potęga naszego Mo-„narchy będzie dla ciebie pewną rękojmiją mo-„jego powrotu..... a pociechy twojéj”..... Uści-snęli się czule kilka razy, a płacz niedał prze-mówić Małgosi. Kiedy tak w rzewném objęciu zostają, łzami zalany Ojciec Mikołaja, w ten spo-sób do syna za siebie i Matkę przemawia: „Mi-„kołaju! widzę, że Bóg natchnął cię świętym za-„pałem. Z błogosławieństwem ojcowskiém śpiesz „między ziomków szeregi. Niech te łzy, które „są długiem natury, któremi zléwam twoje obli-„cze, najdroższy synu, będą dla ciebie upomin-„kiem, abyś na sędziwego Ojca i Matkę pamię-„tał. Niech to przecie nieosłabi twego ducha „rycerskiego. Męztwem jedynie możesz się za-„chować, sobie i Ojczyznie zjednać nieśmiertel-„ną sławę. Na te blizny, które za nię odnió-„słem, zaklinam cię, nieoszczędzaj krwi i swe-

„go męztwa. A jeżeli los boju, jeżeli Bóg łaskawy ocali dni twoje, pośpiesz i zwycięzką ręką domknij powiek starca..... Na miłość żony..... „na łzy i boleści Matki!"..... Tu rozrzewnienie przerwało mu słowa; ucałował syna, dał mu ostatnie uściśnienie, znakiem krzyża świętego przeżegnał w staroświeckiéj tkliwéj pobożności, i uprowadził zesobą omdlałe niewiasty.

Już siódmy rok upływa, jak Bolesław po zdobyciu Kijowa i zniesieniu Beli, Króla Węgierskiego, drugą wyprawą odzyskał warowną Izasławowi stolicę, a Mikołaj niedaje znać o sobie, ani Rodzicom ani wiernéj żonie, która utaiwszy się na wieży kościoła Zembocińskiego z dwiema siostrami, wednie i w nocy opłakiwała stratę męża kochanego, żadnéj jego powrotu niemając nadziei. Wybrała to odludne mieszkanie, aby się zabezpieczyć przed haniebną rozwiązłością gnuśnéj młodzieży, aby nie patrzéć na przykłady zgorszenia, i niesłyszeć bezbożnych tryjumfów, jakiemi się chlubili zwodziciele wiarołomnych żon rycerzy, co w dalekich stronach za Ojczyznę polegli, albo dla jéj chwały wojenne trudy znosili.

Dziki Sreniawita, herbu Jastrzębiec, młodzieniec chełpliwy, i więcéj znany ze sławy rodziny, jak z siebie, którego jedyne zatrudnienie było, z huczną zgrają łowców przebiegać bory ojczystéj włości i sąsiednich, a najmilszą zabawą

miłostki, poznawszy dawniéj Małgorzatę, jaśniejącą urokiem powabów, w zapale namiętności dał sobie płoche słowo honoru, że jako najświetniejsza zdobycz stanie się ofiarą jego podstępnych ułudzeń. Wszystkiego używał, co może wynaléść udana grzeczność, i ujęcie, słodką ponętą mamiące; lecz tą razą tylko upragniony skutek nieodpowiedział złośliwéj nadziei. Nadobna Dziewica, któréj czyste serce zajęła wcześnie prawdziwa pobożność, i tkliwéj Matki przestrogi, spojrzenie i ucho odwracała zawsze od miodowych słówek Śreniawity, i poznała wcześnie, jak te wabne z pozoru zdania i przymilenia, w gruncie duszy zapsutego młodziana, który nigdy nie wzniecił w sobie uczucia prawdziwéj i godnéj miłości, były pełne jadu, zarazy i zdrady.

Kiedy zaś nawet aż do zmyślonego oświadczenia związków małżeńskich naganną śmiałość posunął, odjęło mu nadzieję głośnego tryjumfu staropolskie i wyraźne, ale skromne odmówienie Rodziców Małgorzaty, w którém przenikliwie i delikatnie objawili razem życzenie, aby sobie oszczędził dalszych niepomyślnych zabiegów, i w domu ich więcéj niebywał, przez coby ich od niegościnnéj a koniecznéj obojętności, siebie od zarzutu płochości uwolnił.

Śmiały młodzieniec oddala się z przybranym żalem, w sercu gniew tając, i nietraci nadziei, że mu przyjaźna sposobność porę zemsty nastręczy. Zdawało się, że ta nigdy nienadejdzie, skoro nadobnéj Małgorzacie skromny himen zapalił pochodnię.

Przez kilka lat niewidział jéj Śreniawita, zapomniano o wszystkiém, i on sam już tracił nadzieję, gdy go nagle wieść radosna dochodzi, że mąż Małgorzaty, zaciągnąwszy się do hufca Królewskiego, żadnéj o sobie niedawał wiadomości. Pod pozorem cieszenia stroskanéj, z krewnym podeszłym w wieku do Zembocina przybywa, a udatny, przybiéraiąc mowę użalenia, naprzód otwarcie ubolewa nad losem jéj męża, i sieroctwem niesczęśliwéj łzami zalanéj niewiasty, późniéj nieznacznie daje poznać, że niepewność, w jakiéj zostaje, może być albo śmierci rycerza, albo niestałości jego przyczyną, wreście ją dowcipnie uprzedza, że to piękną wdowę obchodzić powinno, aby i siebie i kogo nowym wyborem uszczęśliwić mogła; które to wyrazy dobitniéj mówiąc, na siebie zwraca uwagę cnotliwéj Małgorzaty.

Ta domyśla się złośliwego podstępu, i ma sobie za chlubę wyraznem odmówiewiém ukrocić chytrość Śreniawity, a nawet ślachetną wzgardą

zmusić go do uszanowania smutku i łez poświęconych mężowi.

W tém dochodzą Małgorzatę wieści, że Śreniawita zbiéra na wszystko wyuzdaną młodzież i przy téj pomocy zamyśla ją porwać. Tak jawném niebezpieczeństwem wtedy zagrożona, obrała sobie ustronne mieszkanie na wieży, o któréj mówiliśmy; zamknąwszy w głębi duszy ten cel heroiczny, tę myśl godną Rzymskiéj Lukrecyi, że w przypadku napaści rzuci się z wysoka. Dwa lata upływa, jak się w tém dobrowolném więzieniu cnoty zamknęła, z wiedzą Rodziców i szanownego Pasterza, starca, zwanego patryjarchą Kapłanów, który ją pobłogosławił, i codziennie za nię do Boga modły przesyłał. Ten mąż bogobojny miał zawsze baczne oko na wieżę, on sam tylko za pomocą spusczonego sznuru podawał Małgorzacie posiłek codzienny, a w niebespieczeństwie miał uwiadomić Rodziców, i włościan zwołać na ratunek; serce jego często przenikała obawa, i smutne jakieś przeczucia; bo mu znany był Śreniawita w całéj okolicy głośny, jako nieprzyjaciel skromności niewiast, spólnik rozwiązłéj młodzieży, podobnych sobie zbrodniów, i zwodziciel żon wiarołomnych. To sprawiedliwe przeczucie w krótce się zjściło. Dają mu znać przed świtem, kiedy jescze blada mgła, na dolinach i pagórkach pływając, jedno z nich morze czy-

niła, że manowcami zbliża się mnóstwo jakieś ludzi zbrojnych, i prostą drogą zmierza ku stronie, gdzie stał kościoł Zembociński. Opuscza natychmiast mieszkanie, chce się sam przekonać o prawdzie; lecz już było zapóźno, już jedna rota złoczyńców porywa go, wiąże i grozi śmiercią, jeżeli głos wyda, i o ratunek wołać będzie; druga, na któréj czele był sam Śreniawita, otacza wieżę i odbija warowne zapory. „Nieszczęśliwa niewiasto, wołał sędziwy Kapłan, porucz „się Bogu, niewinność niech ci poda myśl ratunku, poświęć życie dla cnoty." Już jeden zbrodzień miał przebić pierś jego żelazem, gdy wyraźny zakaz naczelnika ocalił mu życie. Cóż się dzieje w sercu Małgorzaty? jaka walka między poświęceniem życia i nadzieją pomocy, którą Niebo zsyła nagle wtenczas, kiedy człowiek najmniéj się spodziéwa. Stało się!.... Mąż nieżyje..... niebespieczeństwo myśl jéj okropną podaje: dla niego żyła, dla niego chce ginąć. „Bywajcie zdrowe, kochane siostry," mówi drżącym głosem, i śpiesznie staje w oknie wychodzącém na wolne od napaści miejsce; siostry łkając trzymają się jéj sukni; już ma się strącić z wysokości przerażającéj, już ma pociągnąć za sobą dwa niewinności Anioły: w tém słyszy głos jakiś znajomy, poznaje po nim męża, który wyłamuje drzwi, wbiega, chwyta nieszczęśliwe, i bez

zmysłów pada na ziemię. Jak słodkie! jak rozczulające było powitanie dwojga tak długo rozłączonych osób! — gdy rycerz odzyskał przytomność: — „Zabiłem zdrajcę, były pierwsze jego „słowa, pójdź, najlepsza małżonko, pójdź zemną „dziękować Bogu zastępów, za cudowne ocalenie „swoje, i łzami wdzięczności skropić dłonie „cnotliwego Pasterza; jemu ty życie, ja ciebie „winienem, pójdź pocieszyć obecnością rozpa„czających Rodziców." Po tych słowach opuszczają to błogie ustronie, tę pamiętną w dziejach Polskich, w rocznikach Cnoty wieżę, którą *Wieżą Czystości* nazwali.

SOKRATES,
PRZED WYPICIEM TRUCIZNY.

Tak więc łódź życia mego stanęła przy kresie!.....
Dziś koniec dniom śmiertelnym trucizna przyniesie...
Złość, co zgubnych zamiarów lęka się odkrycia,
Dziś mi się wyrzec każe prawdy..... albo życia!
Jakiż zapał niezwykły powstaje w méj duszy?....
Groźba mnie nieodmieni..... bojaźń nieporuszy;
Bóstwo święte w me serce przekonanie wlało,
I duszę nieugiętą za puklerz mi dało!....
Stanę w walce z przesądem..... nadstawię mu łono!...
Prawda jest moją zbrodnią, niewinność obroną.....

Jeźli zginę..... dni moje ukończę w zasczycie,
Bóstwu prawdę poświęcę..... a dla prawdy..... życie!...
Lecz czy w smutnego zgonu ostatniéj godzinie,
Razem z ostygłém ciałem istność moja zginie?....
Czy ogień nieśmiertelny, nietli się w mém łonie;
Czy mnie ziemia wydała..... i ziemia pochłonie;
Czy z zgonem udział życia na zawsze porzucę?.....
Z nicości pójdę w nicość, z prochów w prochy wrócę?....
Jeźli tak..... jeźli z życiem koniec méj istoty,.....
Mamże to drogie życie poświęcić dla cnoty?.....
Mam dla błędnéj nadziei wyrzec się istnienia;
Stracić byt dla przyszłości..... pewność dla marzenia?
Nie— inne przeznaczenie mój duch mi wskazuje!....
Cel mój z trwogą poznaję..... wielkość moję czuję...
Czuję!.... że iskra boska, w sercu mojém pała,
Którą Istność Najwyższa razem z życiem wlała.....
I że, gdy żywot w morzu zatonie przyszłości,
Wróci promień do światła..... cząstka..... do całości!...
Stańcie teraz potwarcy!.,.. narzędzia ciemnoty!.....
Którym podłość przyjemna, obrzydły blask cnoty!
Ziemskiéj tylko istności moc wasza dosięga,
Lecz ducha nieśmiertelna zasłania potęga!....
Niech władza wasza ziemię i piekła poruszy.....
Wydziéracie mi życie..... niewydrzecie duszy!
I chociaż oczy moje czarna noc okryje.....
Na łonie Bóstwa mego na nowo odżyję!.....

ODA XXXII.

Z HORACYJUSZA KSIĘGI I.

O ty, przy któréj słodkie nucąc tony,
Wśród dzikich bojów morderczéj Bellony,
Lub, gdy majtkowie, na brzegi nieznane,
Ciągnęli nawy burzą skołatane,
Odważny Alcej piérwszy Bóstwo wina,
Głosił, Wenerę, Muzy, Kupidyna,
Który się Matki śniéżnéj szyi trzyma,
Lika z czarnémi włosy i oczyma;
Lutnio, jeżeli kiedy wdzięczném pieniem,
Spiéwałem z tobą pod topoli cieniem,
Niechaj raz jescze doznam twéj opieki.
Zanuć wiérsz lacki, coby przetrwał wieki!
Ty, miła Lutnio, ty zasczycie Feba,
Co rozweselasz świetne uczty Nieba,
Co niesiesz ulgę po pracy przyjemną,
Niech prośba wiescza niebędzie daremną.

PIEŚŃ XV. ANAKREONTA.

Przekład z Greckiego.

O Gigiesa się nietrosczę,
Co przemożnie w Sardes włada,
Ni mi złoto więzy wkłada,
Ni losu królom zazdrosczę.

Całe w tém staranie moje
Namaścić włosy woniami,
A czasem głowę ustroję,
Purpurowémi różami.
Dzień dzisiejszy u mnie w cenie,
Któż o jutrze zrobi wnioski?
Gdy ci sprzyja dobre mienie,
Pij, grą spłaszaj twoje troski,
I Bachusowi léj wino;
Bo gdy chwile zdrowia miną,
Może ci choroba rzecze:
„Już pić nietrzeba, człowiecze".

DUMA.

PRZYSZŁOŚĆ.

Zmiana bez końca, to wieczne prawo
  Jest prawem całéj natury,
Jemu podlega wielkość ze sławą,
  Pod jego piętnem błyszczą marmury!—

Tysiąc przetworzeń w czasów kolei
  Zrządza niezmienne zniscżenie;
Wszystko przemija, oprócz nadziei;
  Wieczne jest świata nasienie.

Ta bryła ziemi, ten ulotny pył,
  Którym wiatr lekki pomiata;
W zarodzie jestestw od początku był,
  A może piérwszy w machinie świata.

W żyłach nędzarza z jednego źródła,
Jak i w Mocarzu są płyny;
A Ręka Stwórcy wszystko wywiodła,
Z jednéj zarodów krainy.

Kamil i Neron, Brutus, Katony,
Kazimiérz Wielki, Bolesław Śmiały;
Niskie lepianki, błyszczące trony,
Tam swój początek czérpały.

Kamil i Neron, Brutus, Katony,
Kazimiérz Wielki, Bolesław Śmiały;
Niskie lepianki, błyszczące trony,
Tam się w proch będą zmieniały.

Skąd nędzny pyle tak wiele dumy;
Gdyś plonem jednych zarodów?
Wyższości godne boskie rozumy,
Godne pierwszeństwa dowodów.

Wznoś się nad gwiazdy, i tam w zawodzie
Niemiéj ostatniéj granicy;
Zwiédzaj przepaści w ziemi i wodzie,
Aż do uśpienia stolicy.

W twoich zamiarów stanąłeś kresie;
Czemuż na licu strętwiałość?
I cóż ci jescze rozkosz przyniesie?
Gdzie dawny zapał i stałość?

Umysł, co dawniéj bujał pod Nieba,
Dziś błądzi jakby stępiony:
Powiédz, gdzie jescze dążyć ci trzeba;
W jakie siedliska i strony?

Stój! oto zima włos twój pokryła,
Kilka chwil jescze pod szronem;
W krótce twój popiół zamknie mogiła;
Byt ziemski kończy się z zgonem.

Duch nieśmiertelny w kraje uleci,
Gdzie owoc wieczny żywota;
Gdzie Słońce Raju cnotliwym świéci,
Gdzie Bóg panuje i Cnota.

Próżno do bramy wieków Królestwa
Wzrok orli głupich dosięga:
Tam jest Wiecznego pobyt Jestestwa,
Tam skryta jego potęga.

Przedwieczna Mądrość krótką podróżą,
Łączy to życie z wiekami;
Grób umajony pociechy różą,
I świętéj wiary kwiatami.

Jakaż dla cnoty nadzieja słodka!
Że szczęście wieków jéj wianem;
Jako okropność dręczy wyrodka,
Gdy mu sumienie tyranem!

Niepewność śmierci piérwszemu słodzi
Spokojne chwile żywota:
Drugiego głębiéj w zbrodni powodzi
Nurza bezsenna zgryzota.

Cnotliwy niezna żałosnéj doby,
W któréj zasmuci rodzinę,
Ale bez trwogi patrzy na groby,
I na przyszłości krainę.

Niepewność troski jego pociecha;
W niéj tęskne myśli oczyści;
Do niego wieczność tu się uśmiécha,
A tam nadzieje mu zjści.

Skryj się, potworo, do środka ziemi,
Gdzie wieczne huczą pożary;
Skryj tam, gdzie między duchy wściekłemi
Znikły pociechy od wiary.

Niepewność, która ściga zbrodniarzy,
Ma najzgryźliwsze katusze,
Z nią tysiąc węży rozpacz kojarzy,
By wesprzéć cnotliwe dusze.

Wolałbyś wieczne ponosić męki,
Jak być jéj w życiu ofiarą;
Drżyj dzika myśli! na zgryzot jęki!
Bo piekło lżejszą jest karą.

O Ty! co jednym, *Stań się*! wyrokiem
Stworzyłeś świata gmach cały:
Co nań dobroci poziérasz okiem,
Wielki! Odwieczny! Wspaniały!

Ślachetne serca twoim kościołem;
A hołdem czyste westchnienie:
Przyjmij głos prawdy z pokorném czołem,
Przyjmij niewinne te pienie:

Już mi zakwitła trzecia lat pora,
A świat jest moją gospodą;
Kiedy mi zejdzie gwiazda wieczora,
Czy z burzą czyli z pogodą.

Czy w łaskach losu, z krótkiej ostoi,
Do portu wieków zawinę;
Czyli w nadziei, niedoli zbroi,
Ostatnią zamknę godzinę.

Ty! Ojcze Świata, lubą nadzieją
Ożywiaj rozum stroskany;
Niech mi jéj blaski wszędzie jaśnieją,
Gdy ziemskie rzucę kajdany.

A jeśli sczęście wieczności kraju
Tkliwych serc robisz udziałem,
Umieść nas dwoje w wybranych Raju,
Tchnących dla cnoty zapałem.

Niech, jak tu razem żyli cnotliwie,
Ślubem wierności złączeni,
Tak w miejscu swobód, na świętéj niwie,
Jedna ich zacisz ocieni.

ŚMIERĆ MARYI SZTUART KRÓLOWÉJ SZKOCKIÉJ,

z Niemieckiego.

Po niesczęśliwém schronieniu się Maryi do Anglii przed powstańcami Szkockimi, których dowódcą był Rejent Państwa Murre (Murray), a

którzy pod Glaskowem stronników Królowéj zupełnie znieśli, los tę dawniéj wielbioną i ubóstwianą niewiastę, nagle z Tronu do więzienia wtrącił. Elżbiéta, Królowa Angielska, chociaż bliska jéj krewna, nienawidziła jéj oddawna, już z powodu odmiennéj Religii, już dla tego, że ta, będąc jescze żoną Franciszka II. Króla Francuzkiego, używała tytułu i herbu Angielskiego. Zamiast więc spodziéwanéj opieki, Maryja na żądanie Murreja, który jéj zarzucał, że należała do zabójstwa męża, pod sąd oddana została, przed którym stanął osobiście Hrabia Lenoks (Lenox), Ojciec zamordowanego Dernleja, jéj męża.

A gdy ją winną uznano, prosiła, aby jéj wolno było udać się do Francyi, lecz Elżbiéta odmówiła, i oddała ją dozorowi Hrabiego Szrewsbry (Shrewsbury) w Stafford. W późniejszym czasie Norfolk, mąż znakomity, starał się o rękę Maryi, a jego przyjaciele zrobili powstanie, które przytłumione ośmiuset znakomitych Anglików na rusztowanie śmierci zawiodło. Prócz tego odkryto inne sprzysiężenie się, na stronę Królowéj Szkockiéj przeciwko Elżbiécie zrobione; poczém ta przezorna i biegła w polityce kobiéta, uwolniła dawnego dozorcę, a na jego miejsce przeznaczeni byli Polet (Paulet) i Drury. Naréście kilku fanatyków za granicą sprzy-

siegło na życie Elżbiéty. Babingten był na ich czele. On ze stu rycerzami miał uwolnić Królową Szkocką, a inni mieli zrobić powstanie w różnych Hrabstwach. Lecz jeden ze związkowych był szpiegiem Elżbiéty, już wcześnie doniósł jéj o wszystkiém; któréj tak dalece postęp tego spisku był znany, że gdy Maryja, niewiedząc o niczém, w towarzystwie swoich dozorców chciała wyjechać, aby się zbliżyć ku związkowym; doniesiono jéj wtedy jako Elżbiéta o wszystkiém wiedziała; nagle upadła prawie bez zmysłów na ziemię, a przyszedłszy do siebie, chciała powrócić, ale jéj tego wzbroniono, i natychmiast przeprowadzona była do Foteryngie (Fotheryngay) warownego zamku.

Trybunałowi pokazano jéj listy, pisane do związkowych; stronnicy Elżbiéty głośno z tém się odzywali, że tylko śmierć Maryi może zapewnić bezpieczeństwo Anglii. Hrabia Lester (Leicester) polubieniec Elżbiéty, radził ją otruć, lecz ten środek z pogardą odrzucono. Czterdzieści osób znakomitych z urodzenia i piastowanych urzędów, pięciu prezydentów Trybunałów Angielskich, miało rozpoznawać sprawę Królowéj Szkockiéj. Ta nieszczęśliwa ofiara przeciwnych losów dawno przekonaną była, że jéj śmierci pragniono; oczekiwała zawsze otrucia, niespodziewając się nigdy, aby przed sąd,

jak występną, powoływać ją miano. W tém Elżbieta posłała jéj przez swoich Komisarzy list pełen najcięższych wyrzutów, i w nim ją napominała do poddania się Angielskiém prawom i sądowi. Maryja przyjęła to poselstwo z powagą, odwoływała się do niewinności i rzekła: „Przybyłam do tego królestwa, jako niepodle-„gła Monarchini, prosić o pomoc Królowéj, „nie zaś poddać się jéj władzy. Jescze mój „umysł nieupadł tak bardzo pod ciężarem nie-„szczęścia, abym drżeć miała na widok tego „niebezpieczeństwa, lub zrobić co niegodnego „Królowéj. Jeżeli mam być sądzoną, tylko „Książęta mogą być moimi sędziami. Poddani „Królowéj Elżbiéty, jakkolwiek znakomici ro-„dem i godnością, są zawsze niżsi odemnie. Od „chwili, gdym na téj ziemi stanęła, obchodzo-„no się zemną, jak z więźniem; Angielskie pra-„wa żadnéj mi obrony niedały, a teraz chcą „je gwałcić, aby mi życie odebrać." Wszystkie przedstawienia i prośby były nadaremne, niechciała się poddać sądowi. Nareście wybieg jednego z sędziów, że jéj opór usprawiedliwiał posądzenie i wszystkie zaskarżenia, i pozbawiał ją jedynych środków obrony swojéj niewinności, zniewolił Maryją, że dnia następnego przed sądem stanęła. Sprawa rozpoczęła się uroczyście, sędziowie siedzieli w wielkim przysionku zamku

z nakrytémi głowami, a Maryja naprzeciwko sędziów. Czytano odpisy jéj listów, zeznania sprzysiężonych przed straceniem, i dobrowolne oświadczenie jéj sekretarzy. Maryja słuchała wszystkiego uważnie, poczém wstawszy z krzesła broniła się z powagą. Posłuchanie trwało dwa dni, oba sekretarze Królowéj, których, pomimo ich żądania, razem z Maryją co do zeznań słuchać niechciano, byli wezwani przed sąd osobny, a gdy swoje dawniejsze wyznania przysięgą stwierdzili, Maryja o spisek na życie Elżbiéty oskarżoną była, za co prawa Angielskie śmiercią karały. Obie izby Parlamentu przyjęły ten wyrok, i nalegały na Królową Angielską, aby dla własnego bezpieczeństwa, dla utrzymania Religii państwa, i szczęścia swojego ludu, nieodwlekała dokonania wyroku. To było Elżbiecie bardzo do serca; jednak ukrywając myśli, prosiła Parlament, aby przez jaki bądź środek, dla publicznego bezpieczeństwa wynaleziony, mogła być uwolnioną od wskazania na śmierć Królowéj, tak bliskiéj krewnéj. Parlament podwoił przedstawienia, utrzymując, że dobroć dla Maryi byłaby srogością względem Elżbiéty poddanych. — Wszyscy Europejscy Monarchowie zdziwili się nad tém postępkiem, który w oczach ludów poniżał głębokie dla nich uszanowanie. Wszyscy prawie posłowie przy Angielskim dworze

czynili mocne przedstawienia, używali prośb i pogróżek; Elżbieta niedała się wzruszyć i pogardziła nawet gniéwem Jakóba, Króla Szkockiego, syna Maryi. Ten Monarcha, jakkolwiek dotąd obojętny względem losu Matki swojéj, teraz się synem pokazał: na próżno starano się ująć go wyraźném oświadczeniem, że ten wyrok nieplamił ani jego czci, ani nienadwerężał praw jego do korony Angielskiéj. Ta myśl, że dopuści Matce umrzéć pod ręką kata, stłumiła w nim wszystkie inne uwagi. Oburzył się na to cały naród Szkocki, możniejsi nalęgali na Króla, aby nieściérpiał téj ohydy krwi swojéj, i albo przeszkodził sraceniu Królowéj Maryi, albo się pomścił jéj śmierci. Ten przez posłów groził Elżbiécie zerwaniem przyjaźni, a nadto w liście wyraził, że za krzywdę Matce wyrządzoną, z niebezpieczeństwem korony i własnego życia mścić się nieomieszka. Z początku oburzyła się tém Elżbieta, jednak ministrowie wymogli na niéj łagodną odpodwiédź, w któréj przyrzekła posłuchać jego warunków, a tym czasem wyrok opóźnić. Ten przecie publicznie był ogłoszony, przy czém Elżbieta niezaniedbała oświadczyć, że ją do tego sam Parlament znaglił. Gdy się Maryja urzędownie o nim dowiedziała, rzekła z tryjumfem. „Po tylu ciérpieniach, śmierć jest „dla mnie pożądaną ulgą. Szczycę się z tego,

„ że protestanci krwi mojéj żądają, i umiéram, „ jako ofiara męczeństwa za katolicką Religiją." — Odtąd przestano się z nią jak z Królową obchodzić. Wyniesiono tron z jéj królewskiego pokoju, a nawet Polet, dozorca, miał zawsze nakrytą głowę w obecności Maryi. Królowa Szkocka napisała ostatni list do Elżbiéty, w którym żadném słowém wyroku swego niestarała się uchylić. Prosiła tylko, aby jéj ciało do Francyi posłane było, ażeby je tam w poświęconéj ziemi przy popiołach Matki pochowano: daléj życzyła sobie obecności swoich służących przy śmierci, aby ci świadczyli, że umarła jako prawowierna córka katolickiego kościoła, i aby z małémi podarunkami, które im wydzieliła, bez przeszkody udać się mogli do Francyi: nakoniec prosiła o katolickiego księdza, któryby ją przygotował do wieczności. Zaklinała Elżbiétę na cienie spólnego Ojca, Henryka VII., na pokrewieństwo, na imie Jezusa Chrystusa, aby nieodrzuciła jéj prośby, i uwiadomiła ją w kilku wiérszach swojéj królewskiéj ręki, że na nię przystaje. Na ten list wcale nieodpowiedziano, a nawet przysłano Maryi protestanckiego Pastora, którego nieprzyjąwszy, sama się na śmierć gotowała.

Jakób wyprawił nowych posłów do Londynu, ofiarował się dać rękojmiją za wszystkie

przyszłe spiski, z wiedzą Maryi uknowane, i sam być zakładnikiem: może te warunki byłyby przyjęte, lecz Gre (Gray) poseł, oszukał Króla, i sam radził, aby wyrok uskutecznić, biorąc na siebie ułagodzenie gniewu Jakóba; rozsiano pogłoski o nowych sprzysiężeniach, i inne tém podobne; omamiony lud głośno żądał stracenia Maryi. Teraz dopiéro Elżbiéta wyrok podpisała, kazawszy nań przyłożyć pieczęć państwa. Dokonanie wyroku niebyło wprawdzie óznaczone, lecz zgromadzeni radcy tajni urządzili wszystko nawet w pałacu królewskim w oczach Elżbiéty, która na to milczała. Siódmego Lutego 1587. r. Komisarze wyznaczeni przybyli do zamku Foteryngie i upominali Maryją, aby się dnia następującego na śmierć gotowała. Nieszczęśliwa Królowa była zupełnie spokojną, odwoływała się jescze do swojéj niewinności, a dotykając ręką biblii, oświadczyła, że spisku Babingtona spólnicą niebyła; prosiła z naleganiem, aby wpusczono do niéj spowiednika, przynajmniéj w ostatnich godzinach życia, lecz ci okrutni odmówili téj łaski. Przewidując, że niebędzie mogła umiérać podług zwyczaju swojego kościoła, przysłaną sobie od Papieża Pijusa V. poświęconą hostyją na ostatnie godziny życia zachowała. Jéj służący, przytomni rozmowie z okrutnymi Komisarzami, zaczęli narzekać,

i łzami zalani, rzucili się do nóg Maryi, która ich pocieszała. Po oddaleniu się posłańców śmierci, Królowa otoczona od leżących na ziemi domowników, padła na kolana i dziękowała Bogu, że koniec życia był tak bliski, przy czém błagała go, aby jéj tę małą resztę cierpień stale znieść dozwolił. Większą część wieczora przepędziła na urządzeniu świeckich okoliczności, i sama napisała testament. Pieniądze, klejnoty i suknie podzieliła między służących, według stopnia i zasług; potém napisała dwa listy; jeden do Króla Francuzkiego, drugi do Księcia Gwizyjusza, oba pełne ślachetnych myśli: polecała swoję duszę modlitwom, a ich opiece opuszczonych służących. Wieczerzała, jak zwykle, bardzo skromnie, mówiła nietylko bez niespokojności, ale nawet z wesołością umysłu, piła zdrowie każdego sługi, prosząc go o przebaczenie za wszelką obrazę.

Wszyscy pili nawzajem jéj zdrowje na kolanach, i błagali ze łzami o darowanie im błędów. Udała się na spoczynek o zwyczajnym czasie, i na kilka godzin zasnęła. Z rana wstała bardzo wcześnie na modlitwę, i ciągle się zajmowała tą świętą powinnością, tak, że gdy Szeryf o ósméj godzinie wszedł do jéj pokoju, jescze przed ółtarzem klęczała. Za doniesieniem, że ostatnia nadeszła godzina, wstała i nagle rze-

kła, że była przygotowaną; pożegnawszy się ze swoimi służącymi, z niezmienioną twarzą, wsparta na dwóch mężczyznach, postępowała na miejsce śmierci. Miała na sobie suknię z czarnego aksamitu, ozdobioną wspaniale, tę tylko pod czas wielkiéj uroczystości nosiła. *Agnus Dei* na łańcuchu około szyi zawiesiła; przypasała różaniec, a w rękę wzięła krzyż z kości słoniowéj. Na dole u schodów czekali na nię Komisarze i wiele ślachty z okolicy. Tu ujrzała także kawaléra Melwiła, zawsze jéj wiernego i przychylnego, który jéj od kilku tygodni niewidział, teraz jednak otrzymał pozwolenie po raz ostatni z nią się pożegnać. Upadł jéj do nóg, załamywał ręce, i opłakiwał jéj okrutne nieszczęście; i swój los, że tę wieść smutną przynieść musi do Szkocyi. „Niepłacz, dobry Melwilu, rzekła do niego, „Maryja Sztuart będzie wolną od wszelkich „udręczeń, a to jescze przez taki koniec ciérpień, jakiego dawno czekała. Bądź świadkiem, „że umiéram niezmienna w mojéj Religii, stała w przywiązaniu do Szkocyi, i w przychylności do Francyi. Pozdrów syna mego, i powiédz mu, żem niepopełniła nic takiego, coby „albo jego królestwu, albo czci, albo prawom „jego szkodę przynosiło. Oby Bóg tym wszystkim przebaczył, którzy bez przyczyny krwi „mojéj pragnęli." Po tych słowach pocałowała

z twarzą łzami zalaną klęczącego Melwila i rzekła: „Jescze raz żegnam cię, dobry Melwilu, „módl się za twoję Królową."

Z wielką trudnością i po wielu naleganiach zezwolono, ażeby Melwil, z trzema służącymi płci męzkiéj, i dwiema płci żeńskiéj towarzyszyli jéj na rusztowanie; to było przygotowane w przysionku pełnym widzów, tam, gdzie ją sądzono: krzesło, poduszka i pień były zupełnie czarném suknem okryte. Maryja wstąpiła z wypogodzoną twarzą, przeżegnała się i usiadła na krześle, potém czytano jéj wyrok, na który wcale niezważała. Po dopełnieniu tego zwyczaju, zbliżył się do niéj Pastor protestancki, lecz odrzuciła jego modlitwy, poczém uklęknąwszy, modliła się po łacinie, jednak Protestant do ostatka powtarzał swoję modlitwę, chociaż Królowa często przerywała, aż mu nakoniec Komisarze zakazali. Przez całą modlitwę miała krzyż w ręku, w ostatku modliła się do Boga po Angielsku, wzywając Jego opieki za uciśniony kościół katolicki, za szczęśliwość syna, za długie życie Elżbiéty, i za spokojne jéj panowanie. W tém pocałowawszy krucyfix, wzniosła go do góry i wołała: „O Jezu! tak jak twoje ręce na krzyżu były rozpięte, tak wyciągnij ramie Twojego miłosierdzia, przyjmij mnie „do siebie i odpuść mi grzechy."

Poczém rozebrała się z pomocą pokojowych ze zwierzchnich sukni. Jeden z katów chciał się także dotknąć, lecz prosiła go, aby odstąpił. Teraz jako Królowéj, która na dwóch tronach panowała, która przez nadzwyczajną piękność wszystkich serca podbiła i od całéj Europy uwielbienie odbierała, stanęło na myśli obecne położenie, uśmiéchnęła się i rzekła: „że niebyła „zwyczajną rozbierać się w tak licznem zgromadzeniu, ani mieć tak licznych służących." Już bez odzieży stała, oczekując ostatniego ciosu. Téj okropnéj chwili niemogli znieść jéj domownicy i zaczęli krzyczéć. Maryja obróciła się i położyła palce na ustach, jako znak milczenia: poczém dała im ostatnie błogosławieństwo z napomnieniem, aby się za nię modlili: jedna z jéj kobiét zawiązała jéj oczy. Uklękła, położyła głowę na pniu; jeden kat trzymał ją za obie ręce, inny uciął jéj głowę, za powtórnym ciosem, i podniósł we krwi zbroczoną i jescze drgającą do góry. Dziekan protestancki rzekł wtedy: tak niech giną wszyscy nieprzyjaciele Królowéj Elżbiéty, a sam tylko Hrabia Kent, jeden z Komisarzy, dodał *Amen*.

Nieprzypusczono żadnego z domowników płci żeńskiéj do jéj ciała, które kilka dni leżało, będąc pokryte starém i podartém suknem z bilardu. Później na rozkaz Elżbiéty pochowano jéj zwło-

ki z królewską okazałością w katedralnym kościele w mieście Peterborug: a gdy Jakób wstąpił na tron Angielski, było przeniesione do Opactwa Westminsterskiego, i w grobie Królów Angielskich złożone. Pień, na którym ją ścięto, równie jak rusztowanie i wszystkie jéj rzeczy, były zamienione w popiół. Tak umarła Maryja w czterdziestym piątym roku życia, a w dziewiętnastym więzienia.

Ludzkość zniewala, abyśmy spuścili zasłonę na jéj przewinienia, a występki raczéj położeniu Maryi, niżeli sposobowi myślenia przypisali. Ciérpienia Maryi, tak co do stopnia, jak czasu, przechodzą to wszystko, cokolwiek fantazyja przydała, aby na scenie wzruszyć politowanie i łzy wycisnąć; jeżeli te ciérpienia rozważymy z ich okolicznościami, zapomnimy o błędach niescześliwéj Królowéj, i łzom naszym wolnego biegu dozwolimy. Skład ciała Maryi był wzorem doskonałości, bo wszyscy ówcześni Dziejopisówie zgadzają się względem nadzwyczajnéj piękności jéj twarzy, i wdzięku całéj postawy, nazywając ją arcydziełem natury. Włosy miała czarne, chociaż często nosiła przyprawione loki, według mody wieku swojego, i to różnego koloru; oczy jéj były ciemne, nadzwyczajnie pięknéj jasności i blasku, palce bardzo białe i delikatne, ręka przedziwnie kształtna

i ma-

i mała noga. Co do postawy, téj była nadmiernéj i wspaniałéj; postępowała z wielką przyjemnością, czy w tańcu czy idąc; grała wybornie na arfie, i bardzo mile śpiéwała, przy końcu życia nieco utyła. Długie więzienie i wilgoć domu, gdzie ją strzeżono, było przyczyną, że od kurczu wiele ciérpiała.

Zmartwienie tyle jéj dolegało, że jéj włosy zupełnie w końcu osiwiały. Brantome powiada: „Nikt bez podziwienia i powzięcia miłości, nie„mógł widzieć jéj osoby, tak jak nikt jéj histo„ryi, bez politowania czytać niebędzie.”

ROZBIÓR POWIEŚCI:

PAN ANTONI,

WE II. CZĘŚCIACH.

w Warszawie, nakładem N. Glücksberga 1824.

Trzebaby stylu tak łatwego, tak płynnego, jak w niniejszéj powieści, stylu, który jest skutkiem wesołego humoru i wolnéj myśli, aby godnie ocenić to zabawne dziełko. Nie śmiemy odgadywać Autora; bo to niema związku z roz-

biorem. Tyle tylko domyślać się wolno, że nim jest osoba wieku najdaléj męzkiego; bo niepodobna, aby człowiek sędziwy miał tak zabawne i żywe myśli i zwroty. W ogólności styl powieści jest prawdziwie oryginalny, a plan, jakkolwiek urywkowy, dla surowszego dostrzegacza, w większéj jednak liczbie czytelników dla swoiéj komiczności i niewinnego pustactwa podobać się musi. Szczególniéj zajmują te miejsca, w których Autor o niczém, że tak powiem, niemówiąc, pięknie nas bawi. Ale pozwólmy jemu samemu i za siebie wystąpić przed czytelnikami, w ciągu osnowy, w któréj się okaże układ jego powieści.

Niech się naprzód niegniéwa (o co go ładnie przepraszamy), że z początku zaraz pożyczymy kilka wierszy z jego dowcipnéj przedmowy: „Ale, mój Panie czytelniku, pocóż chcesz nad„zwyczajnych zdarzeń i przypadków nadzwy„kłéj doskonałości, Pan Antoni będzie sobie ta„ki człowiek, jak ty, jak ja, i jak my wszy„scy; nie będzie on się błąkał po ruinach, ja„skiniach, oczarowanych zamkach, będzie prze„ciwnie zwyczajne bardzo prowadził życie, ale „zobaczysz to sam późniéj, jak tylko powróci „z polowania, ponieważ Pan Antoni jest teraz „na polowaniu."

Od polowania zatém Pana Antoniego zaczyna

się powjeść. Na niém przypadkiem wpada mu w oczy ładna Marysia, córka Ekonoma jego Ojca. Płochy młodzieniec....... Ale cyt; bo mnie Autor złaje, żem zadomyślny. Marysia bowiem chciała w las uciekać przed śmiałym Paniczem, Autor zaś dodaje, że „ Pan Antoni niechciał z pod „ swojéj opieki wypuścić niewinności, zatrzymał „ Dziewicę........ i nachylił się ku świéżéj twarzy, „ chcąc zręcznie powabne ukraść pocałowanie; lecz „ Panna Maryjanna wiedziała, gdzie trawa ro- „ śnie, jeden sztuczny obrot i dwa skoki, a już „ Pan Antoni na nię spogląda, jak na owego za- „ jąca, którego chybił. Długo za Marysią pa- „ trzał stęskniony, i byłby zapewne pobiégł za „ nią, gdyby nie zbyt bliskie otwarte pole. Sta- „ nął smutny, jakby rozmyślał o marnościach „ świata, gniéw zaraz nastąpił po utęsknieniu, „ i Bekas, który w całéj scenie grał rolę zimne- „ go figuranta, dostał w piérwszym impecie po „ mordzie, za to, iż śmiał się radować do Pana, „ gdy Pan był zgryziony. Pies skowyknął, ogon „ spuścił i usiadł pod krzakiem. Pan Antoni „ spojrzał na niego, i jakby się nauczył znosić „ przeciwieństwa, założył strzelbę na ramie, ka- „ pelusz wsunął na oczy i wrócił do domu." Długo rozmyśla Pan Antoni o Marysi; nierówność stanu niszczy marzenia jego względem zaślubienia córki Ekonoma.

Następują uwagi krotofilne i satyryczne zastósowane do Panien niecierpliwie wyglądających męża. Te kończy Autor, jak zwykle, myślą dowcipną i oryginalną: „Zdaje się, iż świat „nabieraiąc coraz większą gromadę wieków na „siebie, ostygł już nieco w żądzach miłośnych, „a żądza bogactw górę nad nim, jak nad każdym zgrzybiałym, bierze. — Przepraszam was, „moje Panie, które przypadkiem wzrok na to „pismo rzucicie, przepraszam was naprzód za „to, co ma nastąpić! Niechcę ja się wydawać „za proroka, atoli myślę sobie czasem, iż gdy „się powoli wszystko światowe, jak stara suknia zedrze, trzeba się będzie udać do nicowania, i wszystko na wspak pójdzie; w tym „więc przenicowanym świecie wystawiam sobie „młode dziewice wszelkiego rodzaju, ubiegające „się za młodymi chłopcami, tak jak się ci dzisiaj za niémi ubiegają; wystawiam je sobie jeżdżące po świecie z dowodami znacznego, a co „większa czystego posagu...... Widzę, iż się na „mnie srożycie, moje łaskawe Panie, wasza pycha na tém cierpi, ale proszę was, ukójcie „się, i po krótkiem zastanowieniu się przyznajcie, iżby to niezgorszą było rzeczą, gdyby tylko wielowładna Pani Opinija tę zmianę przyjęła. Zważcie tylko, moje Panie, ileby z tego „dla was wynikło wolności.... Wolność, czyliż

„to święte słowo nie jest wam powodem do „uniesienia się radością i do rozrzewnienia, was „szczególniéj biédne Panny, które z za okien „tylko wyglądacie. Wam ja moje marzenia do „najdojrzalszéj zostawiam rozwagi; a wam zaś „czytelnicy płci męzkiéj powiem w sekrecie, „i z przymiészaną Łaciną, aby Panny niezrozu-„miały, iż *mutatis mutandis*, to, com powiedział, „dzieje się już na świecie; proszę o sekret„

Mówiąc o Edukacyi Pana Antoniego, tak zaczyna:

„Był on w szkołach i *przeszedł* je nawet. Prze-„praszam, jeśli przerywam, muszę bowiem dać „zasłużoną pochwałę temu sposobowi mówienia, „*przeszedł szkoły*. Nie bierzmy bowiem słowa „*przeszedł* metaforycznie, lecz w prostém zna-„czeniu, a będziemy mieli essencyją cwiczeń „i nauk dziewięć dziesiątych części naszych „uczniów. Jmść Pan Antoni tak przeszedł szko-„ły, i z całéj powiérzchownéj jego postawy wy-„czytać można było odpowiédź na zapytanie: „co umiész? śmiałe i dumne, wszystko, z oczów „i całéj jego, że tak powiem, wytryskiwało „twarzy."

Z całego opisu łatwo poznać się daje, że Pan Antoni uprzedzony o swoim rozumie, chciał na wsi uchodzić za mądrego, i za takiego po części był miany. Rodzice, za nadto pobłażający, kie-

dy niekiedy tylko dawali mu maleńkie przestrogi, a on tymczasem *szybki w oknach liczył.* Roztrzepanie jego najlepiéj widać z rozmowy pomiędzy nim a Ojcem, która miała miejsce po tragi-komicznym przypadku, zrządzonym przez prędkość i nieuwagę Pana Antoniego. Niech i tu nasz Autor z łaski swojéj sam za siebie mówi: „Goście już byli na w siadaniu, Pani „Sędzina ostatni dyx przy w siadaniu kończy-„ła, naprzeciw Mamuni, gdy tymczasem Pan „Sędzia, Pan Wojsczyc, Pan Sędzic i Jegomość, „wszyscy nachyleni ku sobie nawzajem, w naj-„lepszych byli oświadczeniach; Panna Staróścian-„ka na tyle z Panną Sędzianką i małym Jasiem, „wtłoczyły się naprzód do Pani Sędziny; w tém „właśnie, gdy to szanowne grono w tém stanie „koagulacyi było, wpada Pan Antoni, i jak „Achilles na Trojańskie szyki, uderza na całe „zgromadzenie. Najpiérwsza Pani Sędzina, ty-„łem do drzwi obrócona, mocną dostaje kommo-„cyją, którą jakby uderzenie iskry elektrycznéj „Jéjmości Mamie Dobrodziéjce kommunikuje; prze-„chodzi w okamgnieniu ta kommocyja od głowy „Jéjmości do głowy Pana Wojsczyca, od téj do „Pana Sędzica, który Tateńkowi ją przesyła; „więcéj nachylonego głowa Pana Sędziego ude-„rza w brzuch gospodarza domu, który Pan-„nie Staróściance nie głową to samo czyni; ta

„ oddaje, co odebrała, Sędziance, kończy się na
„ biednym Jasiu, który w kącie nóg do góry
„ zadziera. Któż opisać zdoła powszechne za-
„ mieszanie, krzyki w rozmaitych tonach, w dy-
„ skancie, tenorze i basie. Damy mol a mę-
„ szczyzni dur, a mały Jasio w najfałszywszym
„ zbiorze semitonów."

W rozmowie między Panem Antonim a jego Ojcem była nawiasem wzmianka o przyszłém zamęściu. Ojciec i Matka ułożyli między sobą ożenić go z Panną Sędzianką, lecz przedewszystkiém umyślili go wysłać do Warszawy na *oporządzenie.* (Dobry sposób mówienia u nas Polaków, bo téż Pana Antoniego suto oporządzono z ostatniego grosza w Stolicy). Za towarzysza podróży przydany mu był stary Mikita, dawny Palestrant — „ który jak czytamy w powieści,
„ nie z dowcipu, ale z powiérzchownéj swojéj
„ urody, do Asmodeusza dosyć miał podobień-
„ stwa; sławny dawniéj z donośnego głosu
„ i z wielkiéj zdatności do kufla, dziś jescze
„ przy zdarzonéj okazyi cnoty swojéj dzielne da-
„ wał dowody. Żyjąc z języka, i postradawszy
„ sposobność do wykładania wśród Grodu praw
„ krajowych, według potrzeby płacącéj strony,
„ używał cudnego daru mowy na zręczne pota-
„ kiwanie i pochlébstwa, i był żyjącą gazetą
„ całéj okolicy."

Pan Antoni przybył z licznémi projektami do Warszawy, gdzie spodziéwał się wszystkich zająć swoją figurą, lecz zdziwił się niezmiernie, gdy projekta jego spełzły na niczém. Pozbywszy się Pana Mikity kilku dukatami, odnowił znajomość z kilku dawnymi kolegami szkólnymi, a szczególniéi z Panem Felixem (jak się wyraża Autor) wielkim człowiekiem do ulic Stolicy, który mu pomógł w krótce do przeszastania pieniążków; do czego przyłożył się szczególniéj wieczór u Hrabiego, gdzie *Dworzanie Króla Faraona* wyciągnęli mu z kieszeni kilkadziesiąt dukatów.

Jednym z najtrafnieyszych zabawnych opisów jest rozdział IX. pod tytułem: „Ale nazajutrz." Pan Antoni po przebudzeniu robi sobie ostre wyrzuty za wieczór wczorajszy, na którym się solennie upił i tyle przegrał. Do liczby dowcipnych tego dziełka myśli należy bezwątpienia następująca. „Póki człowiek zwiérzę pląsa i ska-
„cze, póty człowiek człowiek, przygląda mu się
„w cichości, nieśmié mu nawet przeszkodzić; lecz
„gdy pierwszy spoczynku chce użyć, natenczas
„drugi rózgą go bije za swawolę. Są to dwaj bra-
„cia, bardzo niezgodni, którzy się rzadko kiedy
„niekłócą, i zawsze jeden nad drugim panuie.
„Pan Antoni naprzykład był wczoraj dość dłu-
„go człowiekiem człowiekiem, lecz po ponczu

„ stał się człowiekiem zwiérzęciem; a dziś ra-
„ no młodszy brat jego plagi bierze za wczoraj-
„ sze nieposłuszeństwo od starszego."

Niedosyć na tém, Pan Antoni zaciągnął wczoraj przy kartach dług honorowy, po który dziś przyszedł Pan Felix ze swoim przyjacielem *dla zrobienia za świéżéj pamięci małego obrachunku wzajemnych należytości;* gdy zaś Pan Antoni wzbraniał się tego uskutecznić, wyzwano go na pojedynek. Jak tu dowcipnie wystawione jest dziwactwo pojedynku, poznać tylko możemy ze słów samego Autora.— „ Zastanowi-
„ wszy się (mówi tenże) nad istotą naszych po-
„ jedynków, przyznać jednakże należy, że to
„ jest śliczna rzecz mieć pojedynek. Choćby
„ też dla saméj sławy, która stąd dla obojéj
„ spływa strony; ocalenie swego honoru, cel
„ tak święty, którego jednym machnięciem pa-
„ łasza, jedném pociągnieniem cyngla, albo też
„ kilkoma dopiąć można butelkami wina; przy-
„ znać należy, iż to jest małym kosztem wiele
„ robić, nic zaiste powtarzam lepiéj wymyślo-
„ nego niémasz nad pojedynek. Jeżeli albowiem
„ złość mam do kogo, zelżę go, a czasem ude-
„ rzające dam mu dowody méj nienawiści, zo-
„ stawuję mu za to wolność odebrania dobi-
„ tniejszych razów, lub poszukiwania sprawiedli-
„ wości na tamtym świecie. Jeżeli mnie obito,

„czyliž mogę wykonać zemstę, więcéj zgodną
„z przepisami moralności, jak odebrać powtór-
„ne plagi od przeciwnika mego. Atoli różnicę
„czynić należy między rozmaitémi rodzajami bi-
„cia się. I prostactwo bije się po karczmach
„i szynkowniach, a to pięściami, a najwięcéj
„już kijmi; ale my oświeceni ludzie zrobiliśmy
„osobną sztukę bicia się, my pod pewne prawidła,
„pod systematyczny układ nauki szermierkę
„podciągamy, i uczymy się z reguł, jak kalé-
„czyć i zabijać naszych bliźnich, dla tego téż
„ten, który zabija pałką, lub zwyczajnym spo-
„sobem, nazywa się zbójcą, a ten, który zabija
„podług przepisów honoru i sztuki, uczciwym
„i zacnym człowiekiem." Nieprzyszło jednak do pojedynku, bo kufle zagodziły sprawę dawno ukartowaną: Pan Antoni zapłacił długi, i dał śniadanie na zgodę, i jescze rozumiał, że nader tanio opłacił niebezpieczeństwo, na które osobę swoję wystawił.

Najbardziéj zmartwiła Pana Antoniego ta okoliczność, że u Klemencyi kichającemu zdrowia nikt nieżyczył, i że z laseczką i kapeluszem w ręku stał na środku pokoju, a nikt go siedzieć nieprosił.

Po straceniu zasiłku pieniężnego, gdy nie było nadziei przybycia nowéj floty z domu; bo Rodzice przez Mikitę o wszystkich złych spraw-

kach Pana Antoniego dowiedzieli się byli; dręczony od rzemieślników, i od najsurowszego wierzyciela, to jest własnego sumienia, niémając nadziei pożyczenia jąkiéj sumki *na niżéj podpisanego*, cichuteńko wyniósł się Pan Antoni ze swojego pomieszkania, i pieszą wędrówkę rozpoczął do domu. Nic zabawniejszego nad opisanie wczesnego poranku, gdy Pan Antoni z kijem w ręku, ze skromnym tłomoczkiem na plecach, udał się *per pedes Apostolorum* w zamierzoną drogę. Oto znowu słowa wesołego Autora:—

„Różany promień purpurowéj Jutrzenki „osiadał już zwolna na okopconych kominach „i brudnych dachach stolicy; koty żegnały się „piskliwym miaukiem z ulatającą nocą; szczury „napaszone snuły się pierzchliwie rynsztokami, „i do swoich zmierzały kryjowek; gasły tlejące „się w lampach knoty; grzechotka witała dzień „poczwórnym wrzaskiem, a kanałów i podwórz „wyziewy zaprzeczały wyższość i piérwszeństwo „świéżości rosy i powietrza: taką była budząca się wkoło wędrownika naszego natura. „Lecz człowiek nieprzerywał jescze jéj milczenia i spokojności, z przestrachem słyszał Pan „Antoni uderzenie własnych podkówek o bruk „ulicy i oglądał się nie raz, czy kto za nim „nieidzie. Gdzie niegdzie wymykał się z lek-

„ka uchylonych drzwi, które przyjaźna ręka
„ostrożnie zamykała, szczęśliwy śmiertelnik, co
„się jutrzenki tak wcześnie niespodziewał. Tam
„chrapał przed drzwiami szynkowni poczciwy
„wyrobnik, który, jak się obudzi, o tém do-
„piéro myśleć zacznie, jak sobie na tę żywność
„zarobić, którą wczoraj za trunek zamienił.
„Tutaj wił się po ścianach lokaj, który na
„próżno, przez noc całą, miészkania Pana swe-
„go szukał. W jednym domu widać było świa-
„tło nocne na piérwszém piętrze, z którego
„otwartém oknem dym tytoniu monotoniją wy-
„ziewów ulicznych przerywał, wyrzucone wa-
„lety i assy przed témże oknem, wymogły we-
„stchnienie na stałéj duszy naszego Bohatéra,
„i przyśpieszyły pochód jego, aż, gdy mu skrzy-
„pienie wozów i kół źle smarowanych, bliskość
„rogatek, któremi włościanie z wiktuałami do
„stolicy przybywali, oznajmiło"

W drodze spotkał Pan Antoni pewnego ur-
wisza, którego Autor grzecznie Panem Janem
zowie, i którego hultajskie życie opisane jest
w Rozdziele XVII. Niepodobna tu opuścić do-
wcipnego wywodu znaczenia tytułów, któremi
się ludzie różnych stanów szanują.

„*Wason*, ów tytuł uczczenia między lokaja-
„mi, który oni sami pomiędzy sobą, zamiast
„zbyt pospolitego *ty* zaprowadzili, którym sier-

„ mięgą okryty z uczciwego zarobku żyjący wie-
„ śniak, szychem pokrytego próżniaka przez po-
„ ważanie tytułuje; ten sam wyraz *Wason* poni-
„ ża, zasmuca i obraża czasem nieprzeliczoną li-
„ czbę klijentów, którzy łaski i opieki zebrać
„ muszą. Ów Jegomość, który niedawno miał
„ się za uczonego, gdy kto do niego wyższy nad
„ *ty* tytuł stósował, uczyniwszy *Salto mortale*
„ ku wyższym szczeblom drabiny znaczenia, umié
„ z przyciskiem na *penultymie*, przymrużając z po-
„ gardą oczy, i wyniósłszy brodę nad zwykłą
„ horyzontalną liniję wyrzec *Wason* do tego,
„ co go dawniéj, bez żadnego innego zamiaru
„ tym samym tytułem kwalifikował. Kłaniający
„ się niziutko postulant przyjmuje chętnie *Wa-*
„ *sana*, skoro tylko za nim nadzieję miejsca lub
„ pieniędzy spostrzega, i ma się za uszczęśliwio-
„ nego, gdy postąpiwszy nieco w znaczeniu, od-
„ biera od wyższych sobie *Wać Pana*, a mo-
„ że między niższymi dowolnie *Wasonem* szafo-
„ wać. — Ta hojność jego żadnéj niebędzie już
„ znać miary w tedy, gdy sam do tytułu *Asa-*
„ *na Dobrodzieja* dojdzie, i późniéj, przez zby-
„ tek łaski swojéj, nauczy się wymawiać z pe-
„ wną pogardzającą słodyczą *Wasan* i *Asan*,
„ gdy tytuł Jaśnie Wielmożnego niewiedzieć jak
„ osięgnie. Lecz wtedy najczęściéj wzbudzi roz-
„ sądne politowanie, albo oburzy ślachetne uczu-

„ cie tego, który nie opieki lecz sprawiedliwości,
„ nie łaski, lecz uznania zasług i godności swo-
„ jéj żądając, pogardzające *Wason* z ust jego
„ odbierze. Ci, którzy od wieków jaśnieją Oś-
„ wiéconością i Wielmożnością swoją, z inną
„ wcale modulacyją głosu, i z właściwą sobie
„ łaskawością, udoskonalonéj pisowni *Acan* na
„ miejscu starożytnego najmniéj braterskiego *Pa-
„ nie Bracie* używać umieją. Jeżeli obok niego
„ *Pan* przejdzie przez nieuważne usta, zmarsczy
„ się czoło, zgryzie się wargę z powodu omyłki
„ popełnionéj, i dla wspomnień, które ten tyle
„ znaczeń mający wyraz ocuca."

„ Płeć piękna, która tyle rzeczy przykrych
„ słodzić, tyle najmniéj zdolnych ozdoby zdobić
„ umié, przyswoiła sobie także *Acana*, w jéj
„ ustach tytuły nam dawane odwrotne zupełnie
„ mają znaczenie; bo najwyższy stopień szczęśli-
„ wości naszéj obok słodkiego *ty* się mieści."—

Aby się pozbyć tak poczciwego człowieka, jakim był Pan Jan, utraktował go w piérwszéj wiosce nad miarę gorzałką, i odszedł śpiącego na ławie; poczém sam daléj podróżuje. Żartobliwy Autor i tu niezapomniał nas ubawić; dowodzi bowiem satyrycznie, że dziełko z licznémi kropkami najwięcéjby miało pokupu i wziętości. Z tego powodu radzi pisarzom, aby się rzucili do tego sposobu pisania, tak wygodnego

dla Autora, i czytelników, i sam następujące daje przykłady:

Piérwszy przykład. Romans.

„Noc była.......... złamane koło.......... niebie-
„skie oczy......... najżywsze płomienie.......... słod-
„kie słowo (następuje przedział kilku słów)..... St:
„Domingo......... Warszawa......... w ustroniu wiej-
„skiém, na łonie natury himen miłości uwień-
„czył.—

Drugi przykład. Bijografija literata.

„Urodził się......... Akademija......... wielka zda-
„tność......... nędza i zapomnienie......... umarł........
„wielka strata dla kraju.......... Dzieła pozostałe
„(kilka wiérszy kropek).

Trzeci przykład. Żywot JW. Pana.

„Wieki mijają.......... wyrazy nieokréślą...........
„był naprzód.......... późniéj.......... nakoniec..........
„pamięć......... najpóźniejsza potomność......... ma-
„jątek......... ubodzy......... Pomnik.—

Pan Antoni przybywa do włości rodziciel-skiéj. Fatalny przypadek z własnym iego psem *Bekasem* bardzo go zasmucił; posłuchajmy Autora:

„Tu, za zbliżeniem się nocnego gościa, zry-
„wa się z łożyska czujny pies, i niezważając z kim
„ma doczynienia, napada na Pana Antoniego,
„i wstępnym bojem uderza na połę, źle już do
„kupy trzymającego się surduta, a dopiéro, gdy

„ ją urwaną w zębach swoich trzymał, poznał „ wierny, lecz przez gorliwość zaślepiony Bekas, „ iż własnego Pana obraził, zamienia natarczy- „ wość i zuchwałość swoję w tkliwą pokorę, „ i wraz z oddartą połą pod nogi Pana swego się „ ściele. *Et tu Brute contra me!* westchnął so- „ bie Pan Antoni, więcéj w poniżeniu swojém „ do pobłażania, jak do zemsty skłonny, i schwy- „ ciwszy za miejsce, gdzie niegdyś poła była, „ znalazł w tém niewdzięcznym postępku Bekasa „ nową pobudkę do odwrócenia kroków swoich „ od rodzicielskiego domu, i szukania przytułku „ u Ojca Marysi, przed którego stał już domem."

Po tém przypadku zbliżył się nasz peregrynek do drzwi folwarku, i nieśmiało w nie zapukał:

„ Ocucony Pan Ekonom kołataniem i woła- „ niem nazwiska swego, mniemając, iż podwła- „ dny jego o jakim nadzwyczajnym przypadku „ wieść mu niesie, zrywa się, i dla przezorności „ rozniecíwszy w ognisku świécę, wychodzi do „ sieni, otwiéra drzwi, a spostrzegłszy syna Pa- „ na swego w nędznéj postaci, w obdartéj odzie- „ ży, niewchodząc w dalsze rozpoznanie rzeczy „ i wykrzyknąwszy: *wszelki duch Pana Boga* „ *chwali!* zatrzaska drzwi, i zagasiwszy świécę, „ ucieka nazad do łóżka, z wielkiém przerażeniem „ żony.— Cóż to? wrzasnęła.— Syn Jegomości.... „ Pan Antoni..... pokazał mi się u drzwi, to musi

być

„ być duch jego..... Panie, daj mu spoczynek.....
„ Poczém nastąpiły spólne obojga pacierze, z wiel-
„ kiém Pana Antoniego udręczeniem, który nie-
„ pojmując tego przyjęcia, na nowo do drzwi ko-
„ łatać zaczął, co tém mocniéj przekonało prze-
„ lękłych o nocném ducha nawiédzeniu. Widząc
„ biédny nasz podróżny, iż u tych drzwi wy-
„ słuchania nieznajdzie, idzie do okna komory,
„ w któréj ocucona już Marysia spoczywała,
„ i najtkliwszym do niéj odezwawszy się głosem,
„ prosi o wpusczenie siebie do domu. Marysia,
„ która zawsze więcéj o żywych, jak o umar-
„ łych myślała, którą właśnie najsłodsze sny
„ kołysały, zbliżyła się do okna, poznała Pani-
„ cza, i dowiędziawszy się od niego sczegółów
„ podróży, litością zdjęta dla niego, otwiéra
„ okno i..........

„ A co teraz spodziéwam się, Panie Autorze,
„ żem Wasana złapał na gorącym uczynku, no
„ i cóż będzie daléj? Jakże z tego wybrniesz?
„ czémże uniewinnisz Maryjannę za wpusczenie
„ oknem i nocną porą kawaléra? cóż powiész
„ więcéj? Nic wcale.— Kto Wasanu powiedział,
„ że ja Marysię chcę uniewinniać lub potępiać?
„ czyliż to nasz bohatér mało uciérpiał, mało
„ doznał prześladowania, ażeby się téż raz du-
„ sza litościwa jego losem i pocieszeniem zająć
„ niemiała! WPan byś chciał z niego zawsze

„ tylko żartować i cieszyć się z jego biedy, po-
„ zwól mu się aby raz wygodnie przespać, nie-
„ odmawiaj mu też ostatniéj strapionego serca
„ pociechy."

Otóż się zabłąkałem.— To szczęście, że we dnie i tylko na papierze.— Chwytam więc za wątek. Ekonom, mówię, zacząwszy z Jegomością rozmowę od grochu *trafił do oznajmienia przybycia*, *i zyskania przebaczenia dla Pana Antoniego.* A cóż było potém? Niech się za mnie Pan Autor tłumaczy.— „ Cóż robić? Ro-
„ dzice przebaczyli, Jegomość długi popłacił,
„ ekwipaż wykupił, a kiedy już raz były ko-
„ nie i pojazdy sprawione, jakże się nieżenić!

„ No, jak to? czy już po romansie?— A już,
„ albo co? — Tak kuso, po prostu, ożenił się
„ i skończyło się.— A jakże miało być?—

Za pozwoleniem, Panie Autorze! jescze się nieskończyło. Albowiem, chociaż nieczytałem twojéj powieści w łóżku dla prędszego zaśnienia, chociaż nie z nudów, ani w innym przypadku, jak sam radziłeś w przedmowie; powodowany, jak Ci się nazwać podoba, czy własnym widzimi się, czy inną jakową chętką pisarską, umyśliłem jescze opowiedzieć w krótkości to, coś Ty, Panie Bracie szérzéj opisał (a widzisz jak umiem korzystać z twoich uwag, gdy Cię mianuję Panem Bratem:) i na dokończenie........ Ale

moment ciérpliwości! to już musi być na końcu.—

Tak tedy Pan Antoni się ożenił. A z kim? łatwo zgadnąć, że ze słodziutką, milutką, ładniutką Terenią, Sędzianką, która (jak sam Pan Antoni Autorowi powiada) *w piérwszych latach po ślubie była karą za jego grzechy. Lecz, że niéma złego, któreby na dobre niewyszło,* (jest to ulubione zdanie Pana Antoniego); Terenia po śmierci Rodziców męża, obrawszy go porządnie, dom jego opuściła nazawsze. Nazawsze? zawoła Autor, mnie się o tém nieśniło. Otóż niecierpliwość Pana Brata. Zaraz powiem resztę, jak mnie sam nauczył. Terenia opuściła dom mężowski, to jest uwolniła go na zawsze od swojéj osoby, ale duch jéj złośliwy prześladował go jescze. A że niéma nic złego, coby na dobre niewyszło, Pan Antoni miał na czas pewny głowę nieco wolniejszą.

Po zdjętym z serca ciężarze, postanowił prowadzić pustelnicze życie, zupełnie gospodarstwu oddane. Wierzyciele jego oszczędzili mu w krótce po odjeździe Tereni kłopotu i trudu wielkiego gospodarstwa, i zostawili go tylko przy jednéj wiosce, na któréj zapis żonie od jego Ojca zrobiony był zabezpieczonym. Trzeba zaś wiedzieć, że Tatulo Jegomość przez szczególny affekt dla swojéj synowy....... Aj, Panie Autorze

zapewne się gniewasz o te wyrazy *przez szczególny affekt*, a kiedy dodam, że przez ojcowski affekt, cóż z nami będzie? oto porachujmy się łepiéj z sumieniem, i powiédzmy sobie w sekrecie, Panie bracie, żeśmy oba niecierpliwi: ja przez gadulstwo, Ty przez prędkość, — i kwita. — Niechże tego więcéj nie będzie. — Powróćmy teraz do rzeczy...... Tatulo Jegomość przez ojcowski affekt zrobił zapis stu tysięcy dla kochanéj Tereni żony swego synalka. Gdy się, jak to już słyszeliśmy, moralnie i materyjalnie rozdzieliła z mężem, przyjął Komisarza, który, że niéma nic złego, co by na dobre niewyszło, umknął znienacka, zpotrzebowawszy dwuletnią intratę z wioski, i zostawiwszy mu w ręku dzieci Jzraela likwidacyją sześciu tysięcy długu na jego imie zaciągnionego. Ale Pan Antoni postanowił odtąd niespusczać się na nikogo. A że się nieznał na niczém, gospodarstwo zatém szło jak sprawa w Osieku; jednak Panu Antoniemu sprawdziło się znowu, że niéma nic złego, co by na dobre niewyszło. Naglony od wierzycieli, upominających się o drobne dłużki, puścił wioskę w dzierżawę: a za to miał wolność opusczania często własnego domu, z powodu kłótni jego ludzi z ludźmi dzierżawcy. — Przybyła i tu w pomoc, jak na sczęście, najukochańsza Terenia, i uwolniła go od kłopotu, porozumiawszy się

z dzierżawcą. Pan Antoni przegrał proces o procenta, zajęto mu wioskę, nieruchomości i dochód. Ale został niepodległym, i pozbył się z sąsiedztwa Pana dzierżawcy. Otóż znowu, złe na dobre mu wyszło. W ciągu procesu bawił u brata stryjecznego, który póty się z nim uprzejmie obchodził, póki miał nadzieję, o co już dawno wszedł w układ z Panem Antonim, że u niego resztę majątku dożywotnie umieści. Lecz, gdy sprawę przegrał zupełnie, i reszta wartości wioski przez najukochańszą Terenię zabranéj, niewystarczała na zaspokojenie pretensyj od dawna już rosczonych, Pan brat stryjeczny grzecznie pozbył się z domu Pana Antoniego.— A już się też i zmordowałem. Oto krótko mówiąc, swémi jasnokościstémi rumakami zajechał bez celu do miasteczka, w którym owdowiała Marysia trzymała oberżę; ta go mile przyjęła, dała mu pieniędzy na drogę, przyjechał do Warszawy, opowiedział swoje przypadki Autorowi, który ma go wykierować na Pocztmistrza, czego sobie życzy z duszy serca.... i basta. Jescze jeden figiel, alę przysięgam, że ostatni. Panie bracie Autorze, co też np: ma za dążenie i związek z całą powieścią Rozdział XII. pod tytułem: *o gdybym był!* ja niewiem i ty podobno niewiesz. *Między nami mówiąc* dosyć na tém objaśnieniu. Jescze jedno. Proszę mi powie-

dzieć na co Ci się zdał, Panie Bracie Autorze Rozdział XX. pod tytułem: *Romantyczny*. Ej co tam po tych zapytaniach?— Prawda, że nic po nich. Tośmy sobie taką rzeczą nic a nic niewinni.—'

Gdybyś zaś, Panie Bracie, żądał jakiéj satysfakcyi, powiem Ci, chociaż może skromność twoja o to się urazi, albo wcale niedbasz o to, że twój styl i sposób opowiadania koniecznie podobać się musi, żeś pisał prawdziwie po polsku i dla Polaków, żeś nawet nowym wcale płodem Literaturę naszę zbogacił.—

Cura ut valeas.

MOWA POCHWALNA,

MIANA PRZY WYPROWADZENIU ZWŁOK

JANA SOBIESKIEGO,

Z WILANOWA, DO GROBU KRÓLÓW POLSKICH W KRAKOWIE.

Szanowne zwłoki wojownika spoczywały w Wilanowie, nadeszła chwila, w któréj do

grobu Królów przeprowadzić je miano. Tłumy Rycerstwa i ludu, otoczyły po raz ostatni drogie sczątki Bohatéra i Króla: jeden z wojowników, który w bojach dzielił z nim niebezpieczeństwo i sławę, występuje i tak przemawia:

Obywatele i Rycerze!

Krótko mówić będę o Sobieskim; samo wspomnienie tego Bohatéra w całym blasku jego chwałę wystawia. Dojść do Tronu jedynie drogą zwycięztw i tryjumfów, w obronie Ojczyzny, jest zasczytem i chwałą.— Tą drogą dostąpił Sobieski berła wolnego narodu, tą osiadł starożytny tron Piastów i Jagiełłów; tą uniesmiertelnił pamięć swoję. Jescze brzmiała Polska Imieniem Żołkiewskich, jescze dawały się słyszeć młodemu Janowi przyjemne odgłosy pochwał Chodkiewicza, które umysł jego zapaliły żądzą chwały; gdy szanowny Ojciec znany z męztwa na polu Marsa, z cnót w obywatelstwie, z nauk w świecie uczonym, wysyła go na zwiédzenie obcych krajów. Przybywszy Jan do Konstantynopola, stara się poznać obyczaje, sposób wojowania swoich potém największych nieprzyjaciół; i tę olbrzymią wielkość, która była postrachem dla Chrześcijan; tylko przesadzoną widzi. Miłość Ojczyzny, niepozwala mu

dokończyć przedsięwziętéj podróży, powraca na jéj obronę, stawa w nieustraszonych szeregach nieśmiertelnego Czarnieckiego, towarzyszy mu, wspiéra go w bojach radą i orężem; powierzonémi sobie zastępami, choć nielicznémi, gromi nieprzeliczone tłumy nieprzyjaciół, za co wdzięczna Polska, uwieńczając jego zasługi i trudy, powierza mu buławę po Potockim. W krótce Mahomet IV. z licznémi hordy najéżdza Polskę; naród zakłócony domowémi niesnaskami mniéj uważał na wielkość nadchodzącego niebezpieczeństwa. Sobieski, powodowany miłością Ojczyzny, zbiéra, ile może, wojska, na którego utrzymanie większą część majątku łożył, odpiéra najezdców; niemając już czém naród dzieł jego wynagrodzić, ofiaruje mu berło. Drżał Wiedeń, drżała przerażona Europa, przed Otomańskim mieczem, na gruzach Germanii miał stanąć groźny znak półksiężyca; głosem ludzkości powołany Sobieski, staje z mężnémi zastępami na pobrzeżach Dunaju; rozpędza hordy zajadłe, wspiéra zgnębione ludy, i na zawsze niszczy przewagę Turcyi na wschodzie.

Już ten mąż wielki, ten Obywatel prawy, przeszedł krótką drogę, którą na téj ziemi przebyć mu dozwoliła Opatrzność, brzmiał za życia, brzmieć będzie wiecznie odgłos jego czynów.— Bo któż z śmiertelnych może sobie zapewnić

trwalszą pamiątkę nad oswobodziciela pokoleń ludzkich od zgubnego jarzma? Cóż może mieć większe prawo do niéj nad prawdziwy heroizm? Lecz byłby skażony pochlébstwem czysty głos prawdy, gdybyśmy uwielbiając dzieła heroizmu, dzieła Króla i wojownika, pominęli błędy człowieka. Sobieski niezebrał dla siebie i dla Ojczyzny tych owoców, które obiecywała pomyślność jego oręża. Bohatér na polu Marsa, stracił męztwo i stałość w pokoju. Przepuśćmy jednak słabości człowieka dla cnót wojownika.

Jeżeli sczęście, które towarzyszyło Janowi III. wśród bojów, nieuwieńczyło jego zawodu politycznego w pokoju; jeżeli niezrobił dla Polski tego, co przy nabytéj chwale i potędze mógł zrobić, niech go wymówi stan niesczęśliwy narodu. To więc, co nieuważnie pominął, weźmy za winę czasów, a uwielbiajmy sławę, którą po nim w dziedzictwie odebraliśmy.

Zwycięztwo pamiętne pod Chocimem, dało mu koronę, obrona Niemiec i całéj Europy, dała mu nieśmiertelność. Pamięć Polski, z pamięcią Sobieskiego połączona wieki przeżyje; a chociażby zniknąć kiedy miało wspomnienie bohatérstwa i cnoty; wśród milijonów świateł niebieskich imie Sobieskiego, imie wybawcy Wiednia daleka potomność z podziwieniem czytać będzie.

BAJKI i POWIEŚCI
STANISŁAWA JACHOWICZA.

W Płocku, drukiem Karola Kuliga 1824.

Piérwsze to dziełko tego rodzaju wychodzi z nowéj Drukarni Płockiéj, pismem, jakie nazwać można słusznie wyraźném i piękném, a do tego krajowém, nie krajowo-zagraniczném. Podzielone jest na trzy Części, z których piérwsza i druga obejmują płody oryginalne, trzecia przekłady i naśladowania.

Od dawna Przyjaciele dzieci a szczególniéj troskliwi Rodzice, pragnęli miéć ułożony zbiór Nauk moralnych, objęty w przyjemnych powieściach i niewinnych bajeczkach. Bo większa część dotąd napisanych wcale się niezda dla dzieci. To życzenie spełnione zostanie, jeżeli Autorowie z talentem, których pisma odznaczają się wyborem rzeczy i łatwością stylu, przygotują znaczny zapas materyjałów. Ale oddajmy tu należną sprawiedliwość, komu się należy. — Już to zrobiła Autorka Pamiątki po dobréj Matce w piśmie swojém: *Rozrywki dla Dzieci.* — Bajki zaś i Powieści, o których jest mowa dopełniają, (do czego się i Szanowna Autorka z nami przypisze) jéj obszérnego i pięknego zamiaru.

Już o niniejszém Dziełku z pochwałą i chlu-

bą dla Autora czytelnicy wyrzekli. Dla upowszechnienia zaś tego płodu pięknéj poezyi, który znajdować się powinien nietylko w ręku wszystkich przyjaciół dzieci, ale nawet w ręku wszystkich wielbicieli i znawców Literatury ojczystéj, umieścimy niektóre z niego powieści i bajki.

A naprzód, gdybym przemawiał do Was, ukochane Dziatki, zwróciłbym waszę uwagę na krótkie, lecz wiele znaczące przypisanie czyli Dedykacyją, zawartą w tych słowach: *Cieniom najdroższéj Matki!* Jleż ony mają znaczenia! Kto kochał Rodziców za życia, temu ich Cienie są drogie, tego oblicze, przy ich świętém wspomnieniu, łza wdzięczności zrosi! — Domyślić się możecie, czém była Matka dla tego, który wszelkie przypisanie zastąpił tym wyrazem czułego serca: "*Cieniom najdroższéj Matki*! — i czém on był dla niéj! — Jdźcie za jego przykładem. — Waszym tkliwym i niewinnym sercom dosyć będzie na tém upomnieniu. — Na wstępie umieścił Autor powieść pod tytułem:

Siejba.

Powiedz mi, Tatuniu luby,
Czemu rzucasz w ziemię zboże?
Czegóż próżnéj szukasz zguby?
Wszak ze zboża chléb bydź może?

Ja ci wyzbiéram troskliwie,
I zaniosę je do młyna,
Na co ma gnić na téj niwie?
Tak mówił mały chłopczyna.

Synu! rzekł Ojciec sędziwy,
To zboże mi tu niezginie,
Ujrzysz, nim jescze rok minie,
Ile zbierzemy z téj niwy.

Siéjcie, dzieci, w sercu cnoty,
Miłą cieszcie się nadzieją,
Ony tam pięknie dojrzeją,
I przyniosą wam plon złoty.

Następuje druga powieść prosta i niewinna:

Tadeuszek.

Raz swawolny Tadeuszek
Nawsadzał w flaszeczkę muszek,
A niechcąc ich morzyć głodem
Ponarzucał chleba z miodem,
Widząc to Ojciec, przyniósł mu piernika,
I nic niemówiąc drzwi na klucz zamyka.
Zaczął się prosić, płakał Tadeuszek,
A Ojciec na to: niewięź biédnych muszek.
Siedział dzień cały: to go nauczyło:
Nieczyń drugiemu, co tobie niemiło.

Pełna jest również lubej prostoty powieść z okoliczności:

Salusia.

Niewiedzieć o co, raz Salusia mała
Na Mamę się rozdąsała,
Zapomniała nieboga, co to znaczy Mama!
Zalana łzami idzie w pole sama,
I rzecze: Niepowrócę, choć Mama zawoła.
W tém ją z nienacka palnie żądłem pszczoła;
Salka w płacz, jak nie płakać, kiedy kogo boli?
Zgasła złość, zniknął upór, wraca mimo woli.
Dotychczas niezatarte nosi wiekiem znamie.
Uczcie się dzieci nieuchybiać Mamie.

Między innémi podoba się z miłego wykładu bajeczka

Krzyś i Leoś.

Leoś płakał nad książką, jednak się mozolił,
Krzyś, niebaczny na przyszłość, wesoło swawolił,
Nadeszedł wiek dojrzały, wszystko wspak obrócił,
Cieszył się Leoś z nauk, Krzyś niebaczny smucił:
I westchnął poniewczasie, gdy mu głód dokuczył:
O jakżem ja źle zrobił, żem się nic nie uczył!

Kogóż niezachwyci następująca powieść, również z okoliczności, a podobno i z życia samego Autora:

Staś.

Staś na sukni zrobił plamą,
Płacze i przeprasza Mamę,
Korzystając z chwili Mama,
Rzecze: na sukni wypierze się plama;
Ale strzeż się, moje dziécie,
Brzydkim czynem splamić życie,
Bo ci, Stasiu, mówię sczerze,
Ta się plama niewypierze.

Do najpiękniejszych z piérwszéj Części należy Bajeczka:

Adaś.

Zegnij to małe drzewko! rzekł Ojciec do syna.
Adaś go łatwo ugina.
A to większe! Już trudniéj, jednak żwawe dziécie
Zgina go przecie.
Teraz, luby Adasiu, gnij to drzewo spore,
Co już znacznie od ziemi podniosło się w górę.
Próżne usiłowania, Adaś zmordowany,
Ja go, rzecze, niewzruszę, mój Papo kochany.
Otóż widzisz, mój synu, rzekł Ojciec ze łzami,
Coś doświadczył na drzewach, to się dzieje z wami,

Pókiście jescze młodzi, jak piérwsza drzewina,
Ojciec, w którą chce stronę, łatwo was ugina,
Ku pracy, pobożności, nauce i cnocie,
Ale skoro wzrośniecie w nałogach, ciemnocie,
Już was Ojciec sprostować niezdoła, jak pragnie,
Już was do cnoty nienagnie.

W drugiéj Części znajdujemy powieści i bajeczki, zastósowane do wyższego pojęcia dzieci, względnie do tego, jak w piérwszéj były proste i łatwo zrozumiałe, jak np: Bajeczka:

Bryś.

Moje psy! rzecze raz pan, żeście wierni stroże,
Sprawię wam wszystkim obroże,
By się zaś wasza godniéj nagrodziła cnota,
Niekażę oszczędzać złota.

Na to, rzecze Bryś wierny, sługa najdawniejszy:
Panie! twoja nagroda cenę zasług zmniejszy,
Wierność jest obowiązkiem dla dobrego pana,
Niepowiększy jéj pewnie obróż pozłacana,
Gdybyśmy ci służyli tylko dla obróży,
Ktoby błysnął piękniejszą, znalazłby w nas stroży.

W piśmie peryjodycznem *Rozrywki dla Dzieci*, znajduje się powieść *Rozpacz i Ufność* z podpisem K... B... napisana prozą, którą zaleca ujmująca lubość i dziwnie miła stylu prostota. Autor Bajek i Powieści umieścił także powieść z tego samego zdarzenia, któréj dał tytuł: *Człowiek i gniazdo ptasie*. Dla porównania obu, tych przyjemnych płodów wypisujemy je Czytelnikom naszym:

Rozpacz i Ufność.

Powieść prawdziwa.

Kogo Bóg dziatkami obdarzy, tego nieopuści, bo go pobudza do przykładu i pracy, a przy tych tylko ufamy Bogu.

O.....ski sczupłe miał dziedzictwo, które z kwitnącą obsiewał żoną. Co rok przybywała mu nowa w dziatkach pociecha, ale i nowe troski. Ogień i nieurodzaje, a najwięcéj źli przyjaciele, daremnym czynili pot jego czoła. Pod ciężarem trudów widział, że w smutną zapuszczał się przyszłość. Goryczą była dla niego kwitnąca

żo-

żona, co go chciała pocieszać, goryczą dziatki, co nieświadome trósk Ojca, wesoło przy nim igrały; coraz więcéj szukał samotności, która jest przyjaciółką mądrych, ale wrogiem rozpaczających. Ta włudziła w niego okropną chęć samobójstwa. Z tą myślą chodził i sypiał, z tą całował dzieci, gdy przymileniem jego boleść jątrzyły; postanowił już umrzéć, ale nieobrał jescze rodzaiu śmierci.

Gdy w myślach zatopiony chodził wieczór po głuchém już polu, zawadził nogą o powróz zostawiony po żniwie. „Oto, mówi, narzędzie „śmierci, które się samo nastręcza" Spieszy do bliskiego jesiona. Łzawém okiem rzucił jescze na dom swéj wdowy i siérot, i na słońce, co się już kryło za daleką równiną. Upatruje mocnéj gałęzi, aż nad nią widzi w gniaździe drobne ptaszęta, podnoszące bez pióre skrzydła i dzióbki łakome, i widzi, jak je koléjno matka robaczkiem obdzielała. Patrzył długo, i niémógł się napatrzyć. Oczy dopiéro osłupiałe rozpaczą, rzewną łzą się zrosiły. I rzekł: „Toż „Ty, opatrzny Boże, nędznéj ptaszynie chléb ob„myśliwasz, którym swe dziatki wyżywia, a ja „człowiek miałbym Tobie nieufać? a ja czło„wiek miałbym na wieki dzieci moje opuścić? „O Boże mój, jak Ci się wydziękować za tę „przestrogę?" I upadł na ziemię, i tak gorąco

się modlił, że westchnienia przeszły do Boga, i z ufnością wrócił do kwitnącéj żony i dziatek.

Tam zastał Matkę dzielącą chlebem wesołe dziatki, wspomniał na gniazdo widziane, i ściskał wszystkie z taką radością, jakby skarby do domu przynosił.

Odtąd oszczędność i praca podwoiły się w domku jego, a pokój i ufność w nim zamieszkały. Z niemi doszedł do tego, że stał się Panem, syny i córki bogato posażył, i co ranek wychodził pod jesion dziękować Bogu.

W sędziwym wieku, tak majątkiem, jak cnotą znamienity, zasiadł w kole Senatu, i tak był dobrym Ojcem Narodu, jak swoich dzieci.

A na miejscu, gdzie był pamiętny jesion, wybudował Opatrzności świątynią. Tam do dziś dnia niedarmo każdy prosi Boga o ufność i miłość pracy.

Człowiek i gniazdo ptasie.

Opusczony od losu wśród niesczęść kołei,
Bogaty niegdyś człowiek został bez nadziei,
W około bezsilnemi otoczon dziatkami,
Na każde ich wspomnienie zaléwał się łzami,
Nięraz w smutnych o przyszłość myślach zatopiony,
Szukał ulgi na łonie ukochanéj żony,
Ale go wszędzie mysli dościgały srogie:
W cóż się teraz obrócą nasze dzieci drogie?!
Zapomniał, że Opatrzność ma w pieczy człowieka,
Zuchwały, obowiązków najświętszych się zrzeka,
I jakby nie mógł złemu zaradzić inaczéj,
Życie sobie odebrać umyślił z rozpaczy.
Pozorem polowania barwi myśl zdziczałą,
Porzuca lubą żonę z liczną dziatwą małą,
Bierze strzelbę na ramie, psa nawet zostawia,
Niechcąc, by i pies wierny był świadkiem bezprawia.
Ale jakaż zapora utrzyma Kasztana!
Uprzedza krok niebaczny stroskanego pana,
Bieży, i nic go wstrzymać w zapędzie niezdoła,
Na wszystkie zbacza strony, wietrzy do około,
To w szybkim pędzi cwale, to zwalnia krok czasem,
Nareszcie się zatrzymał przy krzaczku pod lasem.
Wydaje głos radosny wznosi w górę głowę,
Pan zdjęty ciekawością dąży w miejsce owe,
Widzi dwanaście piskląt, a zgłodniałe dziatki
Oczekują pokarmu od starannéj Matki.
Tą Matką małe, słabe, bezrozumne ptaszę.
Jakże to, rzekł, zawstydza nietroskliwość naszę,
Toż ptak, tułacz wieczysty, niesieje, nieorze,
A tyle razem dzieci sam wyżywić może,

Człeku zaś, który rozum otrzymał w podziele,
Sześcioro dzieci za wiele?
Siłą, przemysłem obdarzon sowicie,
Smie zaślepion rozpaczą targnąć się na życie?
Ah Boże! w tém zrządzenie widzę twojéj ręki,
Tyś mi dał błąd mój poznać, przebacz, przyjmij dzięki!
Wesół wrócił do domu, usilność podwoił,
Przeciw pociskom losu w męztwo się uzbroił,
Całą siłą gorliwe wspiérał przedsięwzięcie,
I ojcowskiéj dopełnił powinności święcie.

Z tych dwóch powieści nieco różnych wykrywa się razem ważny przedział między poezyją a prozą, który dzieci zawczasu poznawać mają, aby oceniając zasługi prozy, uczyły się także pojmować urocze wdzięki prawdziwéj poezyi, i w nich rozsądnie smakować.

W trzeciéj części jest najdobrańszy wybór przekładów. — Tu tylko wypisujemy powieść:

Pelikan i jego dzieci.

Nieznośne były upały,
Liście na drzewach zżółkniały,
Wyschły rzeki, wyschły stawy,
Obumarły w łąkach trawy;
Głód i jego blada rzesza
Z podziemnych pieczar pośpiesza,

I wszystko niszczy na ziemi.
Wtenczas pelikan z dziatkami małémi,
Wśród bezpiecznego od skwaru schronienia,
Uczuł okropność pragnienia.
Walczą z śmiercią dzieci lube,
Ojciec pewną widzi zgubę;
Patrzy na okropne męki,
Przeraźliwe słyszy jęki,
Trudny już ratunek wszelki,
Niéma wody i kropelki.
Ale patrzcie, co miłość rodzicielska zdoła!
Rozpaczy na pomoc woła,
Przykład światu pozostawia,
I w ślachetnym zapale własną pierś rozkrwawia.
Wléwa dzieciom w mdłe usta soki purpurowe,
Piją chciwie, i życie odzyskują nowe.
Najmłodsze tylko główkę odwraca od rany,
Tak się śmierci okupić niechce syn kochany.
Wątek życia już słaby do reszty przedziéra,
Skrzydłem głowę osłania pada i umiéra.
Z wspaniałego przybytku rzucił Jowisz okiem,
Leje łzy rozrzewniony tak tkliwym widokiem;
A litość, najświetniejsza Gromowładcy cnota,
Martwego pelikana wraca do żywota.
W nagrodę pięknéj cnoty, którą życie wsławił,
Jowisz go obok orła przy tronie postawił,
I gdy tamten piastuje pęk gromów trwożliwych,
Ten dary dobroczynne dla dzieci cnotliwych.

UWIADOMIENIE.

Bajki i Powieści Stanisława Jachowicza są do sprzedania u A. Zdźarskiego Prof: za cenę Złotp. 3.

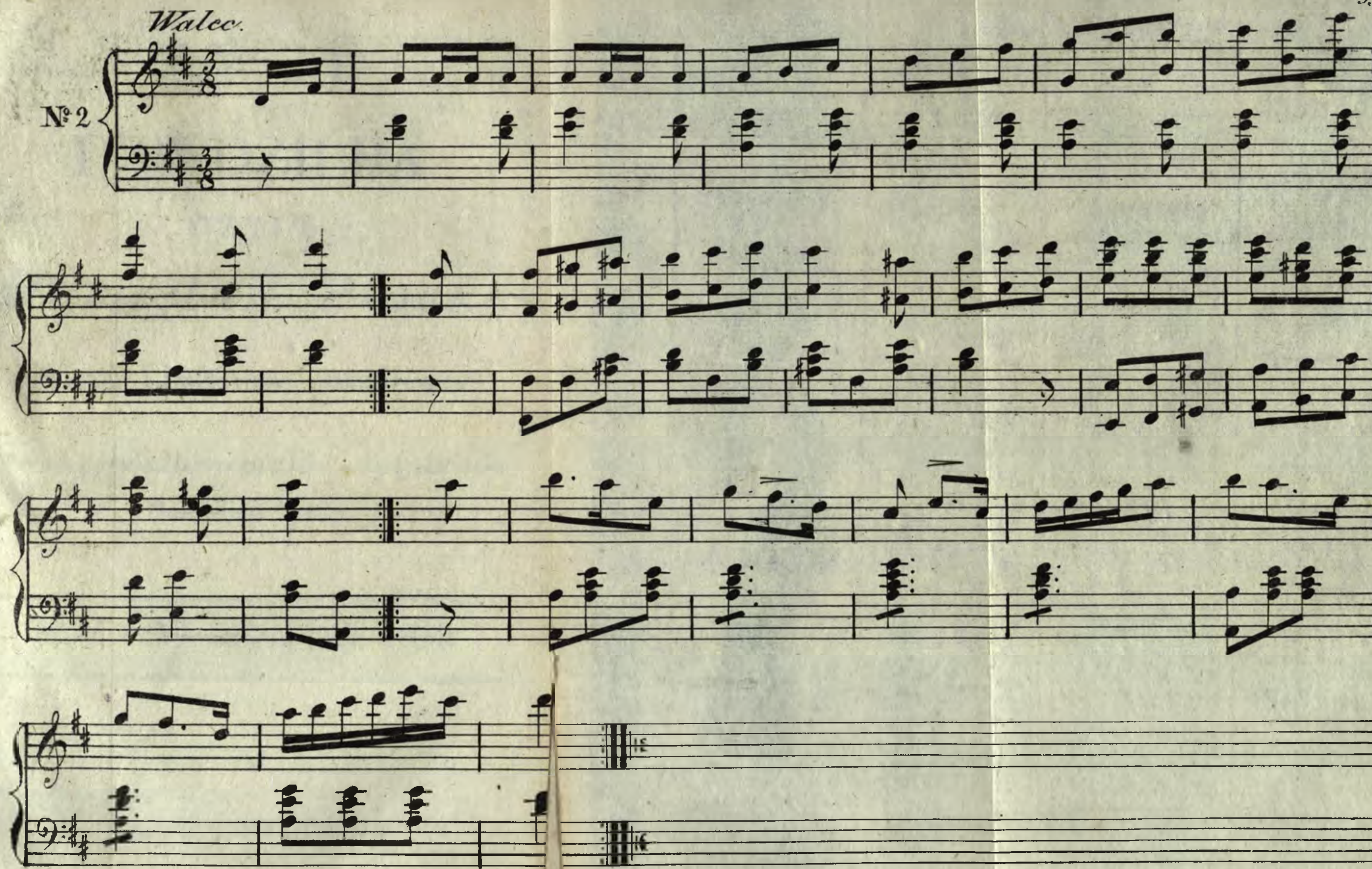
Pomimo sprzedanych już wielu Exemplarzy Dzieła *O Prawnictwie Cywilném*, — które wyszło z pod prasy z Drukarni Płockiéj, jest jescze toż Dzieło do sprzedania u K. Kuliga za cenę Złtp. 10. Dostać także można u K. Kuliga:

a) Myśli o Powołaniu Obrońców Sądowych przez Dawida Torosiewicza, A. S. A. K. P. za cenę Złtp. 3.

b) Wybór Modlitw od ś. p. Pijusa VI. wyłożonych, — oprawnych w futeralik, za cenę Złtp. 4.

c) Farmacyja Celińskiego, II. Tomy za cenę Złtp. 15.

d) Zbiór nowych Walców F. Weckiego. Cena Złtp. 2.


Walec.
Nº 2

(Ner. 3.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy Rozumu i Serca.

Miesiąc Wrzesień Rok 1824.

Wolno drukować.

J. K. SZANIAWSKI, R. S. D. J. W. P.

SZRAMA.

PIEŚŃ I.

Niebo wojną ziemi grożące w posępną przyoblekło się szatę, mgliste chmury niosły od zachodu groźne dźdźu i piorunów brzemie. Na odgłos huczącego wichru wpośród czarnéj kniei, zdawało się, że wszystkie nocne mary i duchy piekielne na to jedno zgromadziły się miejsce, aby zapusczającym się wśród nocy w ten las ciemny straszny obraz piekła wystawić. Kołyszące się wierzchołki stuletnich dębów i sosien przerażający wydawały szelest, którego okropność pomnażały skłócone Dniestru bałwany.— Nagle zagrzmiało Niebo: dzień się ukazał i zniknął, pękły chmury, i wylały na ziemię liczne wód strumienie. Za każdym odgłosem ryczącego gromu, rzęsistszy déscz wylèwały chmury, które migający błysk szarpać się zdawał.— Noc była ciemna i okropna, zgasł księżyc okazały i iskrzące się gwiazdy; nic niewidać, prócz iasnych łun, migających się na zachodzie, nic niesłychać, prócz grzmiących piorunów i świszczącego wiatru, noc ta była przerażającym

obrazem wrzących namiętności człowieka, albo zgryzot czarnego sumienia.

W téj straszliwéj pusczy, na któréj widok zadrżałoby najodważniejsze serce, w téj pusczy miészkał spokojny ślachcic. Przy swojéj chudobie, przy skromnéj mierności, nielękał się zawiści złych ludzi, i przy cnocie złe nietrwożyły go duchy. Otoczony lubą rodziną, daleki oka zazdrośnych, pracował we dnie wesoło, a w gronie dzieci niewinnych miłe przepędzał wieczory. Gdy łoskotna fala miotać zaczęła z okropnym szelestem konarami dębów, a wilgotne powietrze zimnem przejmowało, dorzuciwszy drewek do palącego się ogniska, obsiadła niewinna drużyna kominek do koła. Dzieci, rzekł Ojciec, my tu spokojne przepędzamy chwile, my się grzejemy przy ogniu, kiedy może niejeden podróżny, błądząc w grubych ciemiach nocy, przemokły, zimnem przejęty, napróżno upatruje, gdzieby mógł się schronić przed słotną falą. Oby Bóg do nas jego nakierował kroki, tuby znalazł spoczynek, tubyśmy go z ochotą przyjęli. Niestety! może gdzie w nieznanéj krainie brat wasz Kazimiérz wygląda podobnéj ludzkości. Boże! ty miéj nad nim opiekę, wszakże on poszedł pomnożyć liczbę obrońców Ojczyzny.

Wspomnienie Kazimiérza, którego na od-

głos wojny, ani przestrogi Ojca, ani łzy Matki zatrzymać w domu niemogły, zasmuciło wszystkich. Ponure nastało milczenie, nikt niesmiał przemówić, i każdy myśl swoję posłał w tę stronę, gdzie się udał Kazimierz. Świetna to była wyprawa, sam Król Jan Albrycht dla poskromienia hardych bisurmanów miał jéj przewodniczyć. Ojciec, siedząc przy kominku, rozmyślał, jak syn jego w obecności Króla, dając dowody niezrównanego męztwa, łaską jego zaszczycony będzie: widział ścierające się szyki, a wszędzie syna na czele, i uniesiony tak pochlebnym obrazem, uśmiéchnął się mimowolnie. Spojrzał po wszystkich, a widząc zasmucone twarze dzieci, i Matki, która łzy wyléwała, wystawiwszy sobie od ran i krwi przelanéj ginącego syna, chcąc rozweselić zasmucone umysły, rozkazał co zaśpiéwać starszéj swéj córce Urszuli.

PIEŚŃ URSZULI.

Jak w poranku lubéj wiosny,
Ogrody, łąki i gaje,
Wszystko okrywa uśmiéch radosny,
Świat cały żywym się zdaje.

Wnet lato zdobi świéżémi kwiaty
Zioła i krzaki i drzewa:
Ziemia się stroi w barwiste szaty,
I zielonością odziéwa.

Ten kwiat nakoniec w późnéj jesieni,
Co tylko czczą był ozdobą,
W dojrzały z czasem owoc się mieni,
I gnie gałęzie pod sobą.

Tak człowiek z razu płaczliwe dziécię,
W niewinnéj żyje pomroce,
Cieszy się sczęściem w młodości kwiecie,
W starości zbiéra owoce.

Wstrzymaj się, córko moja, przerwał Ojciec, którego rysy twarzy tajemną niespokojność zdradzały, zdaje mi się, żem dosłyszał tentent zbliżającego się konia. Ledwie wymówił te słowa, gdy silném ramieniem drzwi poruszone otworzyły się. Wszedł Rycerz, na którego twarzy okropność jakaś osiadła, jakby jej uśmiéch nigdy okrasić niezdołał. Bystre oczy, które za najmniejszym zwracał szelestem, odkrywały niespokoyność duszy jego: ta postać ogromna, któréj zwieszone wąsy pomnażały posępną okropność, zdawała się być otoczoną od duchów piekielnych, w towarzystwie zgryzoty i trwogi.
Taki widok przeraził serca niewinnéj fa-

milii, dzieci małe jedne tuliły się do łona swéj Matki, drugie cisnęły się do kąta, aby tam niedojrzane wszystko widzieć mogły. Gościnny Ojciec prosi go siedzieć, niedał się długo nakłaniać posępny Rycerz; usiadł, a padający blask migotliwego płomienia, oświecił twarz jego ponurą.

Z początku długie trwało milczenie, bo sam Rycerz niebył do tego skwapliwy, a straszna jego postawa śmiałość odebrała wszystkim. W krótce jednak dowiedziano się, że śpieszył do obozu Polskiego. Ośmielona Matka zaczęła mu opowiadać o swoim Kazimierzu, jak to jest chłopiec odważny, rozsądny i piękny: bo Matki zwykłe wszystko dobre w dzieciach swoich widzą; i zdaje im się, że taka rozmowa wszystkich zabawić powinna. Słuchał jéj z obojętnością Rycerz ponury i wszystkie zabiegi gościnności z oziębłością przyjmował, jakby je nie z dobrego serca lecz z musu odbierał.

Niedługo i dzieci ze swoich powychodziły kryjówek, i za przykładem Rodziców zbliżały się do Rycerza, jak bojaźliwe myszki nieśmiało wychodzą z jam swoich dla szukania żéru. Jedno znich śmielsze bawić się nawet zaczęło z rękojęścią szabli, inne potrząsały frendzlami jego pasa. Roześmieli się z dziecinnéj zabawy Rodzice, dziki także uśmiech, osiadł na

twarzy Rycerza. Jedno z nich, aby się lepiéj zabawić z srebrzystym pasem, odsunęło przemokłą burkę, którą Rycerz okryte miał barki. Lecz przebóg! co za okropność, krew jescze nieoschła ściekała po białym żupanie: przerażone dziécię z milczącą bojaźnią cofnęło się do Matki, i na jéj łonie już bezpiecznie z trwogą jednak poglądało na zakrwawioną szatę. Postrzegli to Rodzice, i starali się pokryć to wszystko: lecz baczny Rycerz dorozumiał się trwogi dziécięcia, i zasłoniwszy nagle zbroczony żupan, badającym wzrokiem wpatrywał się w twarze Rodziców. Niémogli znieść srogości wejrzenia, lękali się, aby gniéw jego niezwrócił się na nich. Baczny Ojciec, chcąc mu w téj mierze niewiadomość swoję pokazać, przywołał Urszulę, i kazał jéj pieśń jaką Rycerską zanucić. Niewinny rumieniec okrasił lica dziewicze, albowiem prócz Rodziców nikt jescze jéj głosu niesłyszał, posłuszna jednak Ojcu wziąwszy do rąk teorban i śnieżnémi po jego stronach biegając palcami, takie rymy spiéwać zaczęła.

Kiedy Bolesław zasiadał na tronie,
Był mąż urodą i rycerstwem sławny,
Miłość mu laurem opasała skronie,
Śmiały w natarciu i w odwodzie sprawny.

Gdy Morawianie wpadli w nasze ślaki,
Król widząc zapał i męztwo Rycerza,
Sam uśmiérzaiąc burzliwe Krzyżaki,
Jemu los kraju i wojny powierza.

Zaledwie surmy dały znak do boju,
Żelisław pełen bohatérskiéj dumy,
Krwią, potem zlany wśród krwawego znoju,
Walczy i gromi najezdnicze tłumy.

Błysk jego miecza i rażące ciosy,
Były gromami dla trwożliwéj rzeszy,
Wszędzie zwycięzkie wznoszą się odgłosy,
Ochocza na bój za nim młodzież spieszy.

Ale uniesion zapałem zbytecznym,
Gdy obskoczony krwawą walkę wszczyna,
Straciwszy prawą w boju niebezpiecznym,
Sam lewą głowę zwycięzcy ucina.

W powrocie wszędzie hołd wdzięczności zbiéra,
Jaśniejąc chwałą i rycerską cnotą,
Władca nagradza męztwo bohatéra,
Za utraconą daje rękę złotą.

Bez niéj Żelisław, lecz z wawrzynem sławy,
Zwycięzca Moraw stanął przed swą miłą:
„Widzisz tę bliznę i ten puklerz krwawy;
„Czy się twe dla mnie serce niezmieniło?

„Niesądź Rycerzu, bym była tak płocha,
„Rzekła dziewica, lubiłam twe wdzięki,
„Cnotliwa Pólka więcéj męztwo kocha,
„Pięknym mi jesteś, chociaż i bez ręki."

W krótce weselne gody się zaczęły,
Połączył ślubem Kapłan parę młodą,
Łzy rzewne z oczu przytomnym płynęły,
Tak piękność męztwa stała się nagrodą.

Błysnęła jasność i znikła, po chwili dał się słyszeć odgłos ryczącego gromu, po którym szelest kroplistego deszczu nastąpił. Zadrżała chata, pobożna Matka a za nią wybladłe dzieci wołają *a słowo ciałem się stało i t. d.* Raz jescze niebo zagrzmiało, raz jescze te słowa powtórzyli, gdy nagle drzwi się otworzyły, i ukazał się młody Rycerz swieży, jak kwiat polny w miłéj wiosennéj rozwinięty porze. W nieładzie jasne włosy na czoło mu spadały, twarz rumiana i oczy błękitne, co się zdawały być miłości i śmiéchom przeznaczone, malowały niespokojność wewnętrzną. Postrzegłszy go Rycerz posępny, wściekłością cały zapłonął, rozogniło się czoło jego, zaiskrzyły oczy, porwał miecz i już go miał w młodzieńczym utopić łonie, gdy przecie krzyk dzieci potrwożonych i płaczącéj Matki wstrzymały zapęd mściwy. — Wiem, piorunującym zawołał głosem, co cię w tę za mną przyprowadza stronę, zemsta niepozwala i mnie i tobie ani chwili zwłoki, lecz szanujmy te święte progi gościnności, pójdź ze mną wten las czarny, jeśli chcesz swego doświadczyć ramienia,

tam się spotkamy przy blasku bijących piorunów.

Dobrze, odpowié młodzieniec, tam się spotkamy przy blasku bijących piorunów, bo oczy twoje stały się już niegodne słonecznego światła.— Wyszli obadwa, już ich niebyło, a jescze trwoga pozostała po nich, jescze ich obraz sercom i myśli strwożonych był przytomny.— Noc płasczem swoim okryła ich walkę, niebyło widać w grubych ciemnościach ich męztwa i wzajemnéj zapalczywości, cięźkie tylko ciosy ich mieczów słyszéć się dawały, które głuchy odgłos powtarzał. W krótce i to ustało, a posępne milczenie cichą trwogę w sercach budziło.

Jakiż był koniec téj okropnéj walki? zginął powabny młodzieniec, jak kwiat wiosenny, płytką podcięty kosą, śmiertelna bladość okryła mu lica. Próżno chciał męstwem słabe jescze siły zastąpić, upadł pod cięźkiém ramieniem, a morderca jego dosiadłszy konia spiesznie plac boju opuścił. Osłoniwszy się burką, po któréj krople wody dziurkiem spadały, spinał ostrogami konia, aby z tych miejsc okropnych, które mu w myśli krwawy obraz ponawiały, co prędzéj się oddalić. Naprózno jednak usiłował ujść przed groźbą sumienia, ciągle widział przed oczyma obraz swoich zbrodni. Tak łań w gęstym lesie ugodzona ciosem myśliwca,

w zamierzchłe zapuscza się knieje, niosąc z sobą wszędzie pocisk śmiertelny, i własną krwią naznaczając ślady swojéj ucieczki.

Już nie tak często grzmiące odzywały się pioruny, już tylko niekiedy jasność błyskawicy zapalała niebieskie sklepienie, rzęsisty descz jednak nieustawał jescze. Przemiękła ziemia często usuwała się pod nogami rumaka, a ilekroć się potknął, Rycerz, jakby ze snu w czarnych swoich myślach przebudzony, to, co dopiero miał przytomne w wyobraźni, zdawał się postrzegać w ciemnościach. Nieraz cień zabitego młodzieńca stawał mu przed oczy, i groził swojemu mordercy, nieraz mu krwawą ukazując ranę, zemstę poprzysięgał srogą. Próżno chciał Rycerz tę myśl smutną oddalić, nieopuszczała go nigdy, jak cień swojego przedmiotu. Sam sobie nieraz niemęzką wyrzucał trwogę: czemuż, mówił, próżno się lękam, czyliż urojone gminu wieści mają mnie przerażać? nie on pierwszy z mojéj poległ ręki, czemuż drżę, jak liść suchy wiatrem północy owiany? nigdy jescze piekło niedoświadczyło na mnie swojéj siły, a przecie się lękam. Niebaczny nie wiedział, że to straszne piekło w sercu jego umiesczone było.

Puściwszy wolno cugle biegunowi, dozwolił mu iść w którąkolwiek stronę, bo w po-

śród takich ciemności, ani drogi, ani śladu pobytu ludzkiego rozpoznać niemożna było. Zasłonił burką oczy, aby cieknące z czapki krople na twarz mu niespadały: lecz czyliż ta prawdziwa była tego przyczyna? nie, był on wytrwały, silny i w obozach do słót i niewygód nawykły, niechciał tylko widzieć przedmiotów swéj trwogi.— Zawsze jednak stawał mu przed oczami młodzieniec, który dla tym większego udręczenia mordercy swego prowadził za rękę nadobną Helenę. Niestety, mówił zabójca, miałażby i ona tak wielkie ofiary ze wzgardą odrzucić? czyliż nie dla niéj tyle wykonałem zbrodni? czyliż nie dla niéj ręka moja we krwi się niewinnéj broczyła?

Jescze go zajmował ten obraz, gdy głos jakiś grobowy obił mu się o uszy.— Otwiéra oczy, podnosi głowę, patrzy, lecz próżno w grube zapatruje się cienie, mary tylko piekielne zdawał się postrzegać na krzakach.— Stanął, trwoga wewnętrzna poruszyła krew w jego żyłach, biło mu serce, uchwycił rękojeść pałasza, aby w każdéj chwili do obrony był gotów. Głos, co go takiéj trwogi nabawił, co chwila wyraźniejszym się stawał. Poznał nareście Rycerz, że to była pieśń jakiegoś młodzieńca, a sądząc z niektórych dosłyszanych wyrazów, była poświęconą miłości. Schował do pochew pałasz,

mówiąc, niebędzie on moim przeciwnikiem.— Lecz w krótce nowa ogarnęła go trwoga, po kilkakroć imie Heleny rozchodząc się po kniei, boleścią przejmowało mu serce. — Miałżeby to być Wisław, miałżeby powstać z grobu, aby ścigać nieustannie swego Rywala, i niedać mu i chwili wytchnienia? Nakoniec już zblizka i dosyć wyraźnie następną pieśń dosłyszał. —

Byłem ja niegdyś choży, nadobny,
Pókim cię nieznał Heleno,
Dziś do wyschłego listka podobny,
Po lasach tułam się jeno.

Wszystkom poświęcił drogiéj Helenie,
Gardziłem pracą i znojem,
Życiebym oddał za jéj spojrzenie,
Bo ona życiem jest mojém.

Ale niestety! napróżnom wzdychał,
Do tak wielkiéj szczęśliwości,
Los mnie zawistny od niéj odpychał,
Nie zaciérając miłości.

Ja dla Heleny własną krew leję,
Kiedy podobno niestała,
Mnie zostawując płonną nadzieję,
Innemu serce oddała.

Lecz sroga zemsta gniew mój zapala,
Krwią zdrajcy muszę się skropić:
Będę do śmierci szukał Rywala,
By mu miecz w piersiach utopić.

Już tedy niewątpi czarny Rycerz, że ma Wisława przed sobą, zwraca oczy i poznaje go po téj minie nadobnéj, po tym iskrzącym się wzroku. Zadrżało mu serce, dobywa miecza i woła: — Ktokolwiek jesteś, zatrzymay się; czyś człowiek, czyś duch piekielny w ludzką przyodziany postać, musisz się spotkać ze mną. — Nic na to milczące niewyrzekło widmo, i tylko stąpanie konia po wezbranéj kałuży, posępny wydawało odgłos. — Szukasz Rywala, ozwał się Rycerz powtórnie, oto masz go we mnie, ja kocham Helenę. Tu widmo posępne straszny głos wydawszy, z dobytym mieczem na Rycerza wpada, strwożonemu i zaledwo władającemu orężem mając raz ostatni zadać, gdy nagle, wstrzymawszy swój zapęd opuściło pałasz mówiąc: „nie, „to nie ty kochasz Helenę." Zimny pot wystąpił na czoło Rycerza, bo chociaż był odważny i silny, lękał się jednak nierównéj walki z duchem piekielnym, a drżący wpatrując się w niego, bojaźliwym rzekł głosem: „nie, to nie ty jesteś „Wisławem."

Rycerz, który przypadkiem był wzięty za ducha Wisława miał imie Zbigniewa. Młody, powabny czuł w sobie ślachetną dumę, i znieść niémógł, że w sercu nadobnéj Heleny drugie tylko zajął miejsce. Odważny, silny i mściwy postanowił niedać nigdy spokojnie używać sczęścia Rywalowi swojemu. Gdy jednak otworzyło się pole sławy, chciał w morderczych za Ojczyznę walkach, i we krwi mieczem swoim wylanéj znaléść, chociaż na chwilę, ochłodę miłości.

Widział drżącego przeciwnika i zdumną wzgardą spoglądał na niego, niewiedział jednak jak cięžkim ramie jego było. Silny i wytrwały Szrama nigdy jescze przed człowiekiem niezadrżał; swiéżo tylko wykonane zbrodnie zrobiły umysł jego skłonniejszym do uwierzenia w najdziksze widziadła; a wyrzut sumienia dręcząc go nieustannie i stawiając mu przed oczy obraz krwią zbroczonego Wisława, uczynił go bojaźliwym w grubych ciemnościach.

Obudwu Rycerzy był jeden cel podróży, razem przeto w dalszą udali się drogę. Jechali nic niemówiąc do siebie, milczący w ponurém zamyśleniu więcéj do marmurowych posągów, niźli do żywych ludzi podobni. Już descz zwolna ustawał, posępne rozchodziły się chmury, a jasny promień słońca złocił wierzchołki wybujałych sosien. Błękitna wypukłość niebieskiego

sklepienia, i swiéżą zielonością oddychające rośliny zdawały się witać dobroczynne słońce, które swoim powrotem miało pocieszyć strapioną naturę. A ziemia, wytrzymawszy w nocy srogą zaburzonych żywiołów walkę, świeżym przyodziała się wdziękiem, i wonném tchnieniem napawała powietrze.

PIEŚŃ II.

Przyjemnie podróż odbywać w towarzystwie z zaufanym przyjacielem. Wszystko w tedy podobać się może, wszystko zachwyca urokiem piękności. Tu się z wyniosłego pagórka przyglądają wschodzącemu słońcu, tu jeden ukazuje drugiemu wspaniały widok wodospadu, tam się przysłuchują wdzięcznym słowika śpiewom. Nie taka była podróż naszych dwóch Rycerzy, jeden zemstą, drugi zgryzotą miotany, w sercu swoje ukrywali myśli. Już słońce uszło połowę swéj drogi, już od miejsca spotkania znacznie się oddalili, a jescze z nich żaden uroczystego nieprzerwał milczenia.

Utrudzone konie potrzebowały posiłku i wychnienia, nic niemówiąc do siebie, przed najpiérwszą gospodą stanęli. Ochotny gospodarz

uwijał się, ile mógł, dla usłużenia wszystkim, chciałby się rozerwać, aby być na zawołanie każdego. Ten siana, ten piwa, ten wódki woła: ci jedzą, ci piją, ci skaczą; gwar powszechny, nasi tylko rycerze posilali się w milczeniu za stołem. — Słyszeliście, rzekł ktoś wyraźniejszym głosem, o strasznym wczorajszéj nocy przypadku. Starosta Kaniecki Gniewomir okropnie zamordowany został, a wszędzie rozesłani gońce szukają zbrodniarza. Tu różne szczegóły opowiadać zaczęto, ten mówił, że widma jakaś już dawno przed ludźmi śmierć jego zwiastowała, tamten, że zaraz po zgonie duch nieboszczyka w całym zamku wszystkie potłukł okna, i że dopóty rozliczne szkody wyrządzać będzie, dopóki morderca jego niezginie. Wszyscy zaś w ogóle z jego śmierci cieszyli się, mówiąc, że go Bóg za popełnione występki, i za pokrzywdzenie tylu niewinnych sprawiedliwie ukarał.

Z obojętnością słuchali nasi Rycerze téj rozmowy: zdawali się jéj nieuważać wcale. Wstawszy nakoniec niemówiąc do nikogo ani słowa, wyśli, konie ich po krótkiém wytchnieniu do dalszéj drogi ochoczo ryły ziemię twardémi kopyty, a pyszniąc się z ciężaru, jaki niosły, wesołém poglądały okiem. Ruszają, a lekki powiéw zachodniego wiatru kurz daleko z pod koni unosił. Już się o milę od owéj oddalili

go-

pody, gdy Zbiegniew długie i ciągłe tém słowem przerwał milczenie: Słyszałeś? „Słyszałem," odpowiedział Szrama.

Znowu ponure milczenie, gdy dopiéro po niejakim czasie ozwał się Szrama: „Znałeś Gnié„womiera? Znałem, rzekł Zbigniew, leczbym „go nigdy znać niechciał, gdyby niemiał sy„na." Znałeś tedy i zbrodnię jego, ozwał się Szrama powtórnie, ale jescze nie wszystkie zapewne a najmniéj tę, którą na mnie spełnił, lecz to ramie umiało się pomścić krzywdy swojéj. To więc ty jego zabiłeś, zawołał z podziwieniem Zbigniew. Ja, odpowiedział Szrama. Nie myślał on o tém, iżby swój czyn wyjawić, lecz jak się często zdarza, pospolicie sam zbrodniarz bywa narzędziem swéj zguby. Mimowolnie więc się wymówił, lecz to wymówiwszy, już się zapiérać nieumiał.

Wiész tedy, mówił daléj Szrama, z czyjéj Gniéwomir padł ręki, lecz niewiész jescze, co tę rękę uzbroiło przeciw niemu. Abyś zatém ze zgonu zbrodniarza o moim czynie niesądził, opowiem ci pokrótce szczegóły tego okropnego zdarzenia. Dziedzictwo moje przyległe było Starostwu, gdzie także w pobliskości mieszkał dosyć majętny ślachcic: córka jego Helena była przedmiotem mojéj miłości. Młoda, nadobna, jak pączek rozwiniętéj róży, była największego uwiel-

bienia i kochania godną. Kochałem ją, Ojciec jéj nieunosząc się pochlebną nadzieją, nie szukając bogactwa, lecz tylko sczęścia dla swéj córki, na nasz związek zezwalał. Zbliżała się pożądana chwila, któréj z niecierpliwością oczekiwałem, gdy okropny wypadek albo raczéj duma nienawistnego Starosty całą moję pomyślność zniscżyła. Niémogę tego wspomnieć bez wewnętrznego żalu i zgrozy, lecz niestety! stało się, już moje sczęście niewróci.

Syn Gniéwomira Wisław, którego postać nadobna wysmukłéj podobna była topoli, kochał także Helenę. Lubiłem ja zawsze ślachetność młodzieńca, bolały mnie jednak częste jego schadzki z Heleną. Zastałem ją płaczącą i zdawało się, że ta Nimfa tylko na rozkaz Ojca serce mi swoje oddawała. Jlekroć spotkałem ich ze sobą, mój widok przeraził dziewicę, i łzy jéj tkliwe z oczu wyciskał, a młodzieńca w tajemną niespokojność wprawiał. To wszystko kazało mi się domyślać jakiéjś zdrady, podejrzenia obudziły zawiść, a zawiść unosząc mą duszę, nieraz mi srogiéj zemsty podawała radę. Tłumiłem przecię w sercu rozognioną ranę, bo byłem pewny, że Helena będzie moją, jednak znieść tego niémogłem, aby to niewinne dziéwcze do kogo innego, oprócz mnie, wzdychało.

Ojciec Wisława sprzyjał zamiarom syna,

nie dla tego, iżby szczęście jego własnemu wyborowi oddał, lecz, że od dawna zamyślał do obszernéj swéj włości przydać posag Heleny, która będąc jedynaczką, cały po Rodzicach objąć miała spadek. Sądził, iż mu łatwo będzie przy swojéj powadze i majętności dopiąć tego zamysłu. W tym celu, ubrawszy się wspaniale, wraz z synem swoim przed dom Ojca Heleny poszóstną karetą zajechali. Przyjęto ich z uprzejmą szczerością: wszedł dumny Starosta, i przywitawszy się z Ojcem i córką, na mnie i spojrzéć nieraczył. Wrzała krew we mnie, tém bardziéj, żem już przewidywał, po co przybyli. Wisław tylko, ten ślachetny młodzieniec, co był godzien lepszego Ojca, witając się z wszystkimi, i mnie nieopuścił. To wszystko wysczególniam ci, bo było początkiem srogiéj nienawiści, która się w sercu mojém zapaliła, a im dłużéj tłumiona z tém większą gwałtownością wybuchnąć musiała, i w srogi zamienić się pożar.

Siedziałem, milcząc jak sokół, z nastrzępionėm pierzem, na suchéj gałęzi, i oczekiwałem z niecierpliwością oświadczenia chwili. Przyszła nakoniec. Pan Starosta przesiadając się na swojém krześle, jakby w tém miéjscu coś niedogodnego znajdował, wyraźną okazując niespokojność, to krząkaniem to poprawianiem pasa, zaczął nareście dumnym głosem: „Znasz, Panie

12*

„ Bracie, jak wysoko ród mój zasięga, niepotrze-
„ buję wyliczać, jakie przodkowie moi dzierżyli
„ zasczyty, bo te już nadto są znane; sąsiad mój od
„ lat kilkunastu wiedzieć musisz, jakie do rodu
„ mojego bogactwa i dostojności należą, i nietaj-
„ no ci zapewne, jak łatwo mógłbym sięgnąć
„ po owoc do najokazalszego sczepu rodu Polskie-
„ go. Lecz ja mam słuszne przyczyny, dla któ-
„ rych się zniżam. Wyrósł na polu twojem
„ kwiat (tu skazał palcem na Helenę, któréj po-
„ wabne lica niewinny rumieniec okrasił) kwiat
„ swieżo rozwinięty, pełen zewnętrznéj ozdoby
„ i miłéj wonności, który ja dla mego syna zer-
„ wać przedsięwziąłem, aby go w mój ogród
„ przesadzić."

Gniew, burzący się we mnie, już miał w ca-łéj sile wybuchnąć, czułem iż krew gwałtownie w żyłach moich biegła, gdy Ojciec Heleny łagodnémi odpowiedział słowy: że lubo zasczytemby było dla niego, z tak wysokim spokrewnić się domem, jednak jako człowiek uczciwy niemoże odwołać raz danego przyrzeczenia. I któż jest ten; przerwał dumnie Starosta, któremu Syn mój ma ustąpić? pytał się, jakby niewiedział o wszystkiém, a to tylko dla dogodzenia wyniosłości swojéj. Gdy mu powiedziano, spojrzał na mnie z pogardą, i nagle do innego przedmiotu zwróciwszy mowę, wstał w krótce,

i z Wisławem, na którego twarzy widoczny się okazywał gniew, poszóstną oddalił się karetą.

Już ich niebyło, a jescze obraz téj sceny był sercu memu przytomny, już tuman kurzu zasłonił ich przed mojémi oczyma, jam jescze w rozjątrzonym umyśle ważył wściekłość i zemstę.— Znając jego umysł gwałtowny, postanowiłem ciągle pilnować mojéj Heleny, aby jéj siłą niedostał, kiedy jego prośbie odmówiono. Zbliżał się już dzień połączenia naszego, jam był ciągle w złośliwym humorze i z posępną miną przy mojéj ulubionéj siedziałem, Helena zaś, niewiem z jakiego powodu, łzą czystą oko miała napełnione, gdy stanął przed nami goniec Starosty, prosząc nas do zamku na wieczór w dzień urodzin Wisława. Dwudziestą piérwszą wiosnę oglądał ślachetny młodzieniec, a ten dzień był przeznaczony do spełnienia najczarniejszéj zbrodni. Obudził się na nowo gniew we mnie, już chciałem odmówić, gdy Ojciec nadobnéj Heleny oświadczył, iż się stawi na rozkaz Starosty; tak i ja mimowolnie zaprosiny przyjąć musiałem, bom się obawiał, aby mi nieporwano Heleny w czasie powszechnéj zabawy.

Tu był koniec szczęścia mojego, do którego napróżno tak długo wzdychałem. Huczne gody w dniu tym były obchodzone, bawiono się wesoło, ja tylko siedząc na boku, z oka nadobnéj

niespuszczałem Heleny, któréj Starosta piérwsze względy okazywał. Starał się nawet, ile możności, uprzedzającym względem mnie łudzić, pełen uprzejméj grzeczności wynajdywał różne sposoby, aby mnie rozerwać, ale innym zajętemu przedmiotem, wszystko się zdawało podejrzliwym.— Gdy późno w noc było, usiłowałem nakłonić Ojca Heleny, aby uczyniwszy pobytem swoim zadosyć Staroście, wrócił do domu. Przystał na to poczciwy staruszek, lecz chytry Gniéwomir, więcéj jescze potrzebując czasu do wykonania swego zamiaru, potrafił go omamić tak dobrze, że zwlókł nasz odjazd aż do północy.

Noc była ciemna, sprzyjająca zbrodni, i zupełna cichość panowała w naturze. Odprowadziwszy Helenę do domu, bom jéj niepewnemu losowi i wtedy niechciał powierzyć, do mojéj powracałem wioski, która tak bliską była, iż ją z okien Heleny widzieć można było. W głębokiém zamyśleniu, ujechawszy znaczny kawał drogi, postrzegłem wieś, lecz ta niebyła moją. Minąłem więc własną, rzekłem do siebie, zwracając konia, i tak jadąc dosyć długo, stanąłem przed oknami Heleny. Cóż to? już trafić niémogę tam, gdzie tyle razy w nocy jeździłem? Wracam, błądzę w cieniach nocy, lecz napróżno szukam wsi mojéj, nigdzie jéj znaleść niémogę. Spotykam wreście człowieka, pytam, i do-

wiaduję się, że ludzie Starosty z jego rozkazu, téj nocy, uprowadziwszy ludzi i sprzęty, wszystkie zrujnowali domy.

Wyobraź sobie, jaka wściekłość zmysły moje ogarnąć musiała; przytomność mnie odbiegła, i niewiedziałem co czynić, wszystkie myśli moje zemstą oddychały; wszystko zemsty wołało. Ta potrzeba zemsty okropną stała się dla mnie męczarnią, gdy do jéj spełnienia bezsilny się widziałem. Mnóstwem sług otoczony, mego nielękał się gniéwu, i jescze z ciężkiéj naśmiéwał się niedoli. Długo stałem nieporuszony, jak kamień polowy, przemogła wreście chęć zemsty. Postanowiłem z narażeniem własnego życia zbrodniom jego kres wieczny położyć: umrzéć lub zemścić się, to było moje życzenie.

Zbliżyłem się do zamku: już w nim niebyło téj hucznéj biesiady, pogasły światła, posępna ciemność zaległa ten przybytek zabawy, gdzie niedawno liczne spełniano wiwaty, w miejscu okrzyków radości i głośnéj muzyki, grobowe panowało milczenie. Wiedziałem, w którym pokoju zwykł sypiać Starosta, pod te więc okna przyprowadziłem konia mojego, i stanąwszy mu na grzbiecie, byłem już bliskim spełnienia mego zamiaru. Na szczęście, czy to przez niedbalstwo służących, czyli téż umyślnie, okno do połowy otwarte zastałem. Widzę, rzekłem

do siebie, zemsta moja podoba się niebu, gdy mi sam los wszystkie usuwa przeszkody: to mówiąc zstąpiłem do sali, i z dobytym mieczem, do łoża się Starosty zbliżałem, już tylko jednego spusczenia miecza było potrzeba do zadania śmierci okrutnikowi, gdy nagle jego ustami moje wymówione imie, wstrzymało jescze na chwilę podniesione ramie.

Blade światło księżyca padało na twarz zbrodniarza, na któréj zgryzoty srogie wyryły znamiona. Oczy wklęsłe, twarz blada, lica zapadłe i suche, widzieć łatwo dawały, jak wyrzut sumienia stargał siły jego. Miałżem mu te przerywać ciérpienia? Nie, widok jego męczarni sprawiał mi roskosz tajemną. Widziałem, z jaką boleścią suche jego wyprężały się członki, jak się rzucał na łożu swojém, dzikie wymawiając słowa. Zemsta, krew, nienawiść, z ust jego wychodziły: zdawało się, że trwoga, zgryzota i jęki koło niego zaległy. Często wymawiane imie Szramy, przekonywało mnie, że świéżo spełniona zbrodnia ciężyła mu na sercu. Lecz, gdy nadzwyczajne poruszenia zaczęły nim miotać, w śród udręczeń sumienia ocknął się: postrzega mściciela z podniesionym mieczem, a widząc kres swojego życia, w dumie i nienawiści niepokładając więcej nadziei, do podłéj udał się pokory. Padł mi do nóg, i ten, co niedawno le-

dwie ze wzgardą na mnie raczył spoglądać, ze łzami u stóp moich litości błagał, obiecując całą wynagrodzić szkodę, i hojnie swe życie opłacić. Lecz serce moje już wtedy zamknęło przystęp litości, a widok upokorzonego zbrodniarza wściekłość moję pomnażał. W łudzącym jego uniżeniu małowała się chytrość podstępnego umysłu, niémogłem dowierzać, a najmniejsza zwłoka groziła mi zgubą.— Za całą więc odpowiédź miecz mu w piersiach utopiłem. Bijąca krew zbroczyła mi ręce i całą zalała podłogę: trup jego jęczący, i we krwi własnéj nurzający się, padł twarzą na moje kolana: pchnąwszy go nogą, jak najśpieszniéj opuściłem to miejsce, pełne okropnéj trwogi.

Dzień cały bez wytchnienia jadąc, przed wieczorem do téj, którąśmy minęli zbliżyłem się kniei. Noc burzliwa i ciemna zmusiła mnie szukać spoczynku w ubogiéj chacie poczciwego jakiegoś ślachcica. Zaledwiem ogrzał zziembłe moje ciało, przy palącym się ognisku, kiedy młody Wisław przed mojémi stanął oczyma. Ślachetny młodzieniec! chociaż niegodnego chciał się pomścić Ojca, lecz toż samo ramie, co Ojca z życia wyzuło, i jego także w piekielne wtrąciło otchłanie. — Tu Zbigniew zbrojną prawicą uderzywszy go w ramie: „zbrodniu, zawołał, tyś

„miał serce najcnotliwszego zabijać młodzieńca,
„ta dłoń za niewiną pomści się ofiarę."

Zadziwiony Szrama tak nagłym zapałem towarzysza swego, dobywszy oręż, jak piorun wpadł na Zbigniewa. Odparł on piérwszą natarczywość jego: krwawa zaczęła się walka. Każde cięcie ich mieczów równało się błyskom piorunów, jak grad padały ciężkie ciosy. Co tylko zręczność, siła, męstwo, dokazać może, wszystko z obu stron użyte. Pot strumieniami ciékł im z czoła, już silne ramiona długim zmęczone bojem, słabiéj orężem władały, a jescze żaden ani kropli krwi nieuronił. Za wzaiemną ugodą zawiesili boj na chwilę, i siedli na trawie w milczeniu. Szrama, który tylekrotnie przywalony nieszczęściem, nauczył się ludziom niewierzyć, niémógł zmrużyć oczu; Zbigniew odważny podług swego ślachetnego serca sądząc o wszystkich, po ciężkiém utrudzeniu zasnął spokojnie.

Już znaczny czas upłynął, kiedy niecierpliwy Szrama, w słodkim śnie widząc pogrążonego Zbigniewa, podniósł się i silném wstrząsnąwszy go ramieniem: wstań, zawołał, czas naszę walkę zakończyć, po niéj będziesz mógł, albo będziesz musiał dłużéj spoczywać. — Powstał Zbigniew: natarli na siebie, z obu stron równe męstwo, równa siła i zręczność, zdawało się tylko, że sen

więcéj wzmocnił Zbigniewa. Natarczywość jego podwoiła się, jednak niezmordowany Szrama tysiąc zgubnych cięć tysiąc razy odparł. Widząc męstwo przeciwnika swego, i niemogąc go pogromić, porywczy Zbigniew wściekłością się zapalił. W ślepém uniesieniu nic niewidząc przed sobą, z podnicsionym mieczem i okropnym krzykiem rzucił się na niego, i w głowę uderzył. Raz tak ciężki ogłuszył Szramę, krew czarna po twarzy mu ciekła, i chwiać się począł na swoim rumaku; ale odzyskawszy dzielność, podniósł miecz, mówiąc: mam umrzéć, niech przynajmniéj długo nieumiéram. — W tym wpadł na Zbigniewa, i już tylko w zapalczywości widząc nadzieję, tak śmiałém natarciem zdziwił Rycerza. Niedługo ta trzecia toczyła się walka. zawzięty Szrama aż po rękojeść miecz swój w piersiach Zbigniewa utopił. Padł Rycerz, a chwiejący się zwycięzca zaledwie tyle miał siły, że miecz, który tak głęboko utkwił, z trudnością wyciągnął.

Jescze kilka postąpił kroków i upadł: zaćmiły mu się oczy, odbiegła go przytomność, a w miejsce siły i dzielności zupełna nastąpiła bezwładność. Tak zwyciężony i zwycięzca, w krwi się własnéj nurzając obok siebie leżeli. Przywiązane konie czekały na powstanie swych panów, niestety! długo czekały.

Osłabiony Szrama, zwolna do sił przychodząc, z głębokiego ocknął się letargu, otwiera oczy i nic niewidzi, ciemność posępna wszędzie. Maca do koła, i tylko miecz swój znajduje. Słyszy nareście jakieś stąpanie i szelest mu nieznany. Gdzież jestem, mówił do siebie, jestli to miejsce ostatniego boju, czy też piekielna kraina? do żywychże ja jescze czy do umarłych należę? Jakoż bardziéj do trupa podobny, skłonniejszym był uwierzyć, iż się pod ziemią znayduje. Lecz stąpanie trawę gryzącego konia wyprowadziło go z błędu; blady księżyc na chwilę z chmur się wydobywszy, oświécił pobliskie przedmioty. Podniósł się Szrama, jescze mu dokuczał srogi ból z odniesionéj rany, która przecież niebyła szkodliwą. Obwiązawszy głowę, wsiadł na konia i odjechał, zostawiwszy martwe zwłoki towarzysza swego.

(Dokończenie w następującym numerze).

NAUKA STARCA,

z Niemieckiego Fojgta (Voigt).

O Synu! chceszli, ażeby wnuki,
Twoję siwiznę uczciły,
Zachowaj szczére starca nauki,
Z całego serca i siły!
Już się nad cichą mogiłę schyla,
Posłuszny Bóstwa skinieniu;
Ale ten pokój, co go zasila,
W mdłem jego żyje spojrzeniu.

* * *

Prawda nad grobem, wierz mi starcowi!
Złudzenie stamtąd ulata;
Tam więcéj przesąd błędu niewmówi;
Tam gasną żądze od świata.
Tam złoto blaski mamiące traci;
Ani dostojność rozkwita,
Gdy cię drżącego w groźnéj postaci,
Wysłaniec śmierci powita.

* * *

Dobro ludzkości samo jedynie,
Weźmiesz do cieni schronienia,
To ci osłodzi w tęsknéj godzinie!
Późnego wieku cierpienia.

Kto nad znikomość wznieść się nielęka,
W czyste sumienie bogaty,
Na tego urnę potomków ręka,
Wdzięczności posypie kwiaty.

* * *

Kto się niewstydzi, w obliczu nieba,
Ubogich karmić się łzami;
Kto potrzebnemu odmówi chleba,
Zarobionego z trudami,
Kto szydzi z prośby biédnéj prostoty,
I wzgardą budzi w niéj jęki,
Kto śmiał bezczelnie skrzywdzić siéroty,
Zamiast podania im ręki.

* * *

Kogo niewzruszy nędzy ciérpienie,
Że bez pomocy umiéra,
Kto niewinności, choć kwitnie mienie,
Radą, nauką uiewspiéra;
Ten skoro zniknie, okrzyk radosny,
Że go już niéma, powstanie,
Potomek, widząc grób jego sprosny,
Zgrozą przejęty zostanie.

* * *

Przeto, o Synu! chceszli, by wnuki
Siwiznę twoję uczciły,
Zachowaj szczére starca nauki,
Z całego serca i siły!

Pełnij powinność, w pracy ochoczy,
Tam nawet, gdzie są jéj ciérnie,
I ciesz się, kiedy zgon cię zaskoczy,
Żeś zawsze cnoty strzegł wiernie.

* * *

Pamiętaj, Synu, pamiętaj przytém,
Że pamięć wieków niemarną,
I że się staje żniwem obfitém,
To, co potomnym dasz ziarno.
Choć żaden marmur na twoim grobie,
Niestanie złotem pisany,
Piękny zostawisz pomnik po sobie,
Owoc tak chlubnie zasiany!

NICOWANA ENEIDA.

Wesoła zaiste wyobraźnia podała Blumauerowi myśl przenicowania Jlijady i Eneidy w suknię śmiészności. Niech ociężały klasyk ubolewa nad mniemaném poniżeniem tych dzieł nieśmiertelnych; my śmiéjmy się z zabawnym Blumauerem, a szanując wielkość Homera i Wirgilego, tam, gdzie powaga tego wymaga, podzi-

wiajmy ich wielkie opisy i zdania. Wszakże to niewinna uciecha, jeśli się roześmieimy po pracy. Do tych zaś dzieł nieśmiértelnych zastósujmy słowa Sokratesa wyrzeczone w teatrze, gdy Arystofanes w komedyi *Chmury*, naśmiéwał się z tego wielkiego człowieka: „Mocno „mnie to cieszy, że ubawić mogę Ateńczyków."

Dla rozerwania Czytelników naszych, będziemy im podawali niektóre wyjątki, naśladowane z tego dowcipnego przenicowania, unikając takich skwapliwie, w których jest nieco wolniejszy.

POCZĄTEK
NICOWANÉJ ENEIDY.

Był to raz bohatyr wielki,
Imie mu Eneasz było,
Z Troi swe zabrał manelki,
Kiedy się miasto spaliło:
Uwiózł rupiecie i graty,
Ale uciérpiał za katy,
Od wysuszonéj jak sczépy,
Gniéwnej Jowisza Ksantypy.

Ten,

Ten, co pasł kozy na Jdzie,
Jabłko jéj niegdyś odsądził,
I dał je pięknéj Cyprydzią;
Ganimed także jéj zbłądził,
A Enéj zrobił szaleństwo,
Że wszedł z nimi w pokrewieństwo,
(Jak mamy w Wirgila pieniu)
O duduk! — przy urodzeniu:

* *
*

Nim przeto zobaczył Włochy,
Diabelnie musiał się pocić;
Wiatry mu robiły łochy,
W Afryce musiał się kłócić,
I bić jak kogut z miłością,
Co mu stała w gardle kością.
Słowem, porządnie się spławił,
Nim jatki Rzymskie wystawił.

* *
*

Ledwie go Juno dojrzała:
„A tuś mi, rzecze, tuś, frycu!
„Skocznego będę ci grała,
„Nauczę ja cię, ślachcicu!
„Co może taka niewiasta,
„Co jak ja swego brodacza,
„Kiedy chce za nos zahacza,
„*Parbleu!* — *sic volo* i basta."

* *
*

Leci więc Babus iak kula,
W złotéj dryndulce do kraju,
Gdzie wszystko słucha dziadula;
Bo władza jego w nahaju.

Eol bałamut był stary,
Worka doglądał z wiatrami,
I często palił ofiary,
Komu? domyślcie się sami.—

* * *

Na to bogini, z psią minką
Głascze mu brodę i mówi:
„ Przybyłam z świeżą nowinką,
„ Enejcio płynie! chłystkowi,
„ Jak chcesz naburcz, nałaj grzmotem,
„ Trojanie wszyscy niepotém.
„ Niechciéj się przeto wstrzymywać,
„ I dudków naucz mi pływać.

* * *

Zrób dzisiaj maleńką burze,
Comme vous m'aimez, mon chèr bobo;
Niech dudni w całéj naturze,
Zjemy kiedy byfsztyk z sobą.
Pomąć morze, naród żuru,
Tylko tęgo: hru, bru, ru, ru!
Niech pioruny dudnią wszędzie,
A mój stary błyskać będzie.

* * *

Aj! co tam huku strasznego,
Kiedy sypnął z worka dmuchy;
Niebędzie do dnia sądnego
Pewnie takiej zawieruchy!
Jedne chmury zgromadzają,
Inne wiatry solo grają.—
Tamte, nad brzegiem, na brzuchu,
Dmą i mącą fale w ruchu.—

Woda się jak w kotle warzy,
Skaczą po wałach okręty.
Łby trzeszczą biédnych żeglarzy;
Wielu męztwo przeszło w pięty,
A inni klną, jak poganie.
Enej także łaje burze,
Kryje nos w swojéj wilczurze,
Krzycząc: precz morski bałwanie!

* * *

Rzecz jedna wszystko zatruła,
Już pękły drągi i liny,
Jescze niebieska kopuła,
Czarna jak wewnątrz kominy:
Eol w téj smutnéj potrzebie,
Światło pogasił na niebie,
Komu zęby ognia dały,
Drapnął w kąt, siedzi nieśmiały.

* * *

Burze silniejsze powstają,
Drżą biédne ziemi bieguny,
W kawałki firmament krają,
Jakieś niegrzeczne pioruny,
A grzmot stary burczymucha,
Mruczy, jakby miał ból brzucha,
Już to dyskantem, już basem,
Wiatr mu sekunduje czasem.

* * *

Koło Eneasza krucho,
Drży jak na pniu nędzny żaczek;
Lecz mu dzwoni prawe ucho:
„Czemużem zabrał tłumaczek?

13*

„ Czemu Grecki frajkur jaki
„ Niezabił mnie; teraz chyba
„ W brzuchu Pana wieloryba
„ Trzeba z głodu lizać flaki!"

* * *

„ Gdyby z tobą Sarpedonie
„ Zsiekał mnie był drab na ćwierci,
„ Po tak nieżenownym zgonie
„ Jużbym się niekłaniał śmierci!"
Gdy się tak rzuca i baje,
A nawę bałwany wzniosą,
Potajemnie ślub wyznaie,
Że pójdzie na wender boso.—

* * *

Ale i inne okręty
Miały się bardzo mizernie,
Wiatr je powpychał w odmęty,
I nakiwał im niezmiernie.
Tamten biédny stracił zad,
Temu się w pół złamał dziób,
Że ocalał jescze rad,
Inny przy nim w morze kłup!

* * *

Wiele się o skały trzaska,
Wielu, pędząc z wysokości,
(I to jescze wielka łaska)
Wicher pogruchotał kości.
Po tak strasznéj nawałnicy,
Ten się ratuje, ten ginie,
Tam pantofel przy szlafmycy
Na spienionych falach płynie.

POWINSZOWANIE IMIENIN ANDRZEJ: TRZCIŃSKIEMU, PROFESOROWI MATEMATYKI.

Od Klasy V. Szkół Wojewódzkich Płockich.

Od Uczniów w Imienin porze,
Za prace, trudy rozliczne,
Przyjm, Szanowny Profesorze!
Życzenia matematyczne.

Miarą roztwartego kąta,
Niech Ci sczęścia róg obfity
Roni pociechę..... zasczyty,
Z drogi życia, ciernie sprząta.—

Zamiarów pomyślne skutki,
W Cnotach miéj życia osłody;
Zę znakiem odjemnym smutki.....
Z znakiem dodajnym dochody!

Ale w obliczu światła, blask bogactw jest niemy,
Zbiór mamony sczęścia nieda;
Większéj roskoszy życzemy,
Sławy Mistrza Archimeda.

B A J K A

SROKA.

W Gdańsku, czy koło Gdańska,
Sroczka jedna gadatliwa,
Wielomowna, jak to bywa,
Poznawszy, co mina pańska,
Kiedy zaczęła być w modzie,
Zapomniała o swym rodzie;
I tyle w swoje dufała zasługi,
Że się nawet liczyła pomiędzy papugi.
Zadarłszy do góry główki,
Wszystkich bez różnicy łaje,
Niezgrabne przytyki daje,
I sadzi się na przymówki.
A gdy inną sroczkę zoczy,
Która nie tyle szczebioce;
Zaraz w klatce z dumą kroczy:
Takie to głupstwa owoce!
Z początku bawiła gości;
Ale gdy Państwo dostrzegli próżności,
Że sobie z niższych żartowała stanów,
A poźniéj nawet i z panów;
Wkrótce wydano rozkazy,
Aby za szpetne wyrazy,
Których się głupia sroczka pouczyła,
Odtąd w przedpokoju była.
Tak ta, co dawniéj bawiła pany,
Doznała smutnéj odmiany,

I zwykłym losu obrotem,
Lokaje sobie drwili z niéj potém.
Lecz nie tu koniec niedoli:
Chłopek przyszedł do lokai,
Biédna w kąciku się tai,
I to ją serdecznie boli,
Że ten, którego dawniéj podrzeźniała mowie,
Wyśmiała postać, i grube odzienie,
Dziś widzi jéj poniżenie.
Zoczył ją chłopek i mówi: „ Panowie!
„ A czemu ta imościanka,
„ Nie w Jegomości komnacie? ”
Rozśmiał się na to jeden, i rzecze: „ Mój bracie!
„ Kto z innych szydzi i udaje panka,
„ I kto się z niższych naśmiéwa,
„ Kogo z niskości wyniósł ślepy los,
„ A już na innych pański ściąga nos,
„ Taki, jak nasza sroczka koniec miéwa. ”
Aha! kiwnął chłop na to: dobrze ci tak sroczko,
Pocoś tak dumnie przymrużała oczko,
Pocóś była taka harda;
Słusznie cię potkała wzgarda.

WIDZIAŁEM.....

Widziałem, jako fijołek,
Wśród tysiąca innych ziółek,
Skromny z swéj barwy i woni,
Starannie w trawce się chroni.

Widziałem jako malina,
Gdzie gęstwina, gdzie krzewina,
O purpurę swą lękliwa,
Troskliwie owoc ukrywa.

Widziałem dziwem przejęty,
Jako się chroniąc z skarbami,
Ziemia, okryta krzakami,
Kryje złoto z dyjamenty.

Widziałem, jak mąż wspaniały,
Mąż dobroczynny, wzór cnoty,
Wspiérał niesczęsne siéroty,
Nieszukając z tego chwały.

Lecz niewidziałem poety,
Mimo życzenia najsczersze,
Coby skleiwszy dwa wiérsze,
Nieszukał z tego zalety.—

NIEKTÓRE ZDARZENIA Z ŻYCIA
SALADYNA
SUŁTANA EGIPTU,
który panował około roku 1180. *po Narodzeniu J. Chrystusa.*

Pewien kupiec Omar był tak śmiały, że zaskarżył tego Monarchę przed Kadym w Jerozolimie, jakoby Sułtan zabrał mu niewolnika. Zdumiony Sędzia doniósł o tém Sułtanowi, i pytał się, jakby sobie miał postąpić? — Jak sprawiedliwość każe, odpowiedział Saladyn.

Stanął sam w dniu naznaczonym, bronił osobiście swojéj sprawy, wygrał ją, i zamiast ukarania śmiałości kupca, podarował mu znaczną ilość pieniędzy.

Często poddani jego nadużywali téj wielkiéj dobroci. Raz, kiedy przez całe rano pracował ze swoimi Emirami, i chciał się wymknąć z domu, dla odetchnienia, stanął nagle przed nim niewolnik i żądał posłuchania. Sułtan kazał mu przyjść nazajutrz. Lecz niewolnik rzekł: moja sprawa niecierpi zwłoki! i podał mu natarczywie prośbę. Bez gniewu przyjął Saladyn ów

papiér, przeczytał i uznał słuszność jego żądania. Potém obróciwszy się do otaczających go osób, zdumionych tak wielką dobrocią, rzekł te słowa pamiętne: Ten człowiek nieobraził mnie wcale, postąpiłem sobie, jak sprawiedliwość kazała, i dopełniłem mojéj powinności.

W tym samym czasie, gdy był mocno zagniéwany na Franków, z powodu okrucieństwa Ryszarda Lwie serce, który wszystkim jeńcom Saraceńskim głowy kazał ucinać, przyprowadzono mu Chrześcijańskiego oficera, drżącego z bojaźni. Saladyn zapytał się go: czemuby się lękał? Drżałem, była jego odpowiédź, gdym się zbliżał do Waszéj osoby, ale mnie bojaźń opuściła, gdym Was zobaczył; Monarcha którego powiérzchowność oznacza tylko dobroć i chęć dobrze czynienia, niémoże być tak okrutny, aby mnie na śmierć skazał. Sułtan uśmiéchnął się, i darował mu życie i wolność.

Inną razą dzieci Saladyna prosiły go o pozwolenie ucięcia głowy kilku Chrześcijańskim jeńcom. Saladyn odpowiedział: Broń Boże! abym przystał kiedy na tak dzikie okrucieństwo. Niechcę, aby moje dzieci przyzwyczajały się robić sobie igraszkę z przeléwu krwi ludzkiéj, któréj wartości nieznają.

Gdy w roku 1181. Jerozolima z tym warunkiem jemu się poddała, że wszyscy mieszkańcy

okup zapłacą, że niebędący w stanie, jako niewolnicy pozostaną, a żaden z nich dobytku swego niezabierze, Saladyn na prośbę brata swojego uwolnił tysiąc ubogich i drugi tysiąc na prośbę Baleara, potém rzekł: Wy oba jużeście rozdali jałmużnę, słuszna jest, abym ja to samo zrobił. Idźcie i ogłoście, że wszystkim ubogim wolność daję, i odejść im pozwalam. Wreście nadszedł dzień, w którym Chrześcijanie Jerozolimę opuścić musieli. Zamknięto wszystkie bramy, oprócz jednéj, przez którą mieli wychodzić. Saladyn kazał im przeciągnąć przed swoim tronem, nie dla upokorzenia, lecz, aby ich zabezpieczyć i porządek utrzymać. Naprzód pokazał się Heraklijusz Patryjarcha, z całym Duchowieństwem. Niósł złote świeczniki, święte naczynia i skarby grobu Sgo.— Saraceni chcieli te bogactwa zatrzymać, lecz Sułtan przysądził je Patryjarsze. Potém szli Baronowie, Rycerze, znakomici Obywatele, po nich Król, a nakoniec wielkie mnóstwo kobiét, które z rozpaczą wyciągały ręce ku Sułtanowi, a pokazując mu swoje dzieci rzewnie płakały. Sułtan kazał się ich zapytać o przyczynę smutku. Straciłyśmy wszystko, odpowiedziały, straciłyśmy domy, majątki i naszę ojczyznę, idziemy bez pomocy i nadziei do obcego kraju; ale ty Panie! możesz ulżyć nasze cierpienia, jeżeli nam oddasz łaska-

wie naszych Mężów, naszych Ojców i naszych uwięzionych Synów, któryby nas prowadzili, wspiérali i bronili. Sułtan dopełnił ich prośby, zrobił jescze więcéj. Obsypał te niewiasty podarunkami. Ci, którzy Rodziców w wojnie utracili, w jego sczodrobliwości znaleźli pociechę. Kto się mu pokazał, otrzymał żywność i piéniądze, wydał na niescześliwych miészkańców większe sumy, niżeli od nich odebrał. Słowem zdumiona Europa dziwiła się w Muzułmanie cnotom, którymiby mogli byli pochlubić się i Chrześcijanie nawet owego wieku.

Odprowadzono Franków pod mocną strażą do kraju Boemunda, syna Książęcia Antyjochii, który został Grafem Trypolitańskim, po śmierci Rajmunda. Niesczęśliwi spodziéwali się, że tam znajdą litościwe serca, a znaleźli potwory. Zamknięto przed nimi bramy miasta, odpędzono ich, i ścigano z bronią w ręku, zabrano im to wszystko, co im Saraceni dali. Do tego stopnia posunięto nieludzkość, że im suknie zdziérano, nieszanując ani płci, ani wieku. Jedna niewiasta, któréj zabrano żywność dla dziecięcia potrzebną, rzuciła je w morze, przeklinając Boemunda i jego poddanych.

Z TRAJEDYI SOFOKLESA:

FILOKTETES.

Objaśnienie.

Laharp naśladował Trajedyją tego nazwiska. Jakkolwiek to naśladowanie jest wzorowe, chcąc jednak Czytelnikom dać poznać piękność Greckiego oryginału, poważyłem się z niego wyczerpnąć ten przekład. Wziąłem najpiękniejszą scenę, w której niescześliwy Filoktetes naprzód dopytuje się przybywających na wyspę Lemnos o ich ród i Ojczyznę; potém dowiedziawszy się, że są Grekami, opowiada im swoje niesczęścia; a gdy Pyrrus, będący w zmowie z Ulisesem udaje, że na Greków zagniéwany opuścił ich obóz i płynie do Ojczyzny; w tenczas Filoktetes zaklina go, aby się nad nim zlitował, i po tylu latach niesczęścia zabrał go z sobą.

Ach! skąd zawinęliście z nawami waszémi,
Do tych brzegów skalistych, do bezludnéj ziemi?
Jaką waszę Ojczyznę, jaki ród wymienię?
Widzę to Greckie, dla mnie najmilsze odzienie,
Pragnę usłyszéć mowę. Postać moja dzika,
Niechaj was przyjaciele trwogą nie przenika,

Jestem nędzarz niesczęsny, nędzarz opusczony,
Samotny, bez przyjaciół, bez wszelkiej obrony:
Jeżeli was porusza smutne moje życie,
Jeżeli na tę ziemię pokój przynosicie,
Zlitujcie się i mówcie. Byłoby niegodnie,
Gdybyście mnie zwodzili, lub ja was, przychodnie.

Filoktetes opowiada Pyrrussowi swoje niesczęścia.

O mój Synu, o drogie Achillesa plemie,
Ja ten jestem, o którym wieść przebiega ziemię,
Żem się stał właścicielem broni po Alcydzie,
Filoktet syn Peanta. O hańbo! o wstydzie!
Tego Ulis, Atrydy tego dokazały!
Że dziś mojém schronieniem te odludne skały.
Tu, tu mnie opusczono, gdym z bólu umiérał,
I gdy mnie strasznéj Hydry zgubny jad pożérał;
W męczarniach tu mnie oni rzucili nikczemnie,
Kiedy płynąc do Chryzy stanęli przy Lemnie.
Snem złożony po długiém na morzu strudzeniu,
W groty pobliskiéj brzegu zasypiałem cieniu.
Odjechali mnie zdrajcy; podarte odzienia,
Zostawiwszy nędznemu, z trochą pożywienia.
Oby na nich te męki dopuściły Bogi!
Osądź, jakiéj doznałem rozpaczy i trwogi,
Przebudziwszy się ze snu, w téj okropnéj porze,
Gdy ich nawy uniosły na dalekie morze?
Ilem wylał wśród przekleńst łez rzewnych strumieni,
Widząc i moje żagle na morskiéj przestrzeni?
A na okropnéj wyspie niebyło nikogo,
Coby cieszył i w bólach niósł mi pomoc błogą.
Kiedym się w téj samotnéj rozpatrzył krainie,
Wszędzie smutek i rozpacz znalazłem jedynie!

W takich nieszczęściach doba płynęła po dobie,
A jam wszystkiego w znoju sam dostarczał sobie.
Aby się niestać w krótce srogiéj śmierci pastwą
Témi pociski łotne dosięgałem ptastwo.
Ale, gdy strzały moje dla mnie co ubiły,
Jakżem natężać musiał wycieńczone siły,
Jak włéc tę nogę ranną po skałach, ze drżeniem;
A gdy mi brak napoju dokuczał pragnieniem,
Lód, który się tu ścina z mroźniejszego nieba,
Topić i wnędzny napój zmieniać było trzeba.
A po gałązki ileż czołgałem się razy,
By wzniecić ogień, kiedy trąc głazy o głazy,
Zaledwiem uskutecznił iskry wydobycie,
Co mi dotąd niesczęsne zachowała życie.
Tak z ogniem wszystko miałem, ale nic niebyło,
Coby okropnéj rany bóle złagodziło,
A teraz poznaj, Synu, te odludne skały;
Nigdy się do nich nawy przybliżać nieśmiały.
Ani tu port bezpieczny, ani dla żeglarzy,
Jaka nadzieja zysku, ani się im zdarzy
Mieć gościnny spoczynek. O! Neoptolemie,
Ich nawy nie tę pustą odwiédzają ziemię.
Gdy przed burzą do tego schronili się brzegu;
Jak to nieraz bywało w długim lat obiegu,
Wsłowach się użalili, czasem pożywienie,
A czasem nędzne jakie podali odzienie.
Ale żaden z nich, ilem zachował w pamięci,
Zabrać mnie do Ojczyzny nieokazał chęci.
Synu! już to lat dziesięć, jak od owéj doby
Ciérpię nieznośne męki piekielnéj choroby.
Oto Atrydów, oto Ulisesa dzieło:
Oby słuszną odpłatę Niebo im wytchnęło!

Filoktetes zaklina Pyrrusa, aby go zabrał ze sobą i powrócił Ojczyźnie.

Na Ojca, na pamiątkę Matki tobie drogą,
Na związki, co w Ojczyznie miłe ci być mogą,
Zaklinam cię, o Synu, zaklinam ze łzami,
Nieopuść mnie pomiędzy téj wyspy skałami,
Niech nędza, któréj obraz wiernie opisałem,
Niebędzie mym okropnym powtórnie udziałem.
Zabierz mnie na swą nawę. Znane mi przeszkody,
Ale ty się niezrażaj, daj męztwa dowody.
Ślachetny umysł tylko podłością się brzydzi,
A w ratowaniu ludzi wielkość chwały widzi.
Jeżeli mnie porzucisz, czeka cię ohyda;
Jeźli Ojczyźnie wrócisz, nieśmiertelność przyda
Nowy blask do nabytéj y dzieł wojennych sławy.
Nietrzeba dnia jednego do takiéj przeprawy.
Odważ się, rzuć mnie, Synu, gdzie chcesz, w twoje łodzie,
(Byleś mnie tylko zabrał) w tyle, czy na przodzie,
Czy w miejsce steku, mniejsza! lecz tam, gdzie twych ludzi,
Jęk i choroba moja jak najmniéj utrudzi.
Daj mi słowo; na Bogów zaklinam cię Pana;
Bez sił nędzny kaleka ściskam twe kolana.
Nieopuść mnie samego, bez żadnéj nadziei,
Ocal i weź ze sobą, lub do Eubei,
Lub do własnéj Ojczyzny; stamtąd niedaleka
I góra Trachinija i Sperchijus rzéka.
Podróż niebędzie długą aż do góry Ety,
Wróć mnie Ojcu.... lecz może nieżyje niestety!
Dawno się z nim rozstałem: o smutne wspomnienie,
Może go Erebowe otoczyły cienie!

Czę-

Często, gdy jaki okręt rzucił tu kotwicę,
Łzami rozpaczy mając nabrzmiałe zrenice,
Przezeń go na szanowną błagałem siwiznę,
Bym raz jescze przed zgonem mógł widzieć Ojczyznę.
Lecz albo już jest w grobie, lub nikczemni ludzie,
Śmiejąc się w sercu ze mnie, przyrzekli w obłudzie,
Że będą zaklinali Ojca, a z powrotem,
Mało ważąc nędzarza, zapomnieli o tém.
Bądź teraz mym wybawcą, niezawiedź méj wiary,
Nieopuść opłakanéj nieszczęścia ofiary,
Śmiertelnicy niewiemy, co nas kiedy czeka;
Dziś wielkość, jutro nędza podziałem człowieka.
Kto od ciérpień daleki, niech się ich spodziéwa;
W szczęściu oględną baczność niechaj zawsze miéwa.
Bo kiedy mu z radością wesele zakwita,
Może pod jego stopą jest przepaść ukryta.

Filoktetes oświadcza wdzięczność Pyrrusowi, gdy ten przyrzekł zabrać go ze sobą.

O dniu najmilszy, o drogi młodzianie,
Kochani ludzie, jakże będę w stanie
Wam się wywdzięczyć za tyle dobroci!
Ale nim przyszłość męki moje skróci,
Pojdź, pojdź, o Synu, i pożegnaj ze mną,
Jaskinię moję samotną i ciemną,
Poznasz, com ciérpiał na téj dzikiéj skale,
Jak tyle nieszczęść ponosiłem stale.
Ach! méj niedoli strwożony widokiem,
Każdyby na nię patrzał zgrozy okiem;
A mnie do tego ciérpienie wprawiło,
Że mi i nędza zdawała się miłą.

WEZBRANIE WISŁY.
Ballada.

Jasnym promieniem ranna jutrzenka,
Złociła ciche Bielany,
Gdy z klasztornego ujrzał okienka,
Szumiącej Wisły bałwany
Kapłan szanowny skromnością cnoty:
Włos jego zdobi siwizna,
Dobrym go Pawłem zwały sieroty,
Zesłańcem Nieba Ojczyzna.
„ Dziś obchodzimy Jakóba święto,
„ Który męczeńskim przykładem,
„ I śmiercią w sprawie Boga podjętą,
„ Za swoim wzywa nas śladem.
„ Kiedy go tyran wskazał na męki,
„ Odważnie udał się na nie,
„ Stałością duszy zatłumił jęki,
„ Tryjumfem wiary zrobił skonanie.
„ Bo gdy zagrożon strasznym rozkazem,
„ Kat byłby ciosy wymierzył,
„ Nagle w Chrystusa uwierzył,
„ I na śmierć idzie z nim razem. ”
Tak dumał kapłan; fale spienione
Biły gwałtownie o brzegi;
Zalała woda łąki zielone,
Lądy wściekłémi rwie biegi.
Z szelestem pędzą Wandalu tonie,
Jak wiatr świszczący po borze,
I słychać jescze w dalekiej stronie,
Jak szumi, szumi to morze.

Cóż to za statek z góry tu płynie?
Na ludzi kapłan zawoła,
To coś niezwykłe na téj głębinie,
Poznać, co płynie, kto zdoła?

W tém krzyknie Feliks klasztoru sługa,
To domek, Ojcze, to domek,
Tam jedna ściana, patrzcie! tam druga,
A tam na dachu ułomek.

Z szelestem pędzą Wandalu tonie,
Jak wiatr świszczący po borze,
I słychać jescze w dalekiéj stronie,
Jak szumi, szumi to morze.

Kto uratuje całą rodzinę,
Kto Matkę, Ojca, kto dzieci?
Może juz górną widzą krainę,
Gdzie słońce życia im świéci.

Lecz jak na głębie w nietrwałéj łodzi,
Jak się tu puścić bez trwogi,
Jak dom zahaczyć w nurtach powodzi,
I kto iest śmiały do drogi?

Na takie myśli wszyscy truchleją:
Wtém Pawła Niebo natchnęło
Świętą zbawienia nędznych nadzieją:
„To cnoty, rzecze jest dzieło.

„Pokażcie teraz, kochane dziatki,
„Dowód miłości bliźnego,
„Daléj do wioseł! dalej na statki!
„Odważnych Nieba niech strzegą."

Te słowa, jakby odgłos Anioła,
Serca przytomnych zapalą,
Któż ten ich pośpiech opisać zdoła,
I jak mocują się z falą.

Czegóż niezrobi cnota prawdziwa,
Pod lichém nawet odzieniem!
Śmiało do wioseł kilku się zrywa,
Jakby zagrzanych natchnieniem.

A Ojciec Paweł znak święty krzyża,
Z błogosławieństwem im daje,
Jedna i druga leci łodź chyża,
I brózda piany powstaje.

Jak lotne strzały wodną głębiną
Śmiało szybują dwie łodzie,
Zawsze w tę stroną płyną a płyną,
Gdzie domek chybie się w wodzie.

Już siłą wioseł daleko pchnięci,
Na niego liny rzucają,
W tém wir szumiący na bok ich skręci,
Ledwie się łódki trzymają.

Ale gdy cnotę krzepi odwaga,
Niebo łaskawe ją wspiera,
Z jego natchnienia moc się w nich wzmaga,
Wytrwałość poklask odbiera.—

Dom zahaczony mimo fal biegu,
Przez liny i przez bosaki,
Co tchu, co siły ciągną do brzegu
Cnotliwe, śmiałe wieśniaki.

Inni na pomoc wsiedli w czółenko,
Inni wpław śpieszą z zapałem,
Lecz nikt niewyjrzy nikt przez okienko;
Może śmierć nędznych udziałem.

W tém woła Paweł: „Wnijdzcie do chatki".
Wchodzą i widzą omdlałą,
Widzą wybladłą Matkę i dziatki,
Czworo ich Niebo jéj dało.

Straszna ich powódź napadła w nocy,
Kiedy sen osiadł powieki,
Nikt ich niezbudził, niedał pomocy,
Dom porwał wzdęty nurt rzeki.

Ratuj nas Boże! woła wpół żywa,
Gdy się na wodach zobaczy:
Dziatki do siebie tuli, okrywa,
Modli się, wolna rozpaczy.

I tak spokojnie myśli o zgonie,
I Niebu siebie oddaje;
Nim ją okropna przepaść pochłonie,
Tam gdzie wieczności są kraje.

Lecz Bóg, co tkliwe modły przyjmuje,
Smutnym widokiem wzruszony,
Dłonią wybawców nędzną ratuje,
Gdy niewidziała obrony.

UMIÊRAJĄCY DŁUŻNIK,

z Langbajna.

Ubogi leżał w okropnéj malignie,
I czekał rychło kosę śmierć na niego dzwignie.
W tem staje mu przed oczy, ze złości zaciekła,
Rozindyczona figura,
Brzydsza od wysłańca z piekła;
Był to wierzyciel Drzyskóra.

Jakby miał porwać biédnego duszę,
Wyciągnął ręce jak szpony,
I całém gardłem krzyknął zapérzony:
Zapłać, ja moje pieniądze mieć muszę!
Chory westchnął i zbladły cichym głosem rzecze:
„Pozwólże mi spokojnie umiérać, człowiecze!"
Natychmiast zapłać, do sczętu,
Woła na stygnącego wierzyciel Biédosza,
Niedam ci umrzéć, jeśli mi do grosza
Niewypłacisz natychmiast długu i procentu.

ŚPIÉW

DO PRZYIAŹNI,

naśladowany z Niemieckiego.

Wesoła błoga dawczyni!
Ty co niszczysz umartwienia,
Zstąp do nas z górnéj świątyni,
I wysłuchaj nasze pienia;
Tu, gdzie się wylać potrzeba,
Spraw, niech zdrój uciechy bieży,
O przyjaźni, Córo Nieba!
Przybądź w różanéj odzieży.

CHÓR.

Tu, gdzie się wylać potrzeba,
O Przyjaźni, Córo Nieba!
Niech nam zdrój wesela bieży.

* * *

Poczciwość, szczerość i cnota
Dopełnia radości miary,
Roskosz wieńczy, a ochota
Podaje szumne puhary:
Zazdrość tu niéma siedliska,
Gdzie pokój obrał mieszkanie,
Wiara dłonie bratnie ściska,
Uścisk za nagrodę stanie.

CHÓR.

Zazdrość tu niéma siedliska,
Wiara tylko poklask zyska,
Przyjaźń za nagrodę stanie.

* * *

Gdy błogo przepędził życie,
Wczesnego ziarna dojrzały,
Widzi owoc w tym pobycie
Zacny starzec w cnocie stały.
Późnych lat ulża ciężkości
Pięknych uczynków wspomnienie,
A nawet burza zazdrości
Milczy na jego spojrzenie.

CHÓR.

Ten, co błogo pędzi życie,
Starzec widzi w tym pobycie
Wczesnych ziarn owoc dojrzały.

Prawda, siła, stałość świetna
Ożywia serce mężczyzny,
Wre w nim zawsze krew ślachetna,
Gdy go wzywa głos Ojczyzny.
Chociż Mars nieszczędzi grotów,
Za nię się chętnie potyka,
I za nię śmierć ponieść gotów,
Od pocisków przeciwnika.

CHÓR.

Wre w nim zawsze krew ślachetna,
I choć Mars nieszczędzi grotów,
Za Ojczyznę polédz gotów.

* * *

Niewiasty najwyższa chwała,
Gdy jéj serce litość wzruszy,
Gdy dobrocią serce pała,
Gdy wspiéra w cichości duszy.
Jeśli wzmianka niewinności
Wstydem nieokryje czoła;
Wtedy w niéj pokój zagości,
I nic go zmienić niezdoła.

CHÓR.

Niewiasty najwyższa chwała,
Gdy dobrocią serce pała,
Gdy wspiéra w cichości duszy.

* * *

Wesela błoga dawczyni!
Ty, co niszczysz umartwienia,
Zstąp do nas z górnéj świątyni,
I wysłuchaj nasze pienia.

Tu, gdzie się wylać potrzeba
Spraw niech zdrój uciechy bieży,
O Przyjaźni, Córo Nieba!
Przybądź w różanéj odzieży.

CHÓR.

Tu, gdzie się wylać potrzeba,
O Przyiaźni, Córo Nieba!
Niech nam zdrój wesela bieży.

PODRÓŻNY MĘDREK,

z Langbajna.

Podróżny, chcąc okazać, że nauk świadomy,
By uwielbiano jego zalety,
W pewnym zbiorze oglądał rozliczne dzieł tomy,
Lecz tylko patrzał na grzbiety.
W tém, kiedy na bok spoziéra,
Z najżywszém krzyknie zdumieniem:
Ach! *Ciceronis Opera!*
To dla mnie nowém zjawieniem:
To mi jenijusz doskonały!
To mi wyskok Rzymskiéj chwały!
Do jakiéj on pisarstwa nieprzebił się sfery!
Teraz widzę, że Cyceron pisał i Opery.

NA GADUŁĘ,
z Tegoż.

Czas trawi stal, żelazo, co większa! i głazy;
Lecz to wszystko jeszcze baje:
Nasz Paplotowicz mężniejszy sto razy,
Bo się mu nawet czas połknąć udaje.

NA PIECZENIARZA POTWARCĘ,
z Tegoż.

Niejeden się biédak morzy;
Temu pieczenie za fałsze nagrodą.
Łże, obmawia, a zatém gęby nieotworzy,
Tylko zawsze z czyją szkodą.

DOBRE ŻYCZENIE.

Odkryłeś głowę, że tak słońce grzeje;
Nakryj, zmiłuj się, by się co niestało.
Łatwo rozum wywietrzeje,
A i tak masz go już mało.

ŻAL GORZKI.

Umarł Soter.— Co mówisz? ten człowiek tak młody,
Soter, co wszędzie słynął z dowcipu, z urody?
Ten sam, nad jego śmiercią wyleją łez wiele.—
Ach! Rodzice zapewne?— Nie— Któż?— Wierzyciele.

STRZAŁY KUPIDA.

W tenczas, kiedy robiono strzały dla Kupida,
Każdy bóg cóś swego przyda,
Jowisz dał im mocy tyle,
Że ten, kto niémi raniony,
Gdy wzajemnie ulubiony,
Słodko spływają mu chwile.
Merkury, poseł bogów, nadzieję w nie włożył;
Czas zaś, by się także wstawił,
Przykrą boleścią nasrożył,
I końce jadem zaprawił.
Dotąd się spełnia skutek téj roboty;
Bo kto przeszyty miłosnémi groty,
Cieszy się z zadanéj rany,
Jeźli wzajemnie kochany.
Jednak powoli, powoli,
Coraz bardziéj rana boli,
Jeśli go zaś los srogi nadziei pozbawia,
Gorycz mu życie zaprawia.

NA PŁACZ DZIÉCIĘCIA NOWONARODZONEGO.

Ledwie na świat przyszedłeś, Hijacyntku mały,
Tu się cieszą, a ciebie smutne łzy zalały:
Oby! gdy cię okropna śmierć do grobu sebyli,
Tyś się tylko sam cieszył, a wszyscy smucili.

WIÉRSZ

Z powodu radosnych łez, które przybycie Mamy Justynie małéj z oczu wycisnęło.

Dajcie mi lutnię, brzęknę i zanucę,
Płacz wam opieję, jednak niezasmucę;
Godne pamięci, jak małéj Justynie
Z radości czuła łza płynie.—

* * *

„Mama jest twoja"! ktoś jéj rzekł z bliska.
Biegnie naprzeciw, w polocie,
Rzuca się na pierś, za szyję ściska,
Całusków niesie jéj krocie.—

* * *

Jak pączek róży rosą zwilżanéj,
Szkarłatne wdzięki rozwija,
Tak na jéj twarzy łzami oblanéj
Piękny rumieniec przebija.

* * *

Roskosz te czułe łzy jéj wyciska,
Uciechą karmi się samą;
Wszędzie zdrój szczęścia dla niéj wytryska,
Niema to niéma, jak z Mamą.

* * *

Jednak, Justyno, miéj to w twéj duszy,
Wszystko cios czasu obali:
On twardy marmur i mury kruszy,
On cię od Mamy oddali.—

PIEŚŃ
MŁODÉJ PASTERKI
DO
MYŚLIWEGO.

Nadobny młodzieńcze,
Porzuć groźne zbroje,
Kwiatem cię uwieńczę,
Dam ci serce moje.—
Co ci winne ptaszki,
Że im niesiesz zgubę,
Dla marnéj igraszki
Bierzesz życie lube.—

Wolisz na téj łące,
Rwać kwiaty pachnące,
I obok kochanki
Piękne paść baranki.—
Porzuć groźne zbroje,
Dam ci serce moie,
Bo się twojéj zbroi
Moje serce boi.—

Pod cieniem drzewiny
Usiędziemy sobie,
Ławeczkę z darniny
Własną ręką zrobię.
Porzuć groźne zbroje,
Otrzéj z znoju czoło,
Zostańmy oboje,
Będzie nam wesoło.

Czy widzisz gołębie
Na wysokim dębie?....

W nich ma wzór prawdziwy
Kto chce być sczęśliwy.
Ach! wierzaj pasterce,
Tylko dobre serce,
I uczucia tkliwe;
To sczęście prawdziwe.—

Odwiédzisz mą chatkę
Skromną i ubogą;
Lecz tam znajdziesz Matkę
Sercu memu drogą.
W pościeli spoczywa,
Z wonnych ziół usłanéj,
Czeka niecierpliwa
Córki ukochanéj.—

Spoczywa od wczora,
Bo nieboga chora;
Niewiem co się stało,
Śpi i jada mało.—
Porzuć groźne zbroje,
Poznaj Matkę moję;
Nad wszystkie roskosze
Jéj widok przenoszę.—

Przyjąć czém niemamy,
Nad mléko i séry,
Ale ci to damy
Z naszéj chęci sczéréj.—
Znajdziem trochę chleba
Do séra i mléka:
Ale czyliż trzeba
Więcéj dla człowieka?.....

Porzuć groźne zbroje,
Przyjmij chęci moje;
Bo, piękny młodzianie,
Serca mi niestanie.

Odpowiész przed Bogiem,
Żeś mi się stał wrogiem;
I żeś jest przyczyną,
Tych łez, co mi płyną.

Jesczem dla nikogo
Nieuczuła tyle,
Przepłaciłam drogo
Jednę małą chwilę.
Jednę małą chwilę,
W któréj cię ujrzałam:
Jescze w życiu tyle
Nigdy niecierpiałam.

Porzuć groźne zbroje,
Przyjmij serce moje;
Zostań w téj dolinie,
Przy tkliwéj dziewczynie.
Poznasz w krótkiéj chwili,
Że tak jest żyć mili,
Jak dla czczéj igraszki
Strzelać biédne ptaszki.

BAJKA.

Z ŁACIŃSKIEGO.

Gdy schwytanego wilka niegdyś w gęste sici,
Zabić chcieli wieśniacy, za krzakiem ukryci,
Przysięgał, iż już nigdy jeść mięsa niebędzie,
Tylko zioła, lub ryby, lub gorzkie żołędzie.

I tak od bliskiej śmierci gładko się wywinął;
Lecz ledwie wszedł do lasu i kilka drzew minął,
Zobaczył chciwém okiem, jak się wieprz spasiony,
W czarném kałuży błocie chłodził zanurzony.
Ach! to jest pewnie ryba! z radością wykrzyka,
Skacze na wieprza, szarpie w sztuki, i połyka.
Gdy kto źle czyniąc święte cnoty prawa zrywa,
Nigdy mu na pozornéj wymówce niezbywa.

WIÉRSZ IMIENIEM DZIECI

DO

PRZYJACIELA DOMU W DZIEŃ IMIENIN.

Gdyśmy światło słoneczne piérwszy raz ujrzeli,
Obok Mamy i Papy ciebieśmy widzieli,
Tyś z niémi radość dzielił, z naszego przybycia,
I zacząłeś nas kochać przy wstępie do życia.
Minęły szybko lata: jakież wszędzie zmiany?
A ty jednak nas kochasz i jesteś kochany,
I dziś, gdy uroczystość obchodzisz Imienia,
I rodzice i dzieci niosą Ci życzenia.
Obyś tyle codziennie doznawał słodyczy,
Ile z nas każdy czuje, kiedy Ci ich życzy,
Oby Cię wszyscy w świecie tak, jak my, kochali,
Bo ci godni są szczęścia, co w przyjaźni stali.

DO
MOJÉJ MAŁEŃKIÉJ CÓRY.

Śpijże śpij, łube kochanie,
Niekwił się, bo płacze Mama,
Znać łzy gdybyś była w stanie,
Płakałabyś nad nią sama,

Kiedy ty nieśpisz, kochanie,
Jéj się serce z żalu kraje;
Tobie szkodzi niedospanie,
A Mamie się śmiercią staje.

Patrz, jak cię łzami oblała,
Jak pełny kwiateczek rosy,
Ach za ciebie, Córo mała,
Podnosi oczy w Niebiosy.

A Tata patrząc się na to,
Ledwie się we łzach pamięta:
Miéjże litość i nad Tatą,
Sen ci zamyka oczęta.

Prześpij te chwile, kochanie,
Kiedy jescze nieznasz ludzi,
Bezsenność z wiekiem nastanie,
Może cię świat w czas przebudzi!

Przebudzi ciebie, kochanie,
I może gorzko przebudzi;
Ach! posil się przez wyspanie,
Nim cię zbawi snu gniew ludzi.

Poznała to Mama z Tatą,
    Jak oni dręczyć umieją,
Jak jedynie godzą na to,
    Aby pokłócić z nadzieją.

Teraz cię Mama przytuli,
    Jéj piersi twoją zasłoną,
A późniéj może nieczuli
    Odepchną cię rozkwiloną.

Teraz cię Tata upieści,
    Z radości łzami obleje,
A późniéj może boleści
    Wydrą ci wszelką nadzieję.

A gdy zostaniesz siérotą,
    Któż ci pomocy udzieli?
Kto? o najmilsza piesczoto
    Ciebie wśród obcych ośmieli?

Już błogie słoneczko gaśnie,
    Mama cię tuli, kochanie,
Niechaj twoje oczko zaśnie,
    Tobie szkodzi niedospanie.

Prześpij te chwile, kochanie,
    Kiedy jescze nieznasz ludzi,
Bezsenność z wiekiem nastanie,
    Może cię świat wczas przebudzi.

BURZA.

Z ENEIDY KSIĘGI I.

Haec ubi dicta, cavum conversa cuspide montem
Impulit in latus:

To wyrzekłszy, w bok góry silnym zmierza grotem,
Wypada z ciemnych jaskiń tłum wichrów z łoskotem,
I w szalonym obiegu ląd ozionie cały;
Miészając do samego gruntu morskie wały.
Eurus, Notus burzliwy i Afrykus dżdżysty,
Niosą przed sobą bałwan ku brzegom pienisty.
Krzyk mężów i chrzęst wioseł słychać po głębinie,
Dzień i niebo za chmurą z oczu Trojan ginie,
Całe morze zalega pomrok nocy blady.
Drżą ziemi przy biegunach wzruszone zasady:
W ciemnościach migający błysk powietrze kraje;
I wszystkim śmierć obecna przed oczyma staje.
Drescz zimny przeszedł drżące członki Eneasza,
Wzniósłszy ku niebu ręce tak swój żal ogłasza:
Szczęśliwy! komu wyrok nieodmówił zgonu,
W obliczu własnych Ojców, w murach Ilijonu!
O najdzielniejszy z Greków, na równinach Troi,
Czemużem, Dyomedzie, niepadł z ręki twojéj?
Mnież, boski Achillesie, twój pocisk ominął,
Gdzie waleczny Sarpedon i gdzie Hektor zginął?
Gdzie Symois roztacza ciała wielkich mężów,
W spienionych niosąc nurtach szczątki ich orężów?—
Skończył, a w tém ryczący wiatr powstaje nagle,
W niebo wyrzuca fale i rozrywa żagle.
Bokiem już czerpa wodę nawa, trzeszczą wiosła;
Straszna góra pienistéj wody się podniosła.

Tych wał niesie pód niebo: tych gwałtowna burza
Aż na dno morskich toni wśród fali ponurza.
Trzy nawy not porywa i pędzi na skały,
Których grzbiety ogromne nad morzem sterczały,
Ara imie noszące: trzy Eurus okrutny
Osadził na mieliznie, o widoku smutny!
Wbił w ziemię i wzniósł w koło piasku wał niezmierny,
Tę, na któréj z Likami płynął Oront wierny,
Gdy nad nią zawieszone białe fale spadły,
Uderzona wstrzęsła się; zadrżał sternik zbladły,
I spadł na kark; a bałwan trzykroć ją okrąża,
I trzykroć zakręciwszy wśród fali pogrąża.
Na wzburzonym przestworzu widać broni sczątki,
Tu majtków, a tam z Troi wyrwane pamiątki.
Nawą Jlijoneja i cnego Achata,
Gdzie Abbas, gdzie Aletes płynie, wiatr pomiata:
Już nawet między szpary w spojeniu szerokiém,
Woda się nieprzyjazna lać poczęła bokiem.
Poczuł Neptun szum wielki wzburzonego morża,
I srożące się fale, i wodne przestworza
Aż do dna zamiészane: strasznym gniéwem spłonie:
Spokojną wzniósłszy głowę nad bezdenne tonie,
Widzi po całym morzu nawy rozrzucone,
I od nieba Trojany burzą uciśnione.
Zaraz gniéwy Junony i podstęp poznaje.
Woła do siebie wiatry, i one tak łaje:
Takaż to ufność wasze zaślepiła plemie?
Zuchwali, burząc razem i Niebo i ziemię,
Bez méj wiedzy śmieliściež takie czynić szkody?
Wnet ja was.... lecz uśmiérzyć burzę trzeba wprzódy.
Drugi raz popadniecie karaniu srožszemu.
Teraz idźcie, i panu powiédźcie waszemu,
Że ani srogi trójząb, ani morskie fale,
Nie jemu, lecz mnie dane. On w wykutéj skale

Niechaj was trzyma Eurze, tam niechaj panuje,
Tam niech twardym wędzidłem waszę złość hamuje,
Rzekł i gniéw burzliwego żywiołu ukraca,
Pierzchają czarne chmury, a słońce powraca.
Cymotoe i Tryton z skał spychają łodzie,
I sam Neptun trójzębem: a osiadłe w wodzie
Nagie piaski rozpędza i ucisza morze.
W chyżym biegu wierzch wody lekkiém kołem porze.
Jak kiedy między gminem rozruchy są wszczęte,
Zaczynają się srożyć umysły zawzięte.
Lecą kamienie, wściekłość dodaje oręża:
Niech tylko ujrzą nagle cnotliwego męża,
Milczą zaraz, i każdy chciwém uchem bada,
On zaś gniéw ich łagodzi i sercami włada:
Tak pan morza, gdy przejrzał ogrom wody cały,
Ucichł szum oceanu i burze ustały.—

BAJKA,

z *Langbajna.*

DWIE MUCHY.

MUCHA ZWYCZAJNA.

Czemu, w ustawnym roju,
    Latasz po całym domu?
Wszak ty niedasz pokoju,
    Z mieszkających nikomu.
Ta zrzędności chęć wieczna
    Dręczy ludzi ogromnie!
Ach, przecie raz bądź grzeczna,
    I zastósuj się domnie.

MUCHA DUŻA.

O moja ty, siedź sobie,
Z twoją piękną uwagą!
Choć tu owdzie brzęk robię,
Któż mnie z ludzi zwie plagą?
Żyj tak jak ja; sto razy
Lepsze względy uczujesz.
Twoja grzeczność bez skazy;
Jesteś cichą, — a kłujesz.

NIEPOJĘTY.

LEGIENDA.

Ten, co wieczystym pchnął biegiem
Słońca dziwiące obrotem;
I świetnym gwiazdy szeregiem
W sklepieniu zawiesił złot'm.
Ten Twórca światów budowy,
Dla krótkich zmysłów człowieka,
Utaił dzieł swych osnowy;
Próżno ich rozum docieka.
Lecz gdy nadziei płomieniem
Dowcip się ludzki zapala;
Śledzi Bóstwa z natężeniem,
Choć mu go wieczność oddala.
Tak ów, co błędy młodości
Poprawą życia nagrodził,
Chcąc dociec Świętej Istności,
Po morskim brzegu sam chodził.

Ale badaniem zmęczony,
Skąd wzięło Bóstwo początek,
Trzymał wzrok w ziemię wlepiony,
I myśl straciła swój wątek.
A w tém nadobny, jak zorza,
Zastanawia go chłopeczek;
Czerpa łyżeczką płyn morza,
I przeléwa go w dołeczek.

Wnet się ku niemu obraca,
Pyta, skąd dzieła przyczyna? —
„ Przelać to morze ma praca,
„ Odpowié śliczna dziecina."
Rozśmiał się na to mąż święty,
Wybaczył dziecka prostocie;
I rzekł: — na mozół podjęty,
Ledwie są chwilką lat krocie.

A ty chcesz, próżne pacholę,
W swém życiu przelać te wody? —
„ Próżno się. rzekło, mozolę,
„ Próżno, wiedziałom to wprzódy.
„ Lecz oceanów głębizny
„ Niesą przy Stwórcy kropelką;
„ A ty, proch ziemskiéj ojczyzny,
„ Zgłębić chcesz Istność tak wielką?

„ Prędzéj te wody przeleję,
„ Nim twa myśl, co Bóg docieczе;
„ Próżne są twoje nadzieje,
„ Marne zapędy, człowiecze.
„ Ucz się poznawać cel jego;
„ A gdy cię rozum uniesie,
„ Wiédz, że przepaście go strzegą,
„ W pewnym wymiaru zakresie.

„ Cudami Stwórcy zdziwiony,
„ Czyste mu poświęć westchnienia,
„ Oddaj Wszechmocy pokłony,
„ Wdzięczności zanuć mu pienia."

To rzekł i z męża widoku,
W postaci miły i rzeski,
Pływając w blasków obłoku,
Ulecial Poseł Niebieski.

ODA XVI. KSIĘGI II. HORACYJUSZA

Otium divos.

TŁUMACZENIA STAN: TREMBECKIEGO.

O spoczynek błaga bogi,
Na przestrzeń morza rzucony,
Gdy gwiazdy nieuczą drogi,
I miesiąc chmurą zaćmiony.

Spoczynku i Med w kołczanie,
I Trak żada, krwi niesyty,
Spoczynku, co niedostanie,
Za bogactwa i zaszczyty.

Skarby, straże konsularne
Czyż pokrzepią umysł lichy?
Lub odpędzą troski marne,
Co krążą po gmachach pychy?

Pokój z miernością przebywa;
Misa po Oycu chędoga
Sklni się; a snu nieprzerywa
Nikczemna chciwość lub trwoga.

Niedługo człeku do końca:
Po cóż tyle starań roni?
Lub szuka obcego słońca.....
Ałboż się przed sobą schroni?.....

Troska za nim w okół siędzie,
Jeździca rączym dogna krokiem,
Szybsza, niżli jeleń w pędzie,
Lub wiatr, co miota obłokiem.

Rad umysł przytomnéj chwili,
W przyszłość niewzierà stroskany;
Gorycz uśmiechem przymili;
Boć niéma sczęścia bez zmiany.

Cny Achil nagle upada,
Tytona starość nagina:
Może, co ci los nienada;
Mnie sczęsna zdarzy godzina.

Tobie setne ryczą trzody,
Rży w zaprzęgu rumak dzielny,
Afryka, dla twéj wygody,
Szkarłatne przystawia wełny.

Mnie się włość sczupła dostała,
Z niezwrotnéj Parki nadania,
Duch wieszczy i wzgarda śmiała,
Na płoche ludu mniemania.

DONIESIENIE.

I.

Ponieważ III. numer Dziedzilii, na którym kończy się Tom I. wyszedł z druku, i został rozesłany, przeto uprasza Wydawca Szanown: Prenumeratorów, którzy *na piérwszy kwartał* zaprenumowali, aby się oświadczyć raczyli, czy nadal to Pismo peryjodyczne trzymać zechcą.

II.

Z powodu znacznéj liczby Prenumeratorów oświadcza Wydawca, że Dziedzilii byt *nadal* jest zapewniony.

Aby zaś dogodzić pracującym w każdym zawodzie literatury i nauk, Redakcyja rozszérza przedmioty Pisma tego w ten sposób, że będą przyjmowane wszelkie rozprawy, byle zgodne z duchem Dziedzilii; a mianowicie z Filologii, Filozofii, z wydziału umiejętności historycznych, z Historyi naturalnéj, a nawet i z Prawa. Jeśli jednak te rozprawy będą za obszérne, wtedy tylko umieszczą się wyjątki ważniejsze, które albo sam autor wskaże, albo redakcyja wybie-

rze, aby przez to nieubywało wiele miejsca literaturze pięknéj, dla któréj sczególniéj ku zabawie czytających Dziedzilija przeznaczcną została.

III.

Co się zaś tycze wynagrodzenia za pisma oryginalne albo przekłady, to dopiéro od 1. Stycznia 1825. roku nastąpić może.

w Płocku, dnia 2. Października 1824.

K. Kulig.

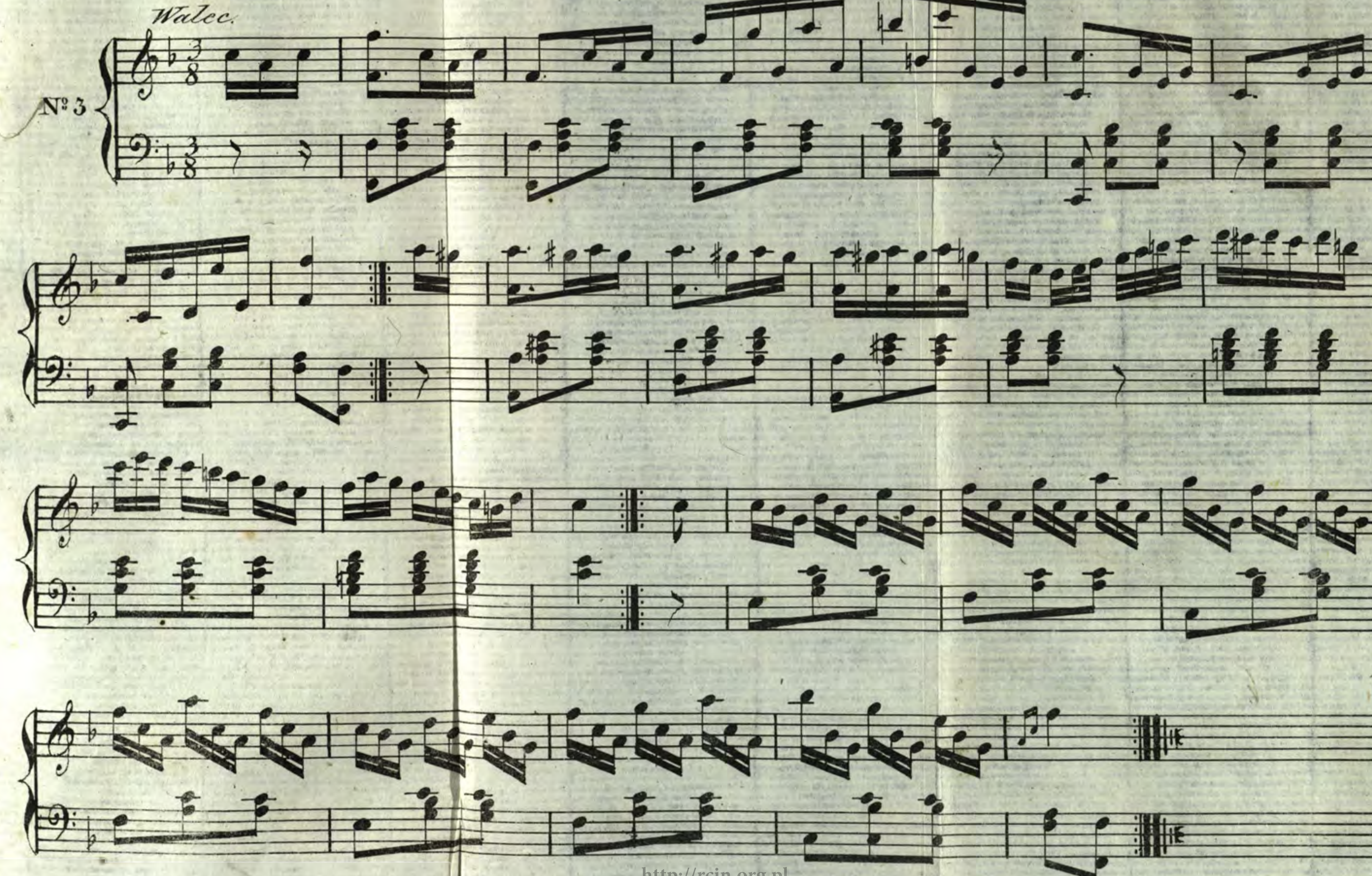
Wydawca Dziedzilii.

SPIS RZECZY

W Tomie I. Dziedzilii zawartych.

PROZA.

POEZYJA.


Walec.
Nº 3